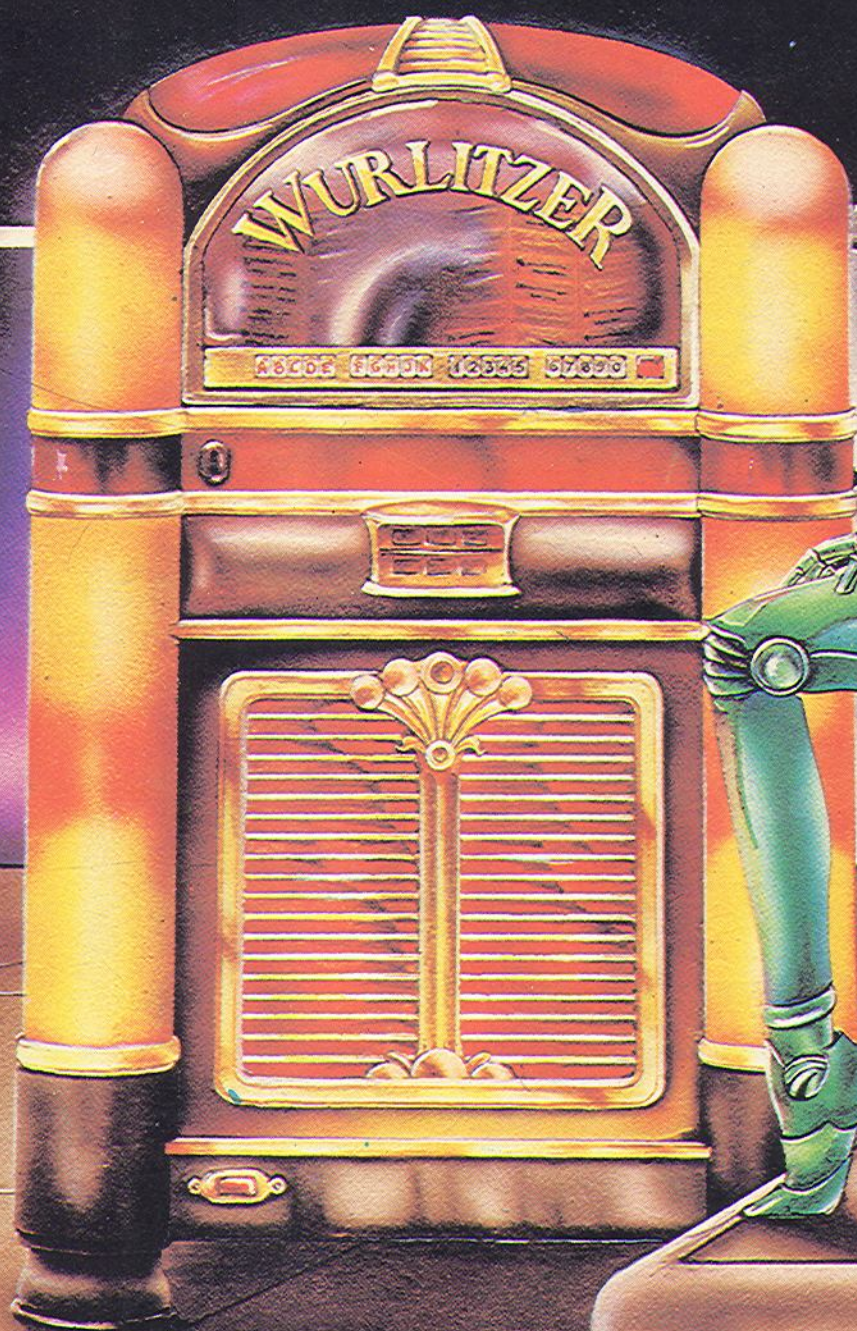
MIESIĘCZNIK

Fantastyka

8 (59) SIERPIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ

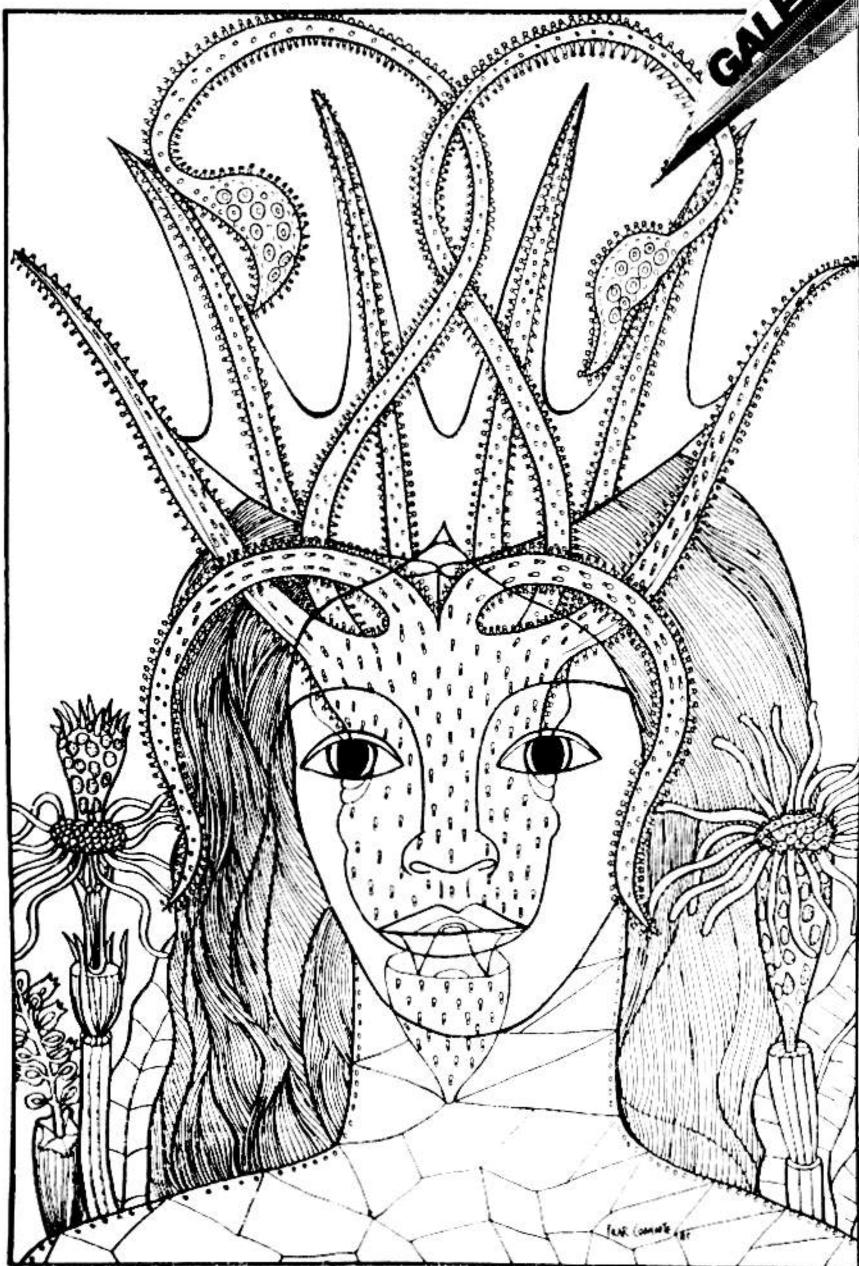
PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



ANDRZEJ BRZEZICKI

Pilar Coomonte urodziła się w Zamora (Hiszpania). Obecnie mieszka w Madrycie. Studiowała Sztukę i Pedagogikę. Pracowała przez wiele lat w „Casón del Ruen Retiro" w Madrycie, restaurując dzieła sztuki. Uczestniczyła w różnych konkursach i wystawach, współpracowała z gazetami i czasopismami hiszpańskimi (m.in. „Triunfo", „El Pais", „Nueva Estafeta" i „Ozono') publikując swoje rysunki. Zilustrowała „Donkiszota" wydanego przez oficyny „Anaya Catedra" (Madryt) i „Liberia Las Americas" (Nowy Jork). Obecnie zajmuje się malarstwem olejnym i rzeźbą fantastyczną, do której wprowadza neony.





PILAR COOMONTE

Ciało ożywione

Zdolność odczuwania wszystkiego jako żywe i powiązane wzajemnie - wody, powietrza, ziemi, ognia - to pierwotny zmysł, którym dysponują jedynie dzieci i fantaści. Nie jest to religia, lecz doświadczenie zmysłowe. Fantaści i dzieci potrafią rozmawiać z przedmiotami i czuć, jak przedmioty je przenikają.

W tym przypadku ich inny świat znajduje się w głębi puszczy, gdzie kłębi się od czystych zwierząt, a drzewa stają się duchami. Pilar Coomonte maluje tę pierwotną sytuację. W rzeczywistości kobiety Pilar Coomonte są owocami, jej zwierzęta duchami, a jej rośliny, kwiaty, korzenie i liście - unaocznieniem psychiki.

Jest to przede wszystkim animizm, z którym wiąże się fantastyka, maskująca początek nauki. Pilar Coomonte nie tworzy jednak nauki, lecz sztukę. Tę malarkę interesuje jedynie odkrywanie tajemnic natury, odczarowywanie zaklęcia, aby osiągnąć harmonię.

Manuel Vicent



51, 60

W rozpoczętym w ubiegłym roku cyklu artykułów poświęconych Stanisławowi Lemowi i jego pisarstwu, nasi Czytelnicy mieli okazję zapoznać się z esejami Adama Hollanka („Fantastyka" nr 3/86), Jerzego Jarzębskiego (5/86), Andrzeja Niewiadowskiego (9/86) i Stanisława Beresia (11/86). Tym razem dla ukazania nieco innego sposobu patrzenia na dzieło Lema i jego osobę, przedrukowujemy obszerne fragmenty reportażu zamieszczonego niedawno w amerykańskim czasopiśmie „Discover". Ponadto proponujemy fragment pracy magisterskiej Grzegorza Pieńkowskiego dotyczący ekranizacji prozy naszego najwybitniejszego pisarza SF.

...3...2...1...



Mówi się często i nie bez racji, że współczesna fantastyka ciągle i z uporem wiąże swoje pasjonujące tematy z problemami ekologicznymi. Ta niby to bardzo realistyczna, a nawet prozaiczna walka o czystość powietrza i wód na tej naszej starej planecie, o bogactwo roślinności i zwierząt, ma swoje romantyczne i filozoficzne odskocznie. Chodzi przecież o konstatację, jaki właściwie jest, jaki powinien być byt człowieka – naturalny czy sztuczny, jak powinno kształtować się jego życie: albo naturalnie, co może także być rozumiane jako bardzo biologiczne, niemal zwierzęce istnienie, albo rola człowieka to otaczanie się coraz nowszymi wynalazkami, wynaturzanie świata do potęgi nie znającej granic. Nie potrafiąc stać się w pełni bogiem przyrody, dzisiejszy obywatel Ziemi chciałby zostać supermanem, bożkiem nienaturalnego, kreowanego przez siebie środowiska.

I w tym momencie wkracza w ludzkie rachuby filozofia kompromisu, godzenia skrajności, co równa się drodze pełnej wyrzeczeń. To oczywiste, banalne, że samo życie społeczne, życie wśród innych, czy z innymi, wymaga właśnie różnorodnych kompromisowych rozwiązań, które nieraz, a właściwie zawsze, nakładają dodatkowe obowiązki na nasze barki, wdrażając do tolerancji (ona jest cała z kompromisu), ale i zmuszają do dzielenia prawdy na pół, ćwierć, a czasem nawet prawdę całkowicie likwidują. Życie staje się pełne przykrych niespodzianek, dzieje się tak w stadle małżeńskim, i w rodzinie, i w gronie przyjaciół, a także w narodzie czy w państwie.

Nieustannie determinujące nasze istnienie nagromadzenie równoczesne przypadków i konieczności czyni historię tylko częściowo nauczycielką życia, jako że nie istnieje i istnieć nie może pełna powtarzalność sytuacji i spraw. Człowiek dzisiejszy nie jest całkowicie identyczny z człowiekiem sprzed stu, tysiąca czy wielu tysięcy lat.

To, co wydaje się nam powtórzeniem losów, o których – zdaje nam się – przecież czytaliśmy w podręcznikach, czy w powieściach, odbieramy i przetwarzamy obecnie całkiem inaczej, niż nasi przodkowie. Nasz Szekspir jest inny niż Szekspir swoich czasów, nasz Mickiewicz także smakuje inaczej. Różnice w obyczaju dawnym i nowym, w naszych poglądach na rodzinę, na miłość, nienawiść, rodzą inne zachowania, inne reakcje niż dawniej, ponieważ środki, jakimi dysponujemy, bywają diametralnie różne od tych, którymi się niegdyś posługiwano. W tym sensie szeroko pojęta technika, system cywilizacji, wpływa na ludzkość, odmienia ją.

To nie znaczy, że odbiera jej graniczne cechy, ekstremalne zachowania wiążą nas raczej z naszymi przodkami niż różnią od nich. Proszę porównać, jak wyglądały na przykład dawne adaptacje „Quo vadis" (sprzed zaledwie kilkudziesięciu lat) w porównaniu z ostatnią, tak skrytykowaną przez fachowców, włoską wersją filmową tej powieści, widzianą ostatnio w naszej telewizji.

Ale jakoś nikt nie zwrócił uwagi, że autor tej niby-sienkiewiczowskiej tematyki w przedstawianiu Rzymu, jego obywateli i jego niewolników, w obrazie Ligii, Petroniusza, Nerona czy Poppei stworzył nastrój i widowisko, przypominające raczej filmy science fiction niż pompatyczną wizję starożytności. Była to próba kompromisu między „Quo vadis" dawnych i przyszłych lat.

Jak wyglądać mógłby człowiek pozbawiony techniki, lub z techniką niezwykle okaleczoną, a także okaleczoną duszą po konflikcie atomowym – stało się nicią przewodnią wielu słynnych powieści Zelazny'ego w pierwszej linii, a także i „Diuny" Herberta, rozgrywającej konflikty między naturalnym a sztucznym. Podobnie przedstawiają się sprawy z książkami Aldissa, czy ze słynnym filmem „Blade Runner" opartym na fantastycznej prozie.

W swoich książkach („Zbrodnia wielkiego człowieka", „Jeszcze trochę pożyć" czy „Kochać bez skóry") także dawałem wyraz tym problemom. Najpierw prymitywnie żyjący człowiek walczył nie przeciwko swoim pobratymcom czy krewnym, nie przeciwko jakimś swoim człowieczym wrogom, lecz po prostu z przyrodą. Dziś wykorzystał, nadwerężył, i złamał jej prawa, co postawiło go w zupełnie nowych relacjach. Częścią przecież bardzo dużą, coraz to większą, otaczającej nas materii, otaczających nas zjawisk i przedmiotów, jest świat naszych wytworów i to zarówno psychicznych, jak i fizycznych. I ten świat jest coraz bogatszy w to, co sobie wymarzymy i urzeczywistnimy. Nasze twory są z każdym dniem wyrazistsze i bardziej samodzielne w stosunku do nas.

Różnie interpretowano utwory science fiction o charakterze ekologicznym (także i moje). Chodzi w nich jednak o istotne niezwykle zagadnienia z kręgu życia tak osobistego, jak i publicznego, o poszukiwanie granic kompromisu, czyli o możliwości zachowania równowagi między naturalnym a sztucznym, moralnym a niemoralnym. Gdy bowiem wgłębimy się w gęstą sieć uwarunkowań naszego istnienia coraz trudniej udaje się oddzielić szkodliwości od dobrodziejstw, zbrodnie od koniecznej samoobrony, miłości od nienawiści, egoizmy od altruizmów. W tym nowym, coraz sztuczniejszym świecie, pozory mylą, wartości stają pod znakiem zapytania, przede wszystkim wartości etyczne, bez których życie staje się zmorą.

I w tej to właśnie problematyce upatruję szansę dla pisarzy science fiction, tylko przez niektórych wykorzystaną. Większość bowiem, w pogoni za łatwą popularnością i trochę większym pieniądzem, zagoniła się w bardzo wydeptane ścieżki literatury rozrywkowej przyziemnej, wprost pełzającej. Tylko nieliczni ważyli się na poddanie swoich czytelników gorzkim próbom gorzkich refleksji o sobie samych, o teraźniejszościach i przyszłościach. Niektórym tylko z tych odważnych udało się zainteresować publiczność. Czy szeroką? Czy moralizatorska u swych podstaw fantastyka ma szanse przebicia się, stanie się literaturą ogarniającą masy czytelnicze – chodzi o typ fantastyki najwyższych wzlotów. Ale... tak, są ciągle ale. Lem w swej najnowszej wersji autorskiej nie bardzo chwyta masy, nie frapuje w dostatecznym stopniu nawet proza Żwikiewicza (mimo swej dużej oryginalności) czy Oramusa (mimo moralnej drastyczności, czy może właśnie przez tę drastyczność). Fantastyka jest na rozdrożu. Od dalszych jej dziel czy prac (mówiąc skromniej) zależeć będzie jej przynależność do literatury znaczącej, lub tylko do służącej suspensowi, i to naskórkowemu.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej) 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe [illegible] Czasopism RSW [illegible] Ruch", ul. Nowakowskiego [illegible] Warszawa, tel. centr. [illegible] Ogłoszenia przyjmuje [illegible] Propagandy tel. 25-[illegible] Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Oddano do składu [illegible] lutego 1987 r. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. [illegible] 28.
Zam. 2150/87
Nakład 150 000 egz. K-29

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 27 maja 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka”

LĄDOWANIE LIV

Najdziwniejsze w listach Państwa jest to ciągłe dociekanie, manifestowane zresztą w różny sposób – co właściwie jest fantastyką, a co nie. Zawsze wzbudzają niepokój utwory, wychodzące jak gdyby poza wyimaginowane ramy „prawdziwej science fiction”. Oto dyskusja na ten temat, wybrana z wielu listów, które nadeszły do redakcji. Jesteśmy za nie wdzięczni. Ich liczba dowodzi, że jest o czym dyskutować.

Niektórzy Wasi czytelnicy przypisują Szulkina do SF. Szulkin to jeden z naszych najlepszych reżyserów, jego filmy są wspaniałe, ale z science fiction mają mniej wspólnego niż „1984” Orwella. (...) Fantasy jest potrzebne naszej literaturze. Trzeba uważać jednak, by nie przesadzić, by pozory i magia nie wyparły twórczości w stylu Janusza Zajdla. Na razie „Fantastyka” nie przekroczyła granicy zdrowego rozsądku, zarówno jeśli chodzi o sataniczne rysunki (str. 65 nr 50), jak i opowiadania o krwiożerczej tematyce.

Krzysztof Ulanowski *z Koszalina*

Mam do Pana prośbę: drukujcie więcej opowiadań z gatunku horroru kosmicznego. Można by nawet poświęcić jakiś cały numer temu tematowi.

Marek Nowicki *z Warszawy*

Co się dzieje z klasyczną fantastyką, typu Stanisława Lema. W książkach jeszcze zdarzają się jej reprezentanci w naszym kraju. Natomiast to, co wypisuje tak zwana młodzież literacka żadną fantastyką już dawno nie jest. Toż to surrealistyczne bajeczki, jakby żywcem przenoszone ze snu. Nie tego oczekujemy od fantastyki. Zwłaszcza naszej, krajowej. Prawdziwą fantastykę, oprócz wymienionego już Lema, pisuje dziś jeszcze Fiałkowski (zwłaszcza w „Homo divisus” i opowiadaniach, mniej w „Adamie...”), może jeszcze jeden, dwóch pisarzy ze starszych pokoleń, ale reszta to już nie fantaści. Nic dziwnego, że wobec takiej sytuacji chcecie i próbujecie drukować rzeczy z pogranicza. Takie, jak na przykład Oramusa czy Drukarczyka. Ale uważajcie, żeby za daleko poza granice SF nie uciekać. Jestem przekonany, że byłoby to wbrew życzeniom nas, czytelników. Poprawcie się.

Grzegorz Janicki *z Wrocławia*

Jeszcze cztery lata temu wśród moich kolegów wielu było miłośników science fiction. Teraz ci sami, zapytani, czy trwają przy swoich poglądach, odpowiadają, że wyrośli z tego. Według mnie ktoś kto mówi, że wyrósł z fantastyki, ten nigdy do niej nie dorósł. Przeraża mnie myśl, że rośnie pokolenie pozbawione surrealistycznego spojrzenia na świat. Dlatego właśnie darzę Was dużym szacunkiem. Wy, mimo wszystko, nadal kochajcie się w tych baśniach XX wieku.

Artur Giera *Warszawa*

Dość golizny. Czy pan Wojtek Siudmak narysować nie potrafi Homo sapiens w ubraniu? Wszak żyjemy w XX wieku. Lepsze byłoby pokazywanie strojów z przyszłości. Golizna natomiast pozostanie zawsze taka sama. Lecz, żebyście się nie załamali pod wpływem tej lekkiej krytyki, musimy jednak oddać co cesarskie cesarzowi – w ogóle jesteście OK – dobre powieści i utwory krótsze. Nowy komiks niezły, ale chętnie widzielibyśmy „return of Funky Koval”.

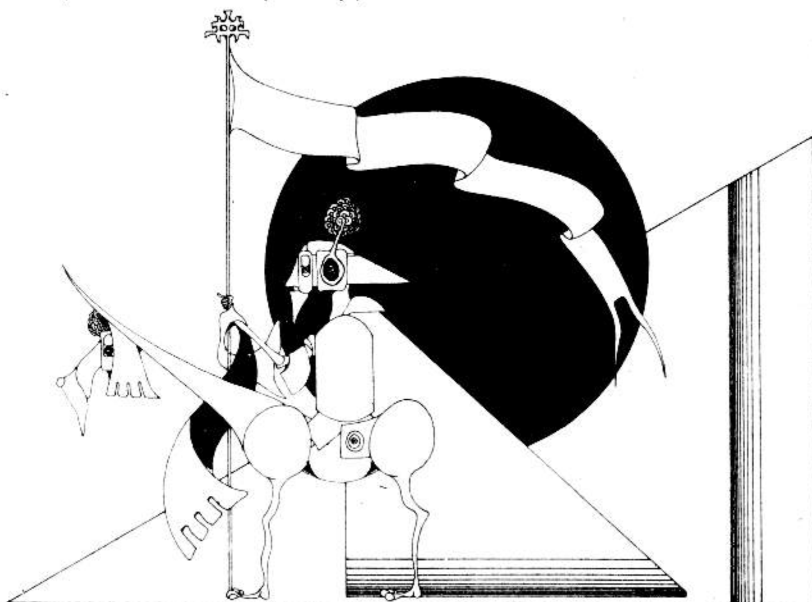
A. i J. *z Warszawy*

Musicie się dobrze zastanowić, czy warto przekraczać granicę tego, co nazywa się fantastyką naukową. Ludzi przecież interesują losy tego świata, a spekulacji nad tymi losami nie da się wyssać z palca. To, co się stanie, stać się musi, bo jesteśmy określeni, mamy podobne zamiłowania, sposoby myślenia i reakcje – to znaczy, że z naszej teraźniejszości muszą nieuchronnie wynikać sprawy naszego jutra. Kto tego nie bierze pod uwagę, parając się fantastyką, nie pisze fantastyki, tylko opowiada bajki i to bajki nawet nie pouczające, ale ot takie, żeby tylko były. Dlaczego o tym piszę? Ponieważ współczesna fantastyka coraz bardziej zatraca swoje istotne wartości. Nic bardziej nie interesowało i nie interesuje ludzi, jak próby przewidywania przyszłości, stąd płynie przecież powodzenie wszystkich „gwiazdowych rubryk” w massmediach. Prawdziwa science fiction to ta, która biorąc pod uwagę stan dzisiejszy jednostki ludzkiej i społeczeństw ludzkich, a także naukowe możliwości, próbuje prorokować, co stanie się jutro. Może mam naiwne spojrzenie na fantastykę, zbyt mało literackie, ale myślę, że racja jest po mojej stronie. Że mówię o gatunku, który najbardziej się może podobać i zawsze będzie się podobać. Toż wszelkie bajania fantasy stają się w krajach, gdzie doszło do największego rozkwitu tych bajań. Dobrze więc, że Wy zdołaliście uniknąć tej baśniowej choroby w piśmie, które dla nas przygotowujecie...

Zdzisław Gorczyca *ze Szczecina*

Początkowo nie zamierzałem reagować na tę dyskusję o granicach gatunku. Ale w masie listów, które nadchodzą do redakcji, sprawa, jaką fantastykę powinniśmy drukować poczyna wysuwać się na pierwsze miejsce wśród poruszanych przez Czytelników tematów. Oznacza to, że utwory prezentowane na łamach naszego pisma uległy, w stosunku do tych, jakie publikowaliśmy na początku naszego istnienia, dużym zmianom, że zmieniła się i tematyka, i autorzy. I tak jest chyba naprawdę. Już w wyniku pierwszego konkursu, którego plon prezentuje „Trzecia brama”, wydana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, widać autentyczną nową falę młodej fantastyki, jakże różną od klasycyzmu pisarzy starszego pokolenia – to zaś, co nadeszło po rozpisaniu drugiego konkursu w dużym stopniu różni się zarówno od obrazu fantastyki z „Trzeciej bramy”, jak i od wzorców klasycznych. Tempo zmian literatury w naszych czasach jest zadziwiające, a krytyka mało się tym zajmuje. Po ogłoszeniu wyników konkursu (nad którymi pracujemy), zorganizujemy na ten temat dyskusję.

Redaktor



Jean Claude Smit le Bénédicte

Konkurs na słuchowisko

Program IV Polskiego Radia ogłasza konkurs otwarty na słuchowisko fantastyczno-naukowe i popularnonaukowe.

Tematyka słuchowiska jest dowolna, może obejmować różne dziedziny nauk przyrodniczych, technicznych i humanistycznych. Prace mogą także dotyczyć biografii ludzi nauki i kultury.

Teksty słuchowisk muszą być oryginalne i nie publikowane w PR i TV, wydawnictwach czy czasopismach. Czas trwania słuchowiska 30 minut, tj. około 15 stron maszynopisu. Prace powinny być opatrzone godłem. Imię i nazwisko autora wraz z adresem należy podać osobno w zaklejonej kopercie, również opatrzonej godłem.

Przewidziane są trzy nagrody (25 000, 20 000, 15 000 zł) oraz trzy wyróżnienia (po 7000 zł). Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród nie zmniejszając sumy globalnej.

Termin wysyłania prac upływa 20 września 1987 r., a ogłoszenie wyników nastąpi w połowie listopada br. w Programie IV PR i w tygodniku „Antena”. Ponadto laureaci zostaną powiadomieni korespondencyjnie o przyznanych im nagrodach.

Teksty słuchowisk w pięciu egzemplarzach maszynopisu należy przesyłać pod adresem: Polskie Radio, Program IV, 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46 (maszynopisy nie będą zwracane).

Ciekawsze prace zostaną zakupione w celu wykorzystania ich w programie Polskiego Radia. Będą one honorowane według stawek obowiązujących w PR. ■

Radykalnie nastawiony dziekan i wykładowca teologii został zatrudniony jako prezenter do wielkiego nowego serialu telewizyjnego „W poszukiwaniu Boga". Kiedy zbliżała się data emisji pierwszego odcinka, dziekan wyjawił w wywiadzie, że nie wierzy w życie pozagrobowe, ani w zmartwychwstanie Chrystusa, ani, jeżeli o to chodzi, w „obiektywne" istnienie Boga. „Bóg" jest personifikacją moralnej świadomości ludzkości, oświadczył.

Podniosła się fala protestów.

I naturalnie pierwszy odcinek „W poszukiwaniu Boga" nie został wyświetlony znów z powodu kataklizmu związanego z elektrycznością – tym razem natury



ZIMNE

Ian Watson

Niewątpliwie jest to jedna z typowych ironii losu, żeby człowiek z wadą wzroku spędził wiele długich lat na studiowaniu sztucznego oświetlenia. Jednak mój przyjaciel John Ingolby był również wybitnym duchownym. Do czasu, kiedy ukazała się jego książka, John zaszedł już wysoko w hierarchii Kościoła Anglikańskiego. Został biskupem Porchester.

Kościół w tym czasie przeżywał dość trudny okres. Z jednej strony usychał na skutek apatii, z drugiej był osaczony przez fundamentalistyczny ewangelizm, nieprzyjemnie gorączkowy i histeryczny. Między tą Scyllą a Charybdą sterowała nowa liberalna teologia, która – jak się spodziewano – tchnie nowe życie i nowoczesną myśl humanistyczną w zmurszałą instytucję.

Jednak nie bez oporu!

Już jeden z nowych biskupów – który publicznie odrzucił naukę o Niepokalanym Poczęciu – został intronizowany w atmosferze skandalu i protestów. Po dwóch dniach w miejsce uroczystości – starą katedrę, najpiękniejszy okaz architektury gotyckiej w kraju – trafił piorun i ogień strawił jej transept. Według relacji grom spadł z jasnego nieba, a był tak potężny, że piorunochrony okazały się niewystarczające. Prasa popularna natychmiast dostrzegła w tym rękę Boga, a część tradycyjnie nastawionego duchowieństwa poparła to wyjaśnienie meteorologicznego fenomenu. Katedra została zbezczeszczona taką intronizacją i Bóg zareagował. Ale Bóg jest, oczywiście, miłosierny, podpaliwszy więc swój dom następnie pozwolił zmasowanym brygadom straży pożarnej ugasić ogień i uratować większą część budowli.

Przedstawiciele liberalnego duchowieństwa wydawali oświadczenia tłumaczące, że pożar był dziełem przypadku i potępiające prymitywne przesądy. Ta sama katedra była przecież w swojej historii trzykrotnie poważnie uszkodzona przez ogień – w ostatnim przypadku, przed stu laty, podpalenie było, nawiasem mówiąc, skutkiem ówczesnej dysputy teologicznej.

Najzawziętszy krytyk nowego biskupa w szeregach duchowieństwa stanowczo odrzucił takie wykrętne wyjaśnienia. Zdegustowany, publicznie wystąpił z Kościoła Anglikańskiego i wstąpił do Greckiego Kościoła Prawosławnego, który, jak sama nazwa wskazuje, stoi twardo na straży nauki, rytu, i liturgii.

W kilka miesięcy później wybuchł nowy skandal.

przemysłowej. Elektrycy telewizyjni skorzystali z okazji, żeby zaprotestować przeciwko jakimś zmianom w godzinach pracy.

Spór został wkrótce zażegnany i w dwa dni później sieć telewizyjna nadała ów wyłączony odcinek zamiast meczu piłki nożnej. Tymczasem jednak w gazetach ukazały się już nagłówki: *Grom z jasnego nieba odbiera mowę dziekanowi-ateiście.* Chociaż dalej drobny druk wyjaśniał, że chodzi o nie zapowiedziany strajk, to jednak wielkie litery sugerowały, że niezbadane są drogi boże w posługiwaniu się elektrycznością.

Taka reklama potężnie zwiększyła liczbę widzów programu, który w innych okolicznościach wiele osób mogłoby zlekceważyć. Do tego stopnia, że „dziekan-ateista" poczuł się zobowiązany do poprzedzenia drugiego odcinka krótkim osobistym wstępem, w którym kokieteryjnie stwierdził, że jeżeli Bóg nie istnieje, to nie mógł wymyśleć lepszego sposobu na skłonienie ludzi do poszukiwania go.

W takiej to właśnie naładowanej elektrycznością atmosferze ukazała się książka Johna Ingolby'ego, zaskakując mnie najpierw swoim tytułem, a potem podejściem do tematu.

Tytuł brzmiał „Religia i historia oświetlenia". Najbardziej szokujący jednak był sposób, w jaki książka – niczym siedemnastowieczny wiersz metafizyczny – łączyła dwie pozornie odległe sprawy: historię oświetlenia z historią oświecenia religijnego.

Moją pierwszą myślą było, przyznaję, że jakiś ekstrawagancki wydawca skłonił Johna do przerobienia całej książki pod kątem modnej problematyki.

Bądźmy szczerzy. Powiedzmy, że ktoś jest zbieraczem podstawek pod kufle. Wówczas ich historia jest dla niego czymś pasjonującym – dla niego i kilku setek podobnych entuzjastów. Jeżeli jednak ktoś taki napisze „Historię podstawek pod kufle", to musi się liczyć z faktem, że książka nie stanie się bestsellerem i nie sprzeda się w milionowym nakładzie.

Łuczywo w neolitycznych jaskiniach, tłuszcz i knot w niedźwiedziej czaszce, fenickie świece woskowe, rzymskie lampy oliwne, elżbietańskie latarnie, świece z wielorybiej ambry z zapachem wawrzynu, świece z knotem z sitowia, Herr Wintzler oświetlający Pall Mall latarniami gazowymi, koszulka żarowa Welsbacha, przyćmione

lampy elektryczne De la Rue z roku 1820, włókno węglowe Josepha Swana, łuk węglowy Davy'ego, Edison, para rtęci, acetylen, neon... Fascynujące! A jednak ilu chętnych zechciałoby przebrnąć przez trzysta stron czegoś takiego?

John ustalił ton od pierwszego zdania. „Pragnęliśmy światła – napisał – żeby pokonać lęk". Dalej porównywał postępy świadomości religijnej z rozwojem techniki sztucznego oświetlenia: od wczesnego szamanizmu do pogaństwa; od „światła świata" chrześcijaństwa do średniowiecznego mistycyzmu; od Ciemnych Wieków do nowoczesnego oświecenia czyli radykalnej teologii. Sugerował bezpośredni związek między tymi dwiema dziedzinami – oświetlenie miało wpływać na wierzenia religijne, te zaś na technikę oświetleniową.

John znakomicie połączył migotliwy blask świec i niesamowite cienie jak duchy przebiegające po ówczesnych pokojach; kopcące lampy i stosy Inkwizycji; łagodne, stosunkowo jasne lampy ze szklanymi kloszami szwajcarskiego chemika Aime Arganda, które uwieńczyły Wiek Oświecenia, jasne, dające jednolite światło lampy naftowe i pragmatyczne wiktoriańskie chrześcijaństwo.

Na poparcie swojej tezy John zgromadził kolekcję rzadkich cytatów z takich autorytetów jak święty Augustyn i mistrz Eckhart, Jacob Böhme i Kierkegaard, Tillich i Hans Kung. Rozdział o średniowiecznych witrażach i mistycznych kultach millenarystycznych był mistrzowski i poprzedzał go – anachronicznie, jak początkowo sądziłem – słynny fragment z Shelleya:

Życie, niby kopuła szkła wielobarwnego
Plami niezłomnie białą świetlistość Wieczności...

Ale później, na końcu rozdziału znajdował się dalszy ciąg cytatu nie znany większości ludzi i zrozumiałem:

...Aż śmierć rozdepcze je w okruchy.

A co z oświetleniem z końca dwudziestego wieku – nie wspominając już o światłowodach, laserach, hologramach – i nową, ateistyczną, radykalną teologią bez życia pozagrobowego?

I co z przyszłością? Przyszłością, którą John widział w ujarzmieniu „zimnego światła": bioluminescencji bakterii, fosforescencji robaczków świętojańskich i ryb głębinowych, które wytwarzają ogromne ilości chemicznego światła przy minimalnym zużyciu energii i bez wydzielania ciepła. Co z zimnym światłem następnego stulecia, które musi nadejść po jasnym, ale gorącym i pożerającym kilowaty świetle naszej ery? Jaka będzie wtedy teologia?

Moim pierwszym przypuszczeniem było, jak już wspomniałem, że wydawca wymógł na Johnie, żeby przerobił książkę w kierunku większej sensacyjności.

Moim drugim przypuszczeniem, kiedy wniknąłem głębiej w religijne rozważania Johna było, że postanowił opowiedzieć się po stronie radykalnej teologii, że zdecydował się wystąpić w barwach kościelnej awangardy.

Ale czy rzeczywiście? W jakich barwach on właściwie występował?

Gazety prześcigały się nawzajem. Biskup Ingolby jest bluźniercą i powinien być natychmiast pozbawiony święceń! Biskup Ingolby jest uczonym mistykiem, dążącym do podporządkowania techniki teologii! Był i tym, i tym.

Niewątpliwie stał się nagle sławny. „Religia i historia oświetlenia" rozchodziła się w wielkiej liczbie egzemplarzy i spora część z nich była zapewne czytana. Pojawiły się podkoszulki z obrazkiem żarówki i tekstem WŁĄCZ I PRZEJRZYJ.

ŚWIATŁO

(Cold Light)

Przejrzyj. Żeby zobaczyć co? Że ciemność wszechświata jest pusta? Czy też, że jest tam wszystko? A może, że jest tam coś nieprzewidzianego?

Tyle w charakterze prologu do dziwnych i przerażających wydarzeń, które nastąpiły później...

„Pałacyk Biskupa" w Porchester był w istocie dużym georgiańskim domem otoczonym trawnikiem i krzewami, położonym w połowie drogi między stacją kolejową a ruinami zamku. Zachodnie skrzydło budynku poświęcone było administracji diecezji. Wschodnie skrzydło było prywatną domeną Johna, gdzie gospodarstwo domowe dzierżyła w swoich rękach pani Mott, która przychodziła codziennie skoro świt i wychodziła wieczorem po kolacji, bo John nie był żonaty.

Większość spraw domowych podlegała pani Mott – gotowanie, sprzątanie, pranie itd. Ale oświetlenie poszczególnych pomieszczeń we wschodnim skrzydle było wyłącznym dziełem Johna i pod tym względem połowa jego „pałacu" przypominała żywe muzeum.

Kuchnię oświetlały żarówki elektryczne, małą prywatną kaplicę wielkie świece, jadalnię lampy gazowe, bibliotekę neonowe świetlówki. Prócz tego liczne nieużywane urządzenia oświetlające stały albo wisiały wszędzie wokół: rzymskie gliniane lampki oliwne, lampy górnicze, zachodnioindyjskie dziurkowane tykwy na robaczki świętojańskie...

Kiedy w kilka miesięcy po publikacji książki na usilne żądanie Johna przyjechałem go odwiedzić pewnego listopadowego wieczoru, ujrzałem całe wschodnie skrzydło oświetlone w najróżniejszych stylach. Zasłony były odsłonięte. Gdy szedłem ze stacji, kilka wstępnych fajerwerków wzbiło się w niebo nad Porchester, eksplodując pomarańczowymi gwiazdami. Następnego dnia dzieci w całym kraju miały świętować spalenie na stosie protestanckiego parlamentu – pamiątka dawnej wojny religijnej. Tymczasem John wydawał się urządzać swój własny festiwal światła.

Ja... Ale nie wspomniałem jeszcze o sobie poza tym, że wiele lat temu studiowałem razem z Johnem.

Nazywam się Morris Ash i jestem lekarzem weterynarii, który przekwalifikował się na homeopatę. Mieszkam w Brighton i obsługuję tam zamożniejszą część społe-

czeństwa. Mam dyplom z biochemii i początkowo myślałem o poświęceniu się badaniom medycznym. Pewne rozczarowanie moimi współbraćmi w połączeniu z ekologiczną świadomością przeludnienia i upadku środowiska naturalnego popchnęło mnie w kierunku weterynarii.

Osiągnąłem powodzenie w swoim zawodzie, choć nie praktykowałem na wsi wśród owiec, koni i krów. Zostałem eleganckim miastowym weterynarzem, doktorem piesków i lekarzem kotków, znanym wśród właścicieli swoich pacjentów ze współczucia, jakie okazywałem ich chorym pupilom.

Po dwudziestu latach miałem pięciu wspólników i byłem bardziej konsultantem w trudnych przypadkach niż rutynowym kastratorem kocurów. Moje myśli zwróciły się powtórnie ku biochemii i badaniom medycznym, ale trochę inaczej: zainteresowała mnie homeopatia, teoria leczenia chorób za pomocą mikroskopijnych, bardzo rozcieńczonych dawek substancji, które normalnie wywołują schorzenia. Zacząłem badać możliwości leczenia w podobny sposób zwierząt i po paru latach dostarczałem ulubieńcom mojej klienteli szeroki asortyment homeopatycznych leków własnej produkcji. Homeopatia sprawdzała się zaskakująco dobrze w wielu chronicznych przypadkach i moja sława szybko się rozprzestrzeniła. Wkrótce stwierdziłem, że leczę homeopatycznie również właścicieli moich pacjentów, chociaż – spieszę dodać – nie na parchy i nosówkę!

Przyznałem już, że nie za bardzo kocham swoich bliźnich w porównaniu z okrytymi sierścią i pierzem mieszkańcami ziemi. Tak więc podobnie jak John – choć z innych powodów – pozostałem kawalerem. John i ja żyliśmy w przyjaźni przez wiele lat, jak już wspomniałem, i spotykaliśmy się może trzy razy do roku z różnych okazji. Wydawało się, że mamy wiele wspólnego. Obaj byliśmy zatwardziałymi starymi kawalerami. John uważał mnie za kogoś w rodzaju świętego Franciszka posługującego ratlerkom i chomikom tego świata. Kiedyś opowiedziałem Johnowi wszystko, co wiedziałem na temat katalitycznej reakcji chemicznej, która rozświetla zimnym światłem robaczki świętojańskie, ryby głębinowe, bakterie i grzyby, wspominając, że któregoś dnia, być może, nauczymy się oświetlać w podobny sposób nasze domy i miasta – co teologicznie przekształcone wypłynęło w jego książce...

W pałacu zostałem mile przyjęty. Piliśmy znakomite białe sherry. Mówiliśmy o homeopatii. Mówiliśmy o książce Johna i o jej olśniewającym sukcesie. John wspomniał o wywiadzie telewizyjnym, którego ma udzielić w swoim różnorako oświetlonym domu przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia i tym samym od epoki otwartego ognia do epoki neonu, żeby podsumować swoje wystąpienie w oświetlonej świecami kaplicy; były to jednak plany dość mgliste.

Ostrożnie poruszyłem zagadkowy temat prawdziwej intencji jego książki. Chyba stary i dyskretny przyjaciel miał prawo wiedzieć – zwłaszcza że sam nie brałem udziału w rozgrywkach teologicznych? John zwrócił moją uwagę na latarnię z czasów Szekspira, którą kupił ostatnio na aukcji i która teraz zdobiła kominek w jego saloniku.

Potem pani Mott podała kolację. Posiłek był smakowity, ale nieco dziwny. Zaczęliśmy od ślimaków i pieczarek. Jedne i drugie były smażone na maśle i John wyraźnie miał kłopoty z ustaleniem, które z krążków są ślimakami, a które grzybami. Usiłował przekroić skorupę ślimaka nożem, a potem chciał wydłubać nadzienie z pieczarki. Czyżby zarządził takie menu specjalnie, żeby zakpić ze swojego okularnictwa?

Dalej szedł smażony turbot pod beszamelem, potem, jako sentymentalne przypomnienie czasów studenckich, kiedy to wspólnie chodziliśmy do tego samego taniego baru, zjedliśmy po porcji flaków z cebulą i tłuczonymi kartoflami.

Potem było ciastko i na zakończenie plaster sera Wensleydale i biała kawa.

Wtedy pani Mott poszła do domu zostawiając nas samych.

Uświadomiłem sobie, że wszystkie potrawy były białe albo co najwyżej kremowe w kolorze i podane na białych talerzach. Nawet wino, które do nich piliśmy, to było leibfraumilch – „mleko ukochanej" – co nie znaczy, że wolałbym do tego zestawu dań ciężkiego burgunda! Gdybyśmy pili burgunda albo inne czerwone wino, mogłoby się wydawać, że nasze kieliszki w cudowny sposób wypełniły się krwią, nieobecną przecież w tej części krowiej anatomii.

Więc kolacja na biało. Ale dlaczego?

Czyżby pani Mott oszalała?

– Możesz nam nalać porto? – spytał gospodarz. Porto nareszcie było intensywnie purpurowoczerwone – kontrast, którego nie skomentowałem, choć moja ciekawość była teraz mocno rozbudzona.

John spróbował wina i w końcu wyznał mi cichym głosem:

– Morris, ja ślepnę.

– Ślepniesz? – powtórzyłem idiotycznie. Patrzyłem na krągłą, różową twarz Johna i na grube okrągłe szkła, które pod pewnym kątem sprawiały, że jego oczy wydawały się wyłupiaste. Na policzkach miał lekkie ślady ospy – zła reakcja na atak dziecięcej choroby, która niewątpliwie również osłabiła jego wzrok. Czubek głowy miał prawie całkiem łysy i gładki. Skóra na nim i resztki włosów były tłustawe. Trzeba by w niego wklepać sporo talku, zanim nadałby się do pokazania w telewizji; w przeciwnym razie błyszczałby się jak licho.

Uznałem, że nadszedł czas, żeby poruszyć sprawę kolacji – w niczym jej nie umniejszając, bowiem mój zmysł smaku napawał się każdym kęsem, chociaż mój zmysł wzroku nie znajdował żadnych podniet.

– Słuchaj, John, kolacja była naprawdę wspaniała! Pani Mott należą się gratulacje. Tylko że... nie było w tym ani źdźbła koloru. Wszystko od początku do końca białe. białe jedzenie na białych talerzach. Bardzo pomysłowe! Może wydaje ci się, że ty ślepniesz tylko dlatego, że nie widzisz żadnego koloru? Po prostu nie było żadnych kolorów.

John roześmiał się nie bez wysiłku.

– Oh, Morris, wiem o tym! Pani Mott zawsze była twoją wielką zwolenniczką. Ta biała kolacja była na twoją cześć.

– Naprawdę? A to dlaczego? Nie bardzo rozumiem.

– Widzisz, ona tak rozumie działanie homeopatii. W tym przypadku homeopatycznego lekarstwa na słabnący wzrok. Weź coś tak istotnego dla zdrowia, jak dobrze przygotowany posiłek. Zapach i smak odgrywają istotną rolę w pobudzaniu apetytu. Ale ważny jest również wygląd potraw, kontrasty i kolory.

– Teraz rozumiem! Pani Mott uważa, że redukując barwy prawie do zera...

– Tak jak homeopata redukuje zawartość leku prawie do zera przez kolejne rozcieńczania. Dokładnie!

– ...spowoduje poprawę twego wzroku. Twój mózg wysili się, żeby rozróżniać śladowe resztki kolorów. Alež ta kobieta ma wyobraźnię!

– Ta biała kolacja miała być również grubą aluzją w przypadku, gdyby zabrakło mi odwagi prosić cię o pomoc.

No, tak, teraz mogłem dodać dwa do dwóch.

Jeszcze jeden przypadek, kiedy ktoś woli szukać porady lekarskiej u weterynarza niż u doktora. Weterynarza, który jest bliskim przyjacielem. Co więcej weterynarza, nie mającego żadnych osobistych pretensji do pewnego radykalnego biskupa, który sprowadzał wizje świętych do braku należytego oświetlenia.

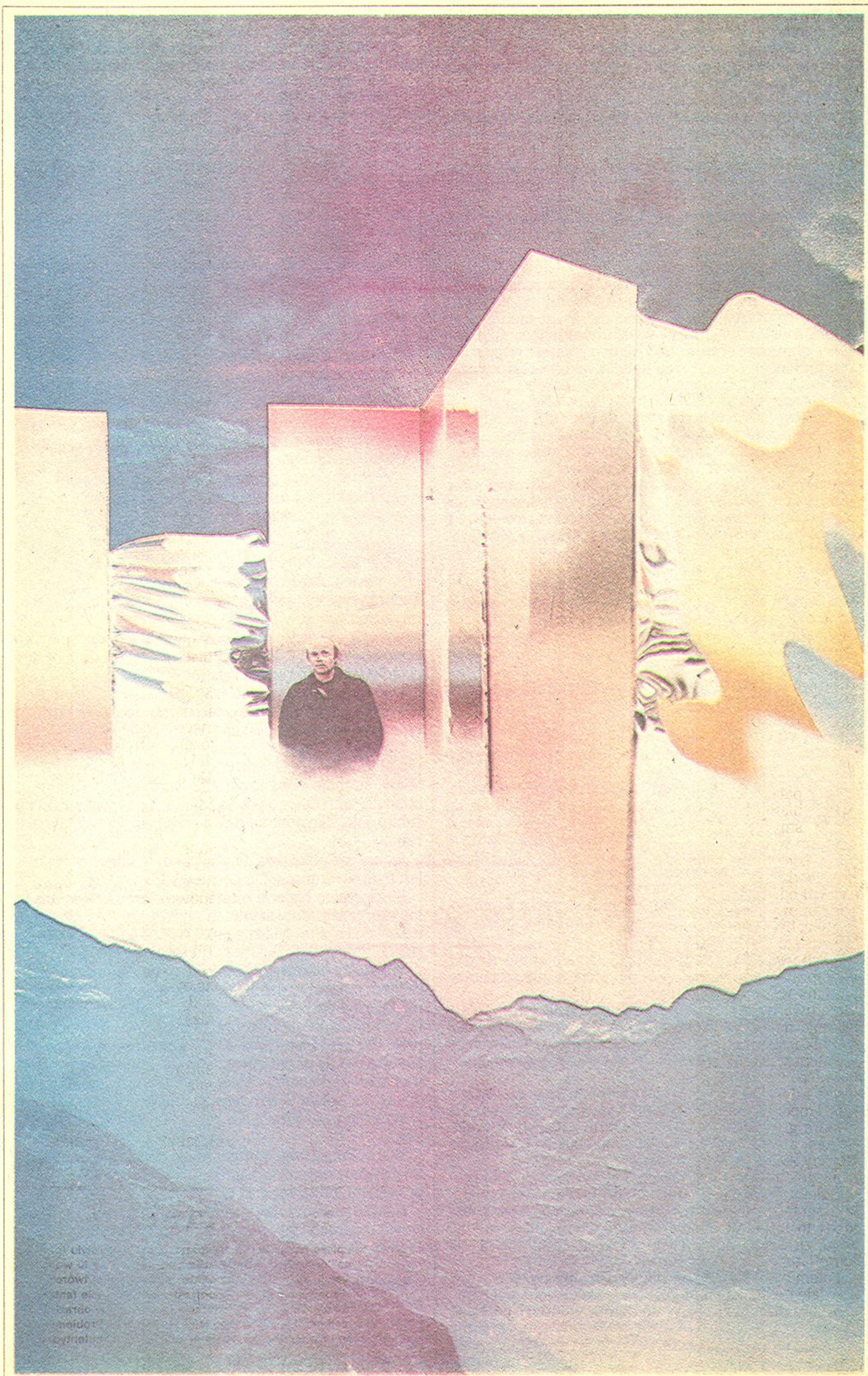
– Na czym więc, według ciebie, polegają twoje kłopoty z oczami, John? Katarakta?

John opróżnił swój kieliszek, jakby dla nabrania odwagi.

Ian WATSON

Autor ten pisze fantastykę w najlepszym angielskim stylu (patrz „Fantastyka" nr 5/87). „Zimne światło", zamieszczone tu w nieco skróconej wersji, stanowi dobry przykład jego dojrzałej twórczości. Utrzymane w konwencji opowieści gotyckiej jest w istocie fantastyką naukową o kontakcie z inną cywilizacją i nawiązuje w obrazie tej cywilizacji do „Kryształowego jaja" H.G. Wellsa. Problemy teologiczne i rozdarcie w Kościele Anglikańskim są autentyczne.

L.J.



Jerzy Fedak

– Ja ślepnę od środka – powiedział. – Ślepnę od środka.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ta ślepota jest jak cień wewnątrz mnie. Cień, który rośnie. Rozrasta się, stale się rozrasta.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Nie jestem okulistą – powiedziałem – ale, jeżeli twój opis jest dokładny, wygląda mi to na zapalenie nerwu wzrokowego. Nacisk opuchlizny może prowadzić do stopniowej atrofii nerwu. Ciemna plama będzie się pozornie powiększać. Część siatkówki straci wrażliwość.

– To coś więcej. – John uderzył się w czoło. – Ta ślepota zakorzeniła się we mnie jak jakieś paskudne czarne zielsko! – Jego głos zadrżał i przycichł. – To z powodu tej mojej książki, nie rozumiesz?

– Co ty mówisz?

– Modliłem się, rzecz jasna. Modlę się w mojej kaplicy codziennie rano przez pół godziny. Modlitwa oczyszcza umysł. Organizuje dzień. Co nie znaczy, że modlę się za siebie! Modlę się, żeby cały świat ujrzał światło miłości. – John był jakby zażenowany. Nigdy dotąd nie wspominał mi o swoich prywatnych modlitwach. – Tymczasem moje własne światło przygasa. W zły sposób.

– Co masz na myśli, John?

– Jest w tej ślepocie coś z rozkładu. Czuję, jak otaczają mnie miazmaty zła, jak wyciągają swoje macki.

– I wiążesz to z wydaniem książki? Uważasz, że to jest... kara? – dolałem mu wina z karafki. – Wolałbym tego nie mówić, John, ale nie można wykluczyć guza. Jeżeli guz uciska ośrodek wzroku w twoim mózgu, może to powodować reakcje emocjonalne. Możesz go nawet odczuwać jako coś ciemnego i złego rozrastającego się w twojej głowie.

Mój przyjaciel nie zgodził się.

– To kalectwo nie ma przyczyny, chyba że jest to przyczyna cudowna. Cudowna – powtórzył – albo diabelska. To jest coś jak czarna powolna błyskawica.

– Ależ, John, sam przecież pisałeś, że diabły są nie bardziej cielesne, niż cienie rzucane przez świece. Nie wierzysz w diabły.

– Przypuśćmy przez chwilę, że diabły istnieją. Morris, ja czuję się jakby opętany.

– Chyba żartujesz.

Ale widziałem, że to nie są tak całkiem żarty.

– Kto jak kto, ale chyba biskupi mają sposoby na diabły? – spytałem.

– Hmm. Musiałbym wtajemniczyć kolegę z Kościoła, zaczęłyby się plotki. Tak samo, gdybym zwrócił się do okulisty. Żenujące, nie uważasz? Także dla Kościoła. A gdybym próbował poddać egzorcyzmom prawdziwy – choć kłopotliwy – cud, cóż, to byłoby jeszcze gorsze. To tak, jakbym usiłował wyrzucić Boga ze swojego życia.

– Czas więc wezwać weterynarza-homeopatę, co?

– W najgorszym razie mogę z tobą szczerze o tym porozmawiać. Pani Mott miała w tej sprawie zupełną rację.

W miarę jak rozmawialiśmy, zaczęło mnie drążyć pewne podejrzenie; podejrzenie, którego nie śmiałbym przedstawić Johnowi.

Czy to możliwe, że pani Mott powoli truła Johna? Biały jest przecież kolorem niewinności, może więc ta biała kolacja miała symbolizować jej niewinność? Tylko, żeby ogłaszać swoją niewinność, musi wiedzieć o swojej winie...

Dlaczego pani Mott namówiła Johna, żeby szukał pomocy u mnie? Może wcale nie była pełna podziwu dla mnie i w gruncie rzeczy uważała mnie za szarlatana, którego rada zaprowadzi Johna na manowce, a powstrzyma go od udania się do lekarza.

John był uzależniony od pani Mott i miał do niej bezgraniczne zaufanie. Czy miałem prawo rzucić cień wątpliwości na ich przyjaźń? Zresztą co mogłoby powodować tą kobietą? Spadek – kupa dziwacznych urządzeń oświetlających? (Sam pałac nie był jego własnością!) Honoraria z jego książki? To nie mogło stanowić fortuny.

W końcu postanowiłem jednak zaryzykować.

Chcąc osłodzić gorzką pigułkę roześmiałem się.

– Mówiąc o fosforencji – zacząłem, choć dawno o niej nie było mowy – w dawnych czasach często używano fosforu jako trucizny, bo jest trudny do wykrycia – pewne ilości fosforu występują w ciele w sposób naturalny. Przytacza się słynny przypadek, kiedy ofiara zorientowała się, o co chodzi, bo talerz z jej zupą świecił, kiedy go niosła ciemnym korytarzem!

– Hmm – mruknął John niezbyt poruszony – a dlaczegóż to pani Mott miałaby chcieć mnie otruć?

– Nie chciałem sugerować...

– Zasugerowałeś. Drobne ilości związku arszeniku, co? Odrobina trutki na szczury dzień po dniu. Jednak w dawkach nieco większych niż homeopatyczne! Nic na świecie nie mogłoby jej do tego skłonić.

– Może więc coś nie z tego świata?

– Nie rozumiem.

– Może na przykład uważa twoją książkę za bluźnierczą. Może wierzy, że działasz w zmowie z Antychrystem.

– Pani Mott? Nie sądzę. A ty?

Pomyślałem o tej dobrodusznej, oddanej, pogodnej osobie i potrząsnąłem głową.

Tej nocy, kiedy leżałem na granicy snu w wielkim dębowym łożu dla gości, przypomniała mi się opowieść o fosforyzującej zupie. Talerz świecącej zupy w ciemnym korytarzu...

Czyżby to była waza, co widzę przed sobą,
z chochlą zwróconą w stronę mojej ręki?
Czyś ty wywar z homara, sos vichy, czy może
zwykły wołowy rosół z arszenikiem?
Czyżbyś nie był, bulionie fatalny, zmysłoczuły
dla smaku, jak dla wzroku? Czyś jest może
polewką wyobraźni?

Sam nie bardzo wiem dlaczego postanowiłem wstać z ciepłego łóżka, żeby snuć się o północy po zimnym biskupim pałacu. Może wyobraziłem sobie, że w ciemnej kuchni wypatrzę jakiś fosforyzujący słoik z przyprawami, zdradzający w ten sposób trujący charakter swojej zawartości. Dość, że wstałem, wsunąłem nogi w pantofle i owinąwszy się szlafrokiem ruszyłem do drzwi z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Nie korzystałem z latarki i nie odsłoniłem zasłon. Chciałem, żeby moje oczy zachowały kocią zdolność do rejestrowania najsłabszych nawet źródeł światła.

Macając po ścianie, przeszedłem korytarzem koło sypialni Johna– na palcach, choć nie miałem powodów do obaw, że moje ciche kroki albo skrzyp klepki mogą go obudzić. John dawno powiedział mi, że sypia zawsze jak zabity. Jak tylko dotknie głową poduszki, śpi jak kłoda do rana.

Jednak łazienka była na przeciwnym końcu korytarza. Jak bym wytłumaczył te nocne wędrówki?

Streszczając historię moich poszukiwań, dotarłem do kuchni, potem do wszystkich pomieszczeń na parterze, nawet do kaplicy. Nigdzie nie znalazłem nic podejrzanego.

W kaplicy panował przejmujący chłód, ale był to chłód całkiem naturalny – zbliżała się zima. Jeżeli jakiś automat nie włączał ogrzewania wczesnym rankiem, półgodzinna modlitwa Johna była prawdziwą pokutą. W każdym razie nie był to ten mróz, który przebiega po grzbiecie i zmusza psy do przeraźliwego wycia. Jeżeli w kaplicy Johna panował diabelny chłód, to jestem pewien, że to nie diabeł ponosił za to odpowiedzialność.

Wróciłem na górę tylko raz wybijając sobie palec u nogi.

W mroku górnego korytarza źle obliczyłem odległość. Nacisnąłem mosiężną klamkę i stwierdziłem, że jestem w sypialni Johna zamiast w swojej.

Uświadomiłem sobie swój błąd natychmiast, ponieważ głowę pogrążonego we śnie Johna otaczał pierścień światła. Spał w wełnianej szlafmycy z wielkim pomponem, którą widocznie zrobiła mu pani Mott.

Pierścień światła miał szerokość jego głowy. Nawet dla moich przywykłych do ciemności oczu światło nie było jasne, ale pozwalało wyraźnie widzieć śpiące oblicze Johna i zarys łóżka. Widocznie było to jakieś odbicie światła z zewnątrz, może nocnej lampy łukowej z dworca kolejowego.

PILAR COOMONTE



Podszedłem do okna, żeby to sprawdzić, ale grube zasłony były szczelnie zaciągnięte.

Onegdaj w nocy Wieczność oczy me ujrzały
Jak wielki Pierścień światła, bezkresny i biały. *

W samym pokoju nie było ani iskierki innego światła. Również moje ruchy nie przyćmiewały ani nie przesłaniały tego pierścienia perłowej poświaty. Wszelkie myśli o pani Mott jako o dostarczycielce fosforowej zupy momentalnie wyleciały przez okno (to znaczy wyleciałyby, gdyby okno nie było tak szczelnie zasłonięte). Nie mogłem się dłużej oszukiwać. Wiedziałem, co mam przed sobą.

Nad głową śpiącego Johna unosiła się aureola.

Taka, jaką noszą święci na obrazach.

Może nie tak jaskrawa! Nic olśniewającego, skromna aureola, która nie byłaby widoczna, gdyby nie całkowite ciemności. Niemniej jednak aureola.

Głowa Johna była pogrążona w grubej poduszce. Aureola nawisała nad jego twarzą. Wyciągnąłem ostrożnie palec, żeby jej dotknąć.

Zapewne była to nieostrożność, ale nie doznałem żadnych konsekwencji. Nie poczułem wstrząsu, mrowienia, ciepła. Nie mogła to być żadna dziwaczna odmiana pioruna kulistego ani ognia świętego Elma. Przeciągnąłem dłonią przez aureolę bez żadnego skutku. Potem potrząsnąłem Johna za ramię.

– Obudź się, chłopie! Obudź się!

– Pożar? Złodzieje? Która godzina?

– Nie, nie, nie. Nic z tych rzeczy. Siadaj.

Kiedy usiadł, aureola zmieniła pozycję, utrzymując się nad szlafmycą.

– Co się dzieje, Morris? Gdzie jest moja latarka? (Oświetlenia sypialni Johna stanowiły dziewiętnastowieczne lampy powozowe).

Chwyciłem go za rękę.

– Nie, nie trzeba latarki! Masz tu gdzieś lustro?

– Jest w szafie.

– Możesz mi pokazać?

Mrucząc pod nosem John wstał z pościeli – aureola towarzyszyła mu niezmiennie – i otworzył drzwi szafy.

Teraz były dwie aureole: jedna nad jego głową, druga w dużym lustrze.

– Boże, co to za światło? Nie mam okularów.

– Podam ci. Powiedz, gdzie są.

– Na nocnym stoliku.

Przyniosłem mu okulary, włożył je.

– Wielkie nieba!

– Święte słowa, John. Masz aureolę.

Zrobił krok do tyłu i do przodu. Przesunął dłonią nad głową. Zdjął szlafmycę, jakby sprawdzał, czy nie zrobiłem mu kawału i nie przyczepiłem tego widmowego światła do czapki.

– O Boże – powiedział – moje oczy są do niczego, ale i tak ją widzę. A zawsze uważałem, że w aureolach jest coś niepoważnego...

– Cóż, widocznie stajesz się świętym, stary koniu.

– Co, ja? Święty? Nie bądź śmieszny. Poza tym święci wcale nie mieli pierścieni światła nad głowami! To tylko konwencja artystyczna. Sposób przedstawiania świętych.

– Może niektórzy święci mieli widzialne aureole? W dawnych czasach?

– Myślę, że taka aureola musiałaby być znacznie silniejsza od mojej.

– Może masz dopiero zalążek aureoli? Młodą aureolę.

– To znaczy, że miałaby się wzmacniać? W miarę, jak mój wzrok słabnie? Zróbmy tu trochę światła.

Mój przyjaciel odnalazł swoją latarkę i rozpoczął ceremoniał rozpalania lamp powozowych. W miarę jak w sypialni robiło się coraz jaśniej, aureola słabła do ledwo widocznego migotania.

Usiadłem na krześle, John przycupnął na łóżku.

– Wszystko to jest bardzo kłopotliwe – powiedział. – To niedorzeczne! Nie mogę być początkującym świętym. Poza tym, co mogłoby powodować aureolę?

– Może Łaska, proszę księdza biskupa?

– Bądź poważny.

– Nie wierzysz w to? Chcę cię o coś spytać, John. Czy napisałeś tę swoją książkę, żeby zdemaskować radykalną teologię? Czy jest ona czymś w rodzaju ofiary – z wszystkiego, co ci było drogie – żeby podtrzymać wiarę?

– O Boże, nie sądzę. Mówiłem ci, Morris, że czuję złą ciemność rozszerzającą się we mnie. Jeżeli wyrasta mi aureola, to zapewniam cię, że odbywa się to kosztem mojej duszy. To nie żaden reflektor oświetlający świętość! Przyjemnie by było wyobrazić sobie, że jest to jakaś lampa miłości. Przyjemnie byłoby pomyśleć, że jakieś stare mroczne klasztory rzeczywiście bywały oświetlone świętością – z głową świętego jako źródłem światła! Czy nie cudownie byłoby, gdyby miasta przyszłości mogły być oświetlane naszą własną czystością, gdyby ludzkość wzniosła się na wyższy poziom? Niebo błyszczałoby wówczas blaskiem swoich świętych. Piekło byłoby czarne ciemnością swoich grzeszników. Ale to zdecydowanie nie jest to, co ja odczuwam, podczas gdy ta ciemność pożera moje światło.

Pożera.

– Ta aureola pożera twój wzrok... co by to mogło znaczyć? Że aureola jest jakimś rodzajem zorganizowanej energii? Że potrzebuje światła dla swojego przetrwania... dla wzrostu? Pewne świecące ryby głębinowe muszą zjadać świecący plankton, bo w przeciwnym razie przestają świecić. A świecenie jest im potrzebne, żeby przyciągać ofiary.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Morris?

– Może ta aureola jest czymś żywym, zwierzęciem nie z krwi i kości, ale z energii. Żywi się fotonami, które docierają do twoich oczu albo impulsami elektrycznymi w nerwach wzrokowych. Dlatego ślepniesz. Twój mózg wyczuwa, jak to się odżywia twoim kosztem; pożera światło, żeby wytwarzać światło.

– Pasożyt? Po co miałby wytwarzać światło? Hmm, słynni święci nie byli przecież ślepcami...

– A więc widocznie aureole nie mogą być dziełem pasożytów.

John w zadumie potrząsnął głową.

– Wspomniałeś o świecących rybach przyciągających ofiary. Jakie „ofiary" może przyciągać święty? Oczywiście, wiernych. Łatwowiernych. Grzeszników dojrzałych do nawrócenia. Ludzi o skłonnościach religijnych. Aureola może być haczykiem, na który Bóg łowi ludzi. Może być aniołem, który zasiada z wędką. I wysysa fotony z oczu świętego, żeby napędzać aureolę? Hagiografia nie wspomina, żeby święci mieli kłopoty ze wzrokiem.

– Może było tylko kilku prawdziwych świętych i ich aureole przeszły do legendy? A ty jesteś następnym świętym. Cudem w bezbożnym wieku.

– Czyżbyś usiłował mnie kanonizować? Powinieneś być adwokatem diabła.

– Rozważam tylko różne możliwości. Oto inna: może kiedyś było więcej kanałów przewodzących boskie światło? Anioły obsługujące aureole nie musiały wysysać światła ze świętych, bo miały inne źródła energii.

– W takim razie, dlaczego czuję, że moja ślepota jest złem? Dlaczego odczuwam taki brak łaski?

– Nie wiem.

– Czy kiedy oślepnę do końca, moja aureola rozbłyśnie w pełni chwały? Czyja wiara jest tu poddawana próbie? Świata czy moja? Czy to w ogóle jest próba wiary, czy też dzieło jakiejś złośliwej pasożytniczej istoty z innego świata? Czy na tym właśnie polega cud: coś, czego nie można dowieść, co trzeba przyjąć na wiarę, jak samego Boga? Nawet jeżeli się czuje, że samemu jest się potępionym! Opętanym! – Wyciągnął do mnie obie ręce. – Czy

* *Przekł. Stanisława Barańczaka*

błagając cię, żebyś mnie wyleczył, Bóg jeden wie dlaczego, skazuję się na potępienie? Czy powinienem, pozwolić, żeby moja aureola rosła w siłę i w ten sposób potwierdzać wiarę milionów, jednocześnie tracąc własną, zapadając się w głęboką, ciemną jamę?

– Może to coś odejdzie samo – powiedziałem bez przekonania. – Może stopniowo ustąpi i wzrok ci się poprawi.

– Czy zostaniesz ze mną przez kilka dni?

– Przez tydzień. Dłużej, jeżeli będzie trzeba. Oczywiście, że zostanę.

Westchnął.

– Dziękuję ci, Morris. A teraz lepiej idź się położyć. Ja też to zrobię. – Nagle powrócił jego biskupi autorytet. – Idź, już Morris. Ja pogaszę latarnie.

Wtydzień później nadal mieszkałem w pałacu; aureola była coraz mocniejsza. Widziałem pierścień światła nad głową Johna przy świetle dziennym i sztucznym. Wzrok mojego przyjaciela pogorszył się drastycznie.

Nie mogło już być mowy o wiezieniu go do okulisty albo do szpitala. Co więcej, John i ja zgodziliśmy się całkowicie, że pani Mott nie powinna wiedzieć o aureoli. Posiłki, które przygotowywała, nosiłem mu na tacy do pokoju i kroiłem za niego mięso.

Biskup był chory, unieruchomiony, a ja go leczyłem. Taka była oficjalna wersja. Przechodził poważną infekcję, jednak nie zagrażającą jego życi[illegible] Pani Mott przyjęła ten fakt do wiadomości dopiero kied[illegible] John obwieścił jej to zdecydowanym głosem przez drzwi.

Sprawy diecezji zostały podobnie załatwione. Sekretarz Johna trochę się obraził, żądał też, żeby biskupa zbadał „prawdziwy" lekarz. Biskup wyraził swoje zdanie głośno przez drzwi i w ten sposób odkryłem, że mój przyjaciel potrafi być twardy i że nie został biskupem wyłącznie przez połączenie dobroci z protekcją.

Umysł Johna pozostawał nienaruszony. Istota odpowiedzialna za aureolę nie miała widocznie ambicji przemawiania jego ustami, szeptania słów w jego głowie czy mieszania się do jego snów.

Ale stawała się coraz jaśniejsza, coraz jaśniejsza.

– Nawet, kiedy będę zupełnie ślepy – powiedział John – nie będę ślepy w prawdziwym tego słowa znaczeniu, tylko całe światło zostanie mi ukradzione dla podtrzymania aureoli. A to już nastąpi niedługo. Jak myślisz, może powinniśmy zadzwonić do telewizji? Powiedzieć im, żeby zorganizowali mi konferencję prasową? Czy nie należałoby zaprezentować cudu światu? Czy nie powinienem powiedzieć: „Oto jest błyskawica boża"? Taka, która nie uderza w katedry, ale spokojnie i jasno krąży wokół mojej głowy, podczas gdy ja siedzę w błotnistej jamie jak w piekle Dantego.

Czy nie powinienem im powiedzieć: „Strzeżcie się zimnego światła przyszłości, światła następnego stulecia wiary"? Ja dźwigam je jak mój krzyż, czy też raczej moje koło, mój pierścień Piotra, mój annulus angeli. Ale ja wiem, że mój anioł jest ciemny. Świeci jedynie dzięki kradzieży, dzięki świetlnemu wampiryzmowi. Jakże więc mógłby pochodzić od Boga? To zrujnowało moją wiarę w Boga, tak samo jak zrujnowało mój wzrok. Jeżeli to jest kara boska, to może powinienem przekląć Boga! A jeżeli to ma być nagroda, to tym bardziej! Jeżeli zaś jest to dzieło diabła, to świat nigdy nie stanie się lepszy, a my nigdy nie dostąpimy oświecenia.

– Może bardziej ci jest potrzebny doradca duchowny niż weterynarz-homeopata? – zasugerowałem.

Potrząsnął gwałtownie głową, przy czym aureola ani drgnęła.

– Muszę... sam zdecydować. Tylko ja wiem, co to znaczy być teraz mną.

I zadecydował – w najokropniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić...

Wyrwał mnie ze snu daleki krzyk. Włączyłem swoją latarkę (absolutnie niezbędną w tym pałacu, w którym systemy oświetleniowe sięgały od prymitywnych do najnowszych). Na moim zegarku było wpół do szóstej rano. Na zewnątrz panował jeszcze głęboki mrok. Czyżby krzyk sowy w lodowatych ruinach zamku?

– Morris! – doleciał mnie z oddali głos przyjaciela.

Znalazłem go w kaplicy. Paliły się wszystkie świece. John klęczał przed małym ołtarzem. Koło niego na kamiennej posadzce leżał zakrwawiony nóż do chleba. Po policzkach Johna, po upiornie pustej twarzy spływała krew. Na obrusie Ołtarza, wpatrzone w srebrny krucyfiks, leżały jego dwie gałki oczne.

To dziwne, jak w chwilach przerażenia człowiek zauważa najdrobniejsze szczegóły. Zauważyłem, że John użył noża do chleba, z ostrzem w kształcie piły i z zaokrąglonym końcem. Zaokrąglony koniec, żeby podważyć gałki oczne, piłka, żeby przeciąć nerwy wzrokowe.

Może to zresztą nie był taki drobny szczegół. Dowodziło to z jaką premedytacją John dokonał tego samookaleczenia.

Jego ślepe, nie mrugające oczy wpatrzone były w znak Chrystusa. Nad jego głową, w blasku tylu świec, aureola była ledwo widoczna.

– Czy to ty, Morris? – W jego głosie słychać było ból.

– Tak.

– Czy ta piekielna rzecz znikła?

– Chyba przygasa. Oh, John, coś ty narobił!

Przygasała raptownie. Do czasu, kiedy przyjechała karetka, aureola przestała być widoczna.

Nie trzeba mówić, że pojechałem z Johnem do szpitala. Ledwo lekarz zdołał mnie zapewnić, że John otrzymał znieczulenie i jest pod dobrą opieką, do Szpitala Świętego Łukasza przybył inspektor i dwóch innych policjantów, żeby ze mną porozmawiać. Kierowca karetki zgłosił wypadek, policja pośpieszyła do pałacu przybywając tam tuż przed panią Mott. Zobaczyli zakrwawiony nóż do chleba i oczy leżące na ołtarzu. Wyglądało to niewątpliwie na sadystyczną zbrodnię popełnioną przez szaleńca, czyli przeze mnie.

Na szczęście nie dotykałem noża.

Podczas kilkugodzinnego przesłuchania, które trwało póki John nie odzyskał przytomności po znieczuleniu, dowiedziałem się, że procesy myślowe policjantów upodobniają się do dziennikarzy najgorszej prasy brukowej. Właściwie nie powinno to dziwić, bo zajmują się tymi samymi sprawami. Inspektor poświęcił masę czasu rozwijaniu myśli, że biskup Ingolby i ja, obaj nieżonaci, mogliśmy tworzyć związek homoseksualny od czasów studenckich i wówczas okropność, która się zdarzyła, byłaby wynikiem awantury na tle seksualnym, połączonej być może z szantażem – biskup był przecież teraz znakomitością.

Nawet kiedy John ocknął się i uwolnił mnie od zarzutów, inspektor niechętnie rozstawał się ze swoimi podejrzeniami. Ostatecznie, biskup mógł mnie kryć, siebie także przy okazji. Na nożu nie było moich odcisków palców, tylko Johna i pani Mott pod spodem, ale przecież mogłem mieć rękawiczki.

Właściwie nie powinienem mieć do policji pretensji. Musieli wyczuwać, że kłamałem, i John również, na temat powodów okaleczenia.

Jedyny „niepodważalny" fakt, dostarczony przez panią Mott, mianowicie, że biskup obawiał się ślepoty, nie wydawał się tak niepodważalny wobec tego, że lekarz Johna nic o tym nie wiedział, podobnie jak sekretarz diecezji.

Poza tym, w jakimż to szalonym emocjonalnym równaniu lęk przed utratą wzroku prowadzi do dobrowolnego samooślepienia?

W pewnym sensie to prasa brukowa przyszła nam na ratunek. Po cynku z policji albo z pogotowia spadły na

PILAR COOMONTE



Porchester dziennikarskie sępy. Dla nich najważniejsze było, że oczy Johna Ingolby, sceptycznego autora „Religii i historii oświetlenia" zostały umieszczone na ołtarzu. Czymże były, jeżeli nie ofiarą?

W ten sposób prasa dodała dwa i dwa, i wyszło jej cztery. Podczas gdy prawdziwa odpowiedź była liczbą całkowicie nierzeczywistą. Albo może zerem, tajemniczym zerem aureoli.

— John, dlaczego właściwie położyłeś swoje oczy na ołtarzu?

Minęło dwa tygodnie, John był z powrotem w domu wracając do zdrowia. Niedługo jednak musiał opuścić pałac biskupi, sekretarz arcybiskupa bardzo nalegał na rezygnację Johna, ze względów humanitarnych.

Pani Mott poszła do domu, podobnie jak doktor, który przyszedł obejrzeć oczodoły i zmienić opatrunek. Byliśmy w pałacu sami, John i ja, jak pierwszego wieczoru po moim przyjeździe, z tą różnicą, że John miał teraz opaskę na oczach. A także wcześniej zjedliśmy normalną kolację z brązową wołowiną, zieloną kapustą i złocistymi frytkami.

– Dlaczego, John?

– A jak sobie wyobrażasz? Zawsze lubiłem porządek. Gdzie je miałem położyć? Na podłodze? Nie chciałem, żeby ktoś je rozdeptał!

– I to jedyny powód? Porządek?

– Musiałem z tym zrobić porządek, Morris. Nie tylko z moimi oczami... Wiesz przecież.

– Chyba tak... Czy zgodzisz się na sztuczne oczy? Szklane, plastykowe, sam nie wiem?

Roześmiał się sucho.

– Od sztucznego oświetlenia do sztucznych oczu! Krok logiczny, choć nie prowadzący do większej jasności. Tak, myślę, że szklane oczy mogą być nieszkodliwe. W razie czego znacznie łatwiej będzie się ich pozbyć. Do ustępu i spuścić wodę.

W dwa i pół roku później firma Matsuya Biotechnic K.K. z Japonii ogłosiła, że zbudowała sztuczne bioniczne oczy, podłączane do nerwu wzrokowego.

Model deluxe stanowi zadziwiający postęp w stosunku do tradycyjnych organów wizualnych z mięśni, chrząści i płynu. Za lekkim dotknięciem guziczków (ukrytych pod powiekami) te japońskie oczy mogą być dostosowane do widzenia w podczerwieni, do teleskopowego powiększenia lub do sowiego wykorzystania światła w najciemniejszej nocy.

Armie całego świata bardzo się zainteresowały, ale jest jeden szkopuł. Żeby korzystać z oczu firmy Matsuya, najpierw trzeba się pozbyć swoich własnych.

W ciągu ostatnich dwóch lat odwiedziłem Johna co najmniej z tuzin razy w jego skromnym domku w małej wiosce koło Porchester, gdzie pani Mott nadal otaczała go swoją opieką, i wiedziałem jak cierpi.

Nie z bólu, tylko na skutek moralnego niepokoju.

Nie z biedy, bo jego książka po sensacyjnym samooślepieniu miała wydania kieszonkowe i zagraniczne, ale na skutek duchowej klaustrofobii.

John otrzymał parę wielce przekonywających plastykowych gałek ocznych. Niebieskie, wykonane holograficzną techniką tęczówki wyglądały chwilami bardziej żywo niż prawdziwe oczy.

Dwa tygodnie temu zadzwonił do mnie.

– Sprawię sobie te japońskie oczy – powiedział. – Jeżeli tylko ich ekspertów nie zawiodą nerwy! – roześmiał się. – Mam na myśli moje nerwy wzrokowe. Nie wytrzymuję już tych piekielnych ciemności, Morris. Ten stwór od aureoli musiał zdechnąć wieki temu. Zrezygnować, pójść do domu, nie wiem co one tam robią, kiedy gospodarz zamorzy je głodem.

Dużo rozmawialiśmy o tych stworach, John i ja.

Anioł? Demon? Pozaziemska forma życia? Czy też istota z jakiegoś całkowicie innego wszechświata, odmienna forma istnienia, która zabłąkała się do naszej rzeczywistości?

Nie musiała to wcale być istota rozumna. Mogła nie przewyższać inteligencją ryby głębinowej albo robaczka świętojańskiego.

Może była pasożytem żerującym na jakichś obcych, którzy nie rozpoznani odwiedzali naszą planetę, i wydostała się na wolność. Czy dawała jakąś symbiotyczną korzyść tym hipotetycznym obcym, czy też była tylko dolegliwością, jak katar, taka grypa oczna? Zło, które John odczuwał, mogło wynikać z obcości stwora, niekoniecznie z jakiejś moralnej, metafizycznej jego właściwości.

Stopniowo przystaliśmy na wyjaśnienie naturalne, choć bez prób ustalenia czegoś o samym zwierzęciu. Pasożyt, który oślepia swojego nosiciela i zapala mu pochodnię nad głową nie wyglądał na mistrza w sztuce przetrwania, ale może John był pod tym względem jak mieszkaniec Wysp Południowych zarażony europejską wietrzną ospą.

W każdym razie ja zadowoliłem się taką interpretacją. John nadal mówił o piekielnych ciemnościach.

Teraz technika miała go uwolnić od tych ciemności; podobnie jak coraz doskonalsze sztuczne oświetlenie miało stopniowo przepędzać skrzaty i duchy, diabła i Boga.

– Kontaktowałem się z przedstawicielstwem Japończyków w Londynie – powiedział mi. – Firma Matsuya wyśle dwóch chirurgów i parę oczu samolotem przez Biegun Północny. Będzie to dla nich dobra reklama. Można powiedzieć, że pociągnąłem za sznurki, a za parę dni oni będą pociągać za sznurki w mojej głowie, żeby sprawdzić, czy jeszcze działają. Jak wszystko dobrze pójdzie, powinienem być za dwa tygodnie w domu z nowymi oczami.

Wszystko poszło dobrze.

John Ingolby znów widzi. I to lepiej, niż kiedykolwiek w życiu. Lepiej niż wszyscy ludzie na świecie, z wyjątkiem takich, którzy jak on zamienili swoją naturalną aparaturę na bioniczną.

Nowo odkryty świat jest dla niego rewelacją. Moja twarz, nie widziana od przeszło dwóch lat, jest jak mistyczna wizja. Podobnie z twarzą pani Mott. Podobnie z jej kwiatowo-ziołowym ogródkiem przy domu.

Podobnie z nocą, kiedy widzi bez trudu, oglądając monochromatyczne wzgórza, drzewa, krowy i żywopłoty, a gwiazdy z góry świecą tysiącami jasnych lamp.

Podobnie z cieplnym obrazem świata o świcie, kiedy te same krowy widoczne są jako jaskrawoczerwone plamy na zimnobłękitnych polach, pozostawiające za sobą różowe ślady racic na rosie. Przelatujący ptak jest ognistym meteorem.

Całe to piękno leczy duszę Johna. Jego nowe oczy wyglądają mniej naturalnie niż poprzednie, plastykowe; są srebrnoszare i pod pewnym kątem zmieniają się w lusterka. Ale to nie jest ważne.

– John...

Jest drugi wieczór mojej wizyty i wyszliśmy przed dom, żeby popatrzeć na niebo. Pani Mott położyła się wcześnie.

– John, to wróciło.

– Co?

– Twoja aureola. Znów jest lekko widoczna.

– Nie żartuj, Morris.

– Ja nie żartuję. Widzę ją.

John podchodzi do domku, przegląda się w oknie. Widzi wszystko znacznie wyraźniej. Odbicie w szybie potwierdza moje słowa.

– O, mój Boże. Więc to nie mieszkało w moich oczach i nie żywiło się fotonami. To przez cały czas siedziało w moim mózgu. Czekało w uśpieniu jak zamrożony wirus i światło obudziło je ponownie. O, mój Boże. Te japońskie oczy są instalowane na stałe. Nie mogę ich wyjmować, kiedy chcę...

– A nie możesz ich wyłączyć?

– A po co komu wyłączane oczy? Kiedy idę do łóżka, moje powieki robią to same. Wyłącznik to o jeden przycisk za dużo.

Aureola nie rzuca się w oczy, kiedy pani Mott podaje nam rano jajka na bekonie. Ona nic nie zauważa, ale ja dostrzegam lekkie migotanie.

Niebo jest błękitne, słońce jasne.

– Piękny wiosenny poranek– zauważył John. – Ale później może się zachmurzyć. Przejdziemy się na Wzgórze Hinchcombe.

Na Wzgórze Hinchcombe idzie się milę drogą, a potem stromą leśną ścieżką na porośnięty krzewami kolcolistu wierzchołek, na którym spotkać można jedynie stadko owiec rasy suffolk. Te krzepkie owce kocą się wcześnie, przed Bożym Narodzeniem i teraz pasły się tu matki już oddzielone od jagniąt.

W cieniu jodeł było chłodno, ale na szczycie panował upał jak w lecie.

– Czy widzisz naszego okrągłego przyjaciela?

– Nie, słońce jest zbyt jaskrawe – odpowiedziałem.

– To dobrze. Wszyscy wiemy, że nie należy patrzeć w słońce, prawda? Ostre słońce może spalić komórki siatkówki. Ja mam sztuczną siatkówkę, znacznie odporniejszą. Mógłby ją może zniszczyć rozbłysk termojądrowy,

ale przecież wszyscy wiemy, że wybuch jądrowy jest jaśniejszy niż tysiąc słońc. Powinienem więc mieć duży zapas wytrzymałości, nawet kiedy włączę nocne widzenie.

– Nie rób tego, John.

– Nic mnie nie obchodzi, jeżeli popsuję te oczy. Teraz już nie.

– Możesz uszkodzić ośrodek wzroku w mózgu.

– Tam, gdzie to bydlę mieszka, co? Chyba że mieszka w innym wszechświecie albo w Niebie, a w mojej głowie ma tylko otwór do podglądania.

John siada na kamieniu twarzą do Słońca.

– Chcesz jeść? – krzyczy. – Ja cię nakarmię!

Z jakiegoś powodu (nawyk, rytuał, ostrożność?) robi znak krzyża i zaczyna wpatrywać się w Słońce. Jednocześnie głośno, monotonnie mruczy melodię hymnu „Anioły z Królestwa Chwały".

Mijają minuty.

– Widzę ją, John. Błyszczy.

Jaśniej, coraz jaśniej.

Teraz jest to już pełna, jaskrawa aureola, a on nadal patrzy w Słońce.

Przerywa mruczando.

– Mów, co widzisz! – żąda.

– Nie mogę już na nią patrzeć wprost. Jest zbyt jasna. – Dobrze przynajmniej, że to zimne światło, bo w przeciwnym razie Johnowi mózg by się ugotował.

– Nie dla mnie. Ja widzę, że zapada mrok. Słońce wygląda jak cytryna we mgle. „Anioły! Z Królestwa Chwały!"

Muszę się odwrócić. Owce zeszły niżej chroniąc się przed tym drugim, miniaturowym słońcem.

– Ślepnę coraz bardziej, Morris. To naprawdę pożera światło.

– I wydala je z powrotem!

– Wkrótce będę znów ociemniały. Ale co tam. „Anioły! Z Królestwa Chwały!"

Szkoda, że nie mam okopconego szkiełka. Odważam się zerkać jedynie od czasu do czasu.

Spojrzenie:

Aureola nie ma już kształtu pierścienia. Jest to ognista kula jak druga głowa. Kiedy się odwracam, jej powidok buja nad jodłami jak piorun kulisty.

– „Anioły!"

Rzucam dwa cienie na trawę i krzewy.

Spojrzenie:

– To rośnie w górę, John!

Kolumna oślepiającej srebrzystej jasności; mogłaby oświetlać całą ulicę.

W powidoku nad drzewami unosi się jakaś postać, chwieje się i znika.

Spojrzenie:

Teraz powidok jest wyraźniejszy. To nie jest postać ludzka. Jest zbyt wysmukła, rozszerza się tylko w piersi. Nogi są za krótkie, ręce za długie i za cienkie. Głowa jakby ptasia, z dziobem zamiast ust.

– „Anioły z Królestwa Chwały!"

Powidok ma skrzydła, wielkie ogniste skrzydła.

To Anioł Ognisty, który wypędził Adama i Ewę z Raju.

– John, na twojej głowie siedzi jakieś stworzenie! Wielki chudy ptak! Podobny do człowieka, ale to nie człowiek.

Jego szpony obejmują czaszkę Johna, jakby to było jajo.

Spojrzenie:

Powidok rozdziawia dziób. Co za skrzekliwy, przenikliwy głos!

John przestał podśpiewywać. Ten odgłos ni to szpaka, ni to papugi, wydobywa się z jego ust...

– Słyszę cię! – krzyczę.

Osłaniam oczy dłońmi: John siedzi jak poprzednio wpatrując się nieruchomo w Słońce.

– Przychodzę! – wrzeszczy świetlisty ptak. – Ogłaszam swoje przyjście!

– Skąd przychodzisz?

– Zabieram.

– Co zabierasz i dokąd?

– Swój łup! Do gniazda!

John jest więc łupem. Muszę przerwać dopływ Słońca do jego oczu! Osłaniając głowę przed przerażającą kolumną światła podkradam się skulony i spycham go z kamienia. Zaciskając z całej siły powieki padam obok niego, po omacku odnajduję jego głowę i zasłaniam dłońmi jego japońskie oczy.

– Aiiii! – wrzeszczy głos.

Odzywa się własny głos Johna.

– O, błogosławione wizje! Królestwo Chwały! Niebiańskie miasto aniołów! Z wysmukłymi, niebotycznymi wieżami oświetlonymi w nocy zimnym światłem, jakby na każdej wieży paliła się gwiazda, jakby na każdym dachu przysiadł anioł. Białe anioły szybują w perłowym świetle dnia. W dole łąka z małymi błękitnymi kozami-elfami, pasącymi się nad mleczną rzeką...

– Nie idź za tym, John! Wyrzuć to ze swojej głowy!

– Moja dusza wejdzie do anielskiego jaja.

– Broń się! To coś chce ci zabrać twój umysł.

– Odrodzę się jako anioł.

– To są drapieżne ptaki, John. Nie anioły, tylko orły z innego świata.

– Nie, to są niebiańskie... – jego głos zamiera.

– Aiiii! Zwycięstwo!

Ciało Johna drga, potem nieruchomieje.

Ostrożnie otwieram oczy. Oślepiające światło, drugie słońce, znikło. Tylko nasze własne żółte słońce świeci na krzewy, głazy, trawę i na ciało mojego przyjaciela.

Sprawdzam puls... nic. Jego serce stanęło. Nie umiem robić oddychania „usta-usta", ale mimo to próbuję przywrócić mu oddech... na próżno.

Siedzę przy ciepłym od słońca ciele przez dłuższą chwilę.

John uwierzył, że jego umysł wejdzie do anielskiego jaja w tamtym obcym świecie, w tamtej innej rzeczywistości.

Pewnie po to, żeby się wylęgnąć.

Tylko jako co? Jako anioł, równy innym aniołom-ptakom?

Czy może jako więzień przynoszący chlubę temu, co go pojmał? Niewolnik? Ofiara? Dar dla Pana świetlistych ptaków?

Zaraz zejdę ze wzgórza, ścieżką przez las, potem drogą, tym razem sam. Będę musiał powiedzieć, że wysiłek podejścia spowodował zawał i śmierć Johna. Powiem, że jego duch wstąpił do Nieba, gdzie teraz jest jego dom.

Muszę mieć nadzieję, że nikt inny nie widział oślepiającego światła na Wzgórzu Hinchcombe, tej światłości, która porwała Johna do swojego dalekiego gniazda, pozostawiając niepotrzebne ubranie jego ciała.

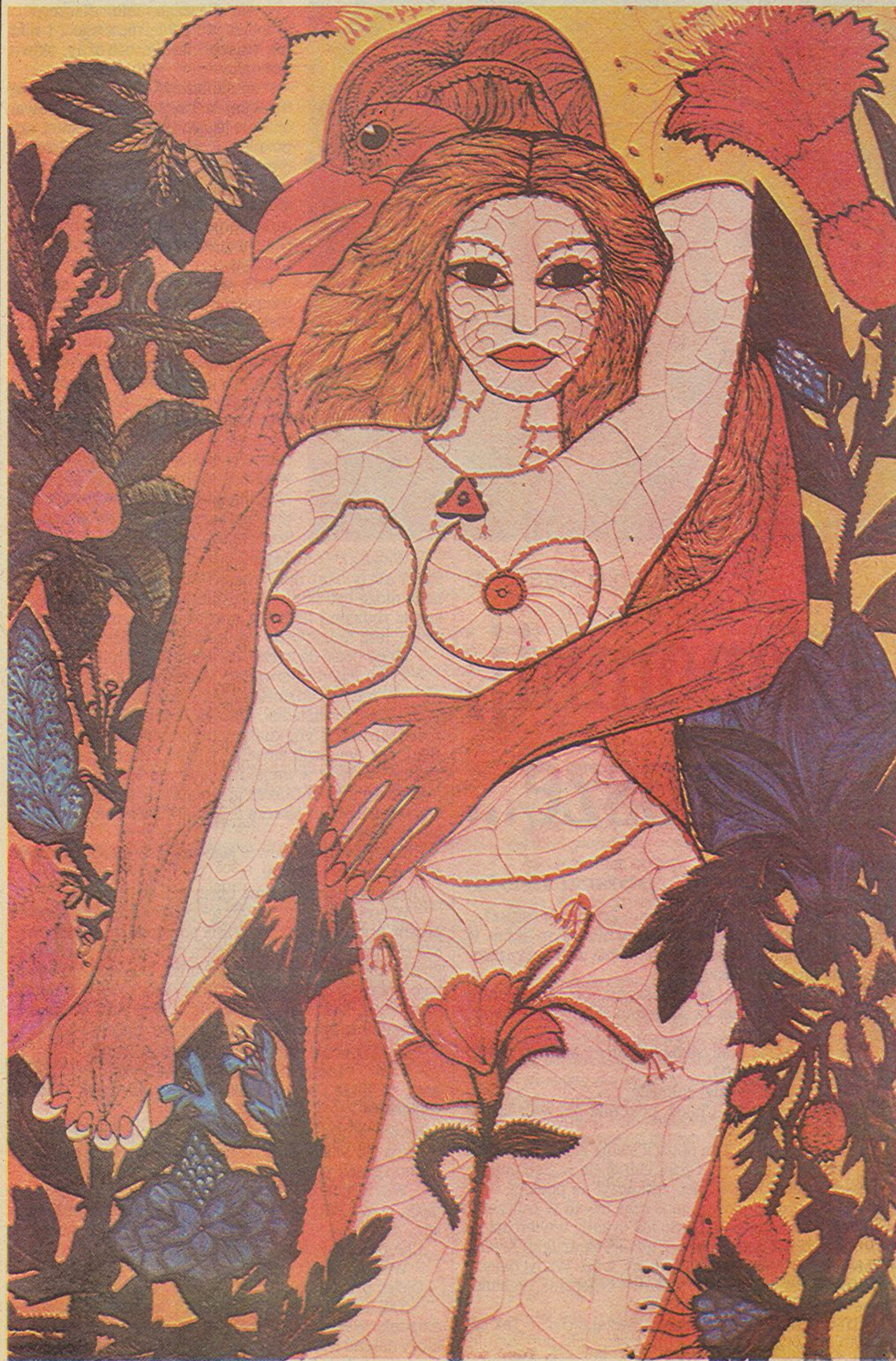
Może John będzie szczęśliwy, kiedy się wykluje pod zimnym światłem tego miasta, które jest gdzie indziej. A może takiego miasta nie ma; może te ostatnie wizje były kłamstwem, narkotykiem pompowanym do jego głowy, żeby sparaliżować wolę...

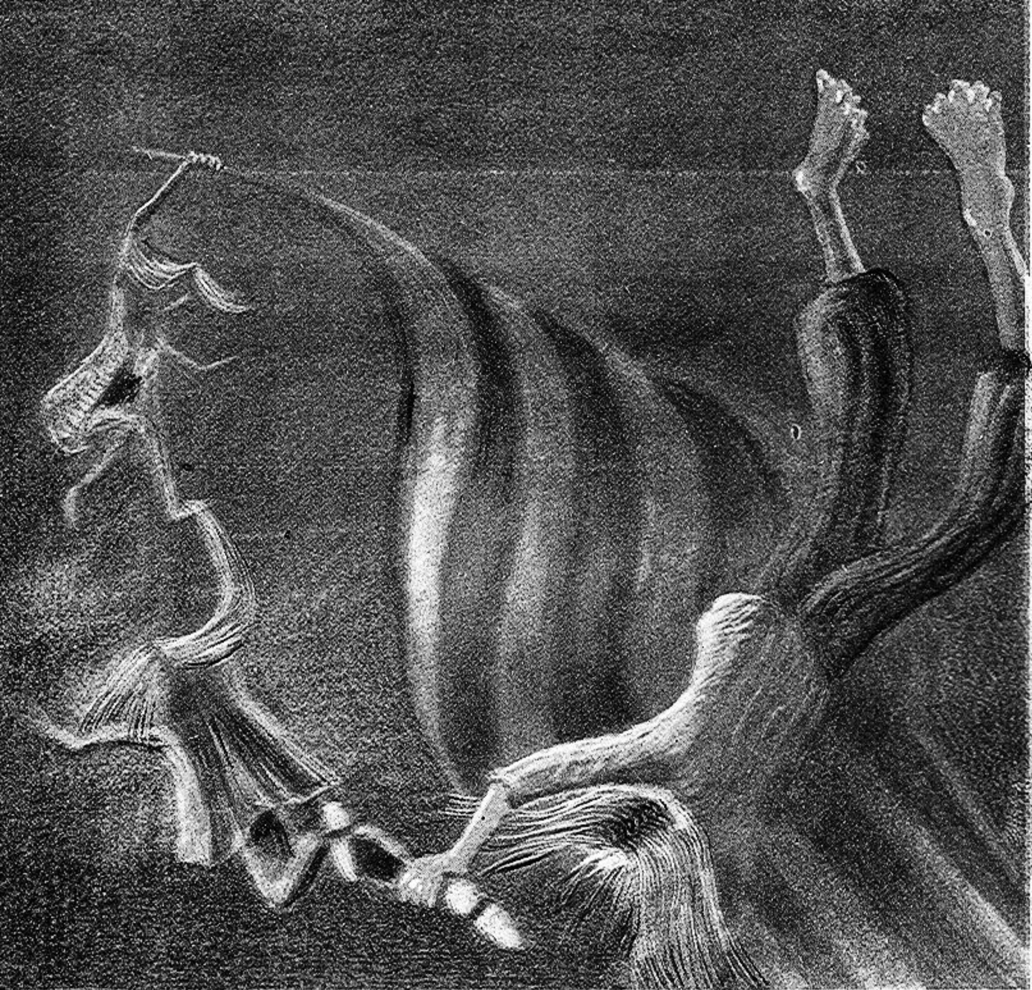
Kilka owiec wróciło, przyglądając się nam dwóm z umiarkowanym zainteresowaniem.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

■

PILAR COOMONTE





Marek Zalejski

Nikołaj Gudaniec

Zapomnij, proszę...

(Zabud', proszu tiebia)

– Tim – powiedział ojciec. – Znowu to robisz?

Ojciec stał ze świecą w otwartym oknie. W drgającym świetle płomienia jego twarz przypominała gipsową maskę.

Chłopiec cofnął się przestraszony. Gałęzie wierzby płaczącej rozchyliły się i z szelestem skryły go w swoim mroku.

– Nie chowaj się, wszystko widziałem. Musimy porozmawiać. Słyszysz, Tim?

– Tak... – odpowiedział chłopiec.

– Chodź tutaj, synu. Chodź, póki nikt nie widział. Nie bój się, nic ci nie zrobię.

Po chwili wahania Tim opuścił swoją kryjówkę wśród liści i zbliżył się do okna. Ojciec cofnął się w głąb pokoju. Chłopiec wszedł na parapet, zeskoczył na podłogę i stanął ze spuszczoną głową. Jakiś czas trwali w milczeniu naprzeciw siebie. Słychać było jak cykady wwiercają się w nieskończoną nocną ciszę, a gdzieś na drugim krańcu śpiącej ziemi toczy się skrzypiący wóz. Wzdychając z ulgą ojciec zamknął okno, postawił świecznik na stole i usiadł na łóżku chłopca.

– Tim, przecież cię prosiłem – zaczął ojciec. – Tak czy nie?

Syn nie odpowiadał.

– Nie jesteś już taki mały, powinieneś zrozumieć. Dlaczego to robisz?

Chłopiec gwałtownie podniósł głowę. W jego oczach błysnęły łzy.

– Ale dlaczego, tato, dlaczego?... Przecież nie robię nic złego... I nikt nie widział. Jestem ostrożny, słowo honoru...

– Nie zobaczyli teraz, to zobaczą następnym razem – nie ustępował ojciec. – Zauważą cię wcześniej czy później, i co wtedy? Pomyślałeś o tym? Chcesz, żeby cię omijali na kilometr, żeby drażnili się z tobą, jak z głupim Fabi, tak? Pomyśl o matce i o mnie. Żyjemy przecież wśród ludzi. Nie chcę, żeby sąsiedzi wytykali nas palcami.

Pod słabo oświetlonym sufitem trzepotała się ćma. Lekko dotykała białej płaszczyzny, jak ręka zakładająca niewidzialny szew. Później szybkim spiralnym lotem zeszła ku świecy i zawirowała wokół niej chwiejąc języczkiem płomienia. Krążyła zawężając koło i nagle dotknęła płomienia. Dał się słyszeć ledwie uchwytny trzask i kruche życie owada w jednej sekundzie zostało przerwane. Ćma leżała na stole konwulsyjnie przebierając łapkami. Po chwili zesztywniała.

– Widzisz? – powiedział ojciec. – Widzisz, co się z nią stało? Ale ty, Tim, masz rozum. Powinieneś przewidzieć, jakie mogą być skutki. Dorośniesz, przyjdzie czas, że założysz rodzinę i będziesz musiał ją utrzymać. Kto ci da pracę, jeśli ludzie będą cię unikać jak zadżumionego?

– Mogę pójść do cyrku – wyszeptał chłopiec.

– Tylko tego brakowało! – Ojciec podskoczył oburzony. – W naszej rodzinie wszyscy uczciwie pracowali na życie. Twój pradziadek, dziadek i ojciec. Nie chcę, żebyś został jarmarcznym kuglarzem, przybłędą nie wiadomo skąd, bez pewnego kawałka chleba i dachu nad głową. Takiego wstydu w mojej rodzinie nie będzie. A czy pomyślałeś o matce? Chcesz ją wpędzić do grobu? Tak? Nie wspomniałem jej jeszcze o tym ani słowa. A co będzie, jak się dowie?

Chłopiec spuścił głowę. Jego małe serduszko ścisnęło się z rozpaczy i wstydu.

Ojciec podszedł do syna i przytulił go.

– Więcej tego nie rób, synku – powiedział z wyrzutem i prośbą w głosie, głaszcząc Tima po włosach. – Daj spokój. Nic ci z tego nie przyjdzie i nam chwały nie przyniesie. Proszę cię. Zapomnij, że to potrafisz. Dla naszego i swojego dobra. Kiedyś będziesz miał dzieci. Dla ich dobra, proszę cię, Tim, zapomnij o tym. Uwierz mi, że tak będzie najlepiej, później zrozumiesz, że miałem rację.

Tim zaszlochał. Wtulił twarz w koszulę ojca.

– Tato... – zaczął Tim łamiącym się głosem... – Tatku... Ale... to takie... wspaniałe... Gdybyś wiedział, jakie to wspaniałe...

Na piersi ojca rozlała się mokra i ciepła plama. Przytulił syna do siebie i głaskał go po głowie nie mogąc w żaden sposób przemóc dławiącego skurczu w gardle.

– Wiem, synku. Wiem. Właśnie za to tata darł ze mnie pasy... Dwa razy to zrobiłem i więcej już nie próbowałem. A później to nawet nie było kiedy myśleć o tym.

Chłopiec zaskoczony podniósł głowę.

– Więc ty... też?! Też?

Ojciec przytaknął.

– Tak. I dziadek twój to potrafił, i pradziadek, i prapradziadek. Wszystko zaczęło się za sprawą czarownika, który dawno temu mieszkał w naszym miasteczku. Twoja praprababcia kupiła u niego zioła, dzięki którym miało

się urodzić dziecko zdrowe, silne i szczęśliwe. Nie wiadomo, jakie to były zioła. Nikt nie wie. Od tego czasu w naszej rodzinie wszyscy naprawdę byli niezwykle silni. A oprócz tego potrafili TO.

Tim słuchał z otwartymi ustami. Patrzył na ojca, jakby widział go po raz pierwszy.

– Pradziadek był mądrym człowiekiem – mówił ojciec. – Surowo przykazał żonie i synowi, żeby milczeli. I tak pozostało. Nikt w miasteczku nie wie o naszych umiejętnościach. One nie są do niczego potrzebne, uwierz Tim. Od chwili, gdy zrezygnowałem z nich, ani razu nie żałowałem. Teraz już bym chyba nie potrafił...

Ojciec zamyślił się. Jego twarz stała się nieprzenikniona jak u ludzi, których wzrok i słuch skierowane są w głąb samych siebie. Nagle uniósł się nad podłogę i zawisnął w powietrzu.

– Nie, jeszcze potrafię... – mruknął i powoli, ostrożnie opadł na dół.

– I ty zupełnie... ani razu... nigdy...

Ojciec kiwnął głową.

– Nie. Nawet mama nie wie. Nie mów jej, Tim. Nie zdradź mnie. Bądź mądry.

Ojciec objął chłopca i dotknął nosem jego policzka.

– Dobranoc, synu. I zapomnij o tym. Proszę cię.

Podszedł do drzwi, odwrócił się, popatrzył na Tima. Wydawało się, że chciał coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyślił się. Wyszedł i delikatnie zamknął drzwi.

Chłopiec otworzył okno i usiadł na parapecie. Ogarnęła go cudowna świeża ciemność. Zapach nocnych kwiatów wonną tęczą unosił się nad klombem. Wśród gałęzi wierzby skradał się cichy jak szmer wiatr. Dzwoniły cykady. Usiane gwiazdami niebo płynęło i pulsowało, a śpiące miasto coraz bardziej pogrążało się w tej otchłani, nie sięgając dna. Łagodny chłód wślizgiwał się pod koszulę i wypełniał przestrzeń między ciałem i materiałem.

Tim zatrzepotał rękami niby ptak i uniósł się nad parapetem. Zawisnął tak kołysząc się jak balonik na nitce. Ostrożnie wypłynął z okna i obejrzał się. W miasteczku nie było widać żywej duszy. Chłopiec zawahał się, ale zaraz zrobił nagły zwrot i wrócił. Zdmuchnął świecę, dał nurka do łóżka i zwinął się w kłębek.

– Nie wolno – powiedział sobie.

Błogie ciepło rozlało się po całym ciele, zziębniętym od nocnego lotu. Tim wtulił twarz w poduszkę, a pod powiekami czuł igiełki łez.

– Nie wolno – powtórzył.

Leżał płacząc bezgłośnie. Sen przyszedł szybko i otulił chłopca dobrą ciszą.

Nazajutrz, po śniadaniu, Tim wyszedł na spacer. Jasne bezchmurne niebo zapowiadało piękny dzień. Chłód nocy niechętnie ustępował przed ciepłem dnia i w cieniu było zimno, a na słońcu gorąco.

Tim szedł na placu za cerkwią, gdzie chłopcy zbierali się, żeby grać w kulki. Beztrosko pogwizdywał i podrzucał w kieszeni kurtki garść szklanych kulek. Prawie od samego domu szedł za nim pies włóczęga. Pies, łaciaty i ze zwisającymi uszami, dreptał za chłopcem krok w krok.

– Czego chcesz? – zapytał Tim przystając na chwilę. Pies usiadł i wlepił w niego wilgotne oczy. Wydawało się, że nie odrywając wzroku od chłopca zwierzę modli się bezgłośnie w swoim psim języku.

Tim wyciągnął rękę, ale przestraszony pies odskoczył i pomachał ogonem. Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem cię – powiedział i poszedł dalej.

Na placu był tylko rudy Diles o przezwisku Kotlet. Diles chodził wzdłuż płotu i witką ścinał czubki pokrzyw.

– Czołem – krzyknął Tim.

– Serwus – odpowiedział Kotlet. – Co to za pies, twój?

– Włóczęga. Przyczepił się. Zagramy?

– Nie mam kulek – wyznał ze smutkiem Kotlet. – Wczoraj przegrałem ostatnie.

– Pożyczyć ci?

– Nie-e. Jak i te przegram, nie będą miał z czego oddać.

Tim podrapał się po głowie:

– To zrobimy tak: jeśli przegrasz, powiedzmy, że ci je dałem.

Kotlet zaczął się poważnie zastanawiać.

– Hej, chłopcy! – zawołał ktoś.

Koło cerkwi stało dwóch nieznajomych. Po torbach z narzędziami przewieszonymi przez ramię bez trudu można było w nich rozpoznać wędrownych rzemieślników, którzy latem chodzą po wsiach i miastach w poszukiwaniu pracy.

– Gdzie mieszka wasz zakrystian? – zapytał młodszy z rzemieślników, ubrany w połatane spodnie i czerwoną koszulę w kratę.

– Tutaj, niedaleko – powiedział Tim.

– Biegnij do niego, poproś, żeby otworzył cerkiew. Chcemy pracować. Masz jabłko.

Tim w biegu chwycił jabłko i włożył za pazuchę.

– Będę piorunem – obiecał.

W tym momencie zza rogu wyszedł kulawy zakrystian Mattas z pękiem kluczy.

– A, już jesteście – ucieszył się i otworzył drzwi bocznego wejścia. Dzięki Ci, Panie, wchodźcie.

Rzemieślnicy i zakrystian zniknęli w cerkwi. Tim dał Kotletowi cztery kulki. Chłopcy rzucili losy i pierwszeństwo przypadło Timowi. Tim podszedł do linii, podrzucił kulkę na dłoni, starannie się przymierzył.

Nagle zaszczekał pies, który zaczął biegać po placu podnosząc pysk.

Tim spojrzał w górę i na balustradzie dzwonnicy zobaczył dwóch rzemieślników. Chłopak w kraciastej koszuli przewiesił przez ramię zwój sznura i trzymając się piorunochronu wdrapywał się na krytą dachówką kopułę, która z dołu wydawała się nie większa od tulipana. Spłoszone gołębie, jak listki herbaciane w szklance, krążyły nad złoconym kurkiem wieńczącym przechyloną iglicę.

– A niech to – powiedział Kotlet.

Chłopcy przerwali grę i podbiegli bliżej cerkwi, skąd lepiej było widać dzwonnicę i człowieka na niej. Zbierali się gapie.

– Ryzykant – mówił blacharz Datt, zadzierając głowę. Ja bym tak nie mógł, za żadne skarby.

– Żeby tylko nie zleciał – niepokoił się staruszek Nall. – Tam już dawno wszystko zgniło i przerdzewiało.

– Nie bój się – uspokajał kowal Chortis. – Jak wlezie na górę przywiąże się sznurem.

Wstrzymując oddech Tim patrzył jak na przyprawiającej o zawrót głowy wysokości powiewa kraciasta koszula. Wreszcie śmiałek dotarł do iglicy, zarzucił sznur, a jego koniec spuścił swojemu koledze. Później wyprostował się i trzymając się kurka pomachał ręką ludziom na placu.

I w tym momencie iglica z trzaskiem przechyliła się na bok. Rzemieślnik stracił równowagę, zamachał rękami, upadł i zaczął ześlizgiwać się w dół. Cudem zdążył w ostatniej chwili uchwycić sznur, spadł z kopuły i kołysząc się zawisnął nad placem.

Rozległy się okrzyki przerażenia. Łaciaty pies zaczął kręcić się niespokojnie i poszczekiwać.

Wyginając ciało chłopak starał się podciągnąć, uchwycić sznur wyżej. Z trudem zdołał trochę się wspiąć i sięgnąć do rynny. Trzymając się jej rzemieślnik próbował zarzucić nogę na gzyms, ale rynna wygięła się i chłopak zawisł na niej wczepiony palcami w gładką blachę. Jeszcze sekunda i spadnie – albo ręce się ześlizną, albo oberwie się rynna. Chłopak wisiał nieruchomo pod gzymsem, zdając sobie sprawę z beznadziejności sytuacji i czekając na nieuchronną śmierć. Łagodny wiatr unosił brzeg koszuli.

I w tym momencie Tim przestał panować nad sobą i tracąc dech poczuł, że ziemia wymknęła mu się spod nóg. Tak jakby to plac opadał w dół i błyskawicznie ma-



Marek Zalejski

lał. Horyzont podnosił się razem z chłopcem, miasteczko było jak na dłoni; w oddali wyrosły pokryte lasem wzgórza, między którymi wiła się rzeka. Ale chłopiec nie zauważył tego; widział tylko wiszącego na dzwonnicy człowieka. Tim doleciał do niego i żelaznym uściskiem chwycił go za pasek.

– Odwagi! – krzyknął chłopiec.

Wytężając wszystkie siły próbował dostać się ze swoim ciężarem na gzyms. Nagle na jego twarz padł cień. Podniósł głowę i zobaczył, że staruszek Nall, rozpostarty w powietrzu, trzyma chłopaka za nadgarstki. Czyjeś ramię dotknęło Tima. To Kotlet podtrzymywał nogę rzemieślnika. I jeszcze czyjś oddech poczuł tuż obok... I jeszcze czyjś...

– Hej, wszyscy razem, pomaleńku w dół – zakomenderował Nall.

– Ej, ostrożnie...

– To ty się nie rozpychaj, do licha...

– Nie tak prędko...

– Mocniej trzymaj, ośle...

Dziwaczna kiść ludzkich ciał miękko opadała z dzwonnicy. Pies biegał w koło po pustym placu i wył jak opętany.

– Uff-ff...

– Nareszcie...

Na ziemi utworzył się nieforemny stos rąk i nóg. Docinając sobie bez złości ludzie podnosili się i rozchodzili. Rzemieślnik siedział na ziemi i oszołomiony rozglądał się dookoła.

Staruszek Nall wstał i odszedł. W drugą stronę skierował się zakrystian Mattas. Za nim poszli Datt i Storgen; w milczeniu i pospiesznie, nie patrząc na siebie, rozchodzili się kolejno mieszkańcy miasteczka.

– Chodź – Kotlet pociągnął Tima za rękaw.

Chłopcy zniknęli za cerkwią, w ślad za nimi podreptał łaciaty pies.

– Stójcie, dokąd idziecie? – wyszeptał rzemieślnik.

Plac opustoszał. ■

Głuptas Fabi

(Duraczok Fabi)

– A więc jest pan doktorem... – mruknął Biunk, wsuwając zadatek do górnej kieszeni kombinezonu. – Wszystko jasne...

– Szyld potrzebny jest na poniedziałek – powiedział młody lekarz. – Mam nadzieję, że pan zdąży.

– Więc doktor – powtórzył Biunk. – To ci dopiero. A co pan zamierza u nas robić?

– Chcę otworzyć prywatną praktykę. O ile wiem, w miasteczku nie ma żadnego lekarza.

– Zgadza się. Ostatni dał drapaka ze dwadzieścia lat temu. Bywały tutaj co prawda przyjezdne zuchy jak pan. Żaden nie wytrzymał dłużej niż miesiąc.

Rozmówca Biunka zmierzał już do wyjścia, ale jeszcze zatrzymał się na progu.

– Czy było tak dużo pacjentów?

– Przeciwnie, doktorku, w tym cały dowcip. U nas w miasteczku nikt nie choruje.

– Za pozwoleniem... Jak to, nie choruje?

– No nie. Chyba, że ktoś utonie albo pójdzie na noże o dziewczynę. Ale pan przecież nie robi trumien, prawda?

Był u nas jeden co robił trumny, ale zapił się z nudów. Teraz trumny zamawiają u mnie. Ostatnią zbiłem trzy lata temu, kiedy staruszek Hages pomylił esencję octową ze spirytusem. Tak to wygląda, doktorku.

– Dziwne. Bardzo dziwne. Wczoraj wynająłem piętro w domu niedaleko stąd. Gospodarz wie, że jestem lekarzem, ale nic mi nie mówił.

– Bo pewnie pan nie pytał.

– Ależ nie, spytałem, czy to prawda, że tu nie ma lekarzy. Odpowiedział, że prawda.

– A co miał jeszcze mówić! Zapłacił pan?

– Oczywiście, za miesiąc z góry...

– Jasna sprawa. Kto ma ochotę stracić lokatora. Pomieszka pan miesiąc, odpocznie. Okolicę mamy piękną, lepszego powietrza nigdzie pan nie znajdzie. I wikt tani. A co do praktyki, doktorku, niech pan to sobie wybije z głowy. Szyld panu wykombinuję, bo już wziąłem zadatek, ale niech pan pamięta, że jest pan tutaj potrzebny, jak...

Biunk szukał najmniej obraźliwego porównania.

Doktor nerwowo gładził swoją ciemnoblond bródkę, którą niedawno zapuścił, żeby dodać twarzy powagi.

– Zobaczymy – powiedział wyzywająco. – Sądzę, że jak dobrze poszukać, to chorzy się znajdą.

– Dopomóż Bóg – powiedział z ironią Biunk.

Rozmówcy stali w drzwiach warsztatu, skąpani w mieszaninie zapachu kleju kostnego, opiłków, proszku lutowniczego i nie wiadomo czego jeszcze.

Nad nimi widniał jaskrawy szyld:

ANWER BIUNK
MAJSTER DO WSZYSTKIEGO
Porady małżeńskie i rodzinne
udzielane są bezpłatnie

... trzeba pójść do tego z największego domu nie najpierw zajrzeć do kędzierzawej czy wszystko w porządku bo u niej to już długo nie potrwa i przy okazji do jej ojca coś mi się nie podoba jego pik-pik-pik zbadam kędzierzawą i ojca i pójdę do tego z największego domu jeśli nie przepędzą znowu nie dają przyjrzeć mu się z bliska a ja czuję że trzeba jak najszybciej go leczyć ale z daleka nie widzę na co wpaść do chudego już z nim dobrze ale może grudki zostały we krwi że też od razu go nie zauważyłem mało się nie spóźniłem ale do niego wpadnę później najpierw koniecznie do kędzierzawej ten przyjezdny miał we krwi takie obrzydliwe białe kłaczki prawie wszystkie powyciągałem ale nie zdążyłem on wyjechał i kędzierzawa bardzo płakała w brzuchu ma maleństwo i też pojawiły się białe kłaczki wszystkie wyciągnąłem i długo trzeba było leczyć maleństwo ojciec kędzierzawej mówił nie patrz na niego bo urodzi się taki jak on i wyganiał mnie a ja mimo wszystko chodziłem leczyć maleństwo i teraz ono wyjdzie z brzucha zdrowe i o czasie i bez kłaczków...

– Nic a nic panu nie wyjdzie, doktorku. Mówię to panu. Chyba, że będzie się pan pokazywał za pieniądze. Prawdziwy doktor to u nas osobliwość.

– Zobaczymy – powiedział lekarz już bez poprzedniej stanowczości i włożył kapelusz. – Ale, ale, chciałem zapytać, jakich konsultacji pan udziela?

– Po prostu. Jeśli jakiś dureń zapyta, ojczulku Biunk, masz, powiadają, duże doświadczenie życiowe, powiedz, mam się żenić, czy nie, mówię mu: rób, jak chcesz, i tak później będziesz żałował.

– To, jeśli się nie mylę, słowa Sokratesa?

– Kogo, kogo? – zapytał Biunk.

... jeśli zdążę pójdę do tej która daje smaczne kurze kosteczki jej czaszka z prawej strony w każdej chwili może pęknąć w środku trzeba badać i leczyć jeśli nie zdążę to jutro do niej pierwszej pójdę a obok niej ten co gra w piłkę zęby mu rosną nieprawidłowo ale nie wiem co zrobić i mieszka tam jeszcze zły staruch który rzucił we mnie polanem i zranił mnie w nogę zaczynają się u niego kamyczki trzeba je rozdrobnić a wtedy wszystkie je wysika zdaje się o nikim nie zapomniałem tylko ten z największego domu w żaden sposób nie mogę się do niego dostać a koniecznie muszę przyjrzeć mu się z bliska...

Z warsztatu wychodziło się na mały plac, albo jak kto woli duże skrzyżowanie. Po obu stronach najbliższej ulicy znajdowały się dwie restauracje – „Smakowity odpoczynek" i „Wesoła paczka". Pod szyldem pierwszej z nich wisiał transparent z kuszącym napisem: *Tu gotują z natchnieniem.* Front konkurencji zdobił późniejszy napis: *A tu gotują z masłem.* Obydwa bez wątpienia wyszły spod pędzla Anwera Biunka.

– Wesołe to wasze miasteczko – powiedział lekarz patrząc na szyldy. – Jednego tylko nie mogę zrozumieć: jakim cudem do dzisiaj nikt o was nie słyszał? To przecież sensacja.

– Jesteśmy ludźmi cichymi, skromnymi – odpowiedział Biunk.

... o mały włos zapomniałbym do tego nosatego w okularach zdaje się znowu zaczyna kasłać ale to bardzo proste i do tego po drodze a z kędzierzawą wszystko w porządku i jej ojcu pik-pik-pik poprawiłem a przecież mogło być pęknięcie ale na czas zauważyłem jeszcze trochę a byłoby patrzcie stoi ten co się zawsze wyśmiewa i obok nieznajomy z bródką nieznajomemu w brzuchu rośnie niedobre ziarenko wykrzywiły się sprężynki jeśli wyrośnie i będzie ich dużo i przenikną do krwi może umrzeć trzeba leczyć dopóki ziarenko jest małe bo później będzie trudniej raz-dwa wyleczę i pójdę popatrzeć na...

– A to kto? – zapytał lekarz, odprowadzając wzrokiem przygarbioną postać w łachmanach.

– To Fabi, tutejszy pomyleniec. Niemowa.

– Ma niesamowicie magnetyczne spojrzenie. Popatrzył tak, że ciarki mnie przeszły.

– Tak, nieprzyjemnie, kiedy się tak wpatruje. Jakby przewiercał na wylot.

– Zauważył pan?! – krzyknął doktor. – On ma astmatyczny oddech. I na głowie grzybicę strzygącą. A pan mówił, że nie ma chorych.

– To prawda. On jeden jest taki, ale to nie ma znaczenia. I majątku pan na nim nie zbije, doktorku. Co najwyżej skapnie panu garść resztek na zapłatę.

– Mógłbym go leczyć bezpłatnie, skoro już tu jestem – powiedział w zamyśleniu lekarz.

– Najpierw niech go pan złapie – powiedział Biunk. – Chociaż jest chory, diabelnie szybko biega. A więc szyld jest potrzebny na poniedziałek? Tak?

Przełożyła **Izabela Orłowska**

■

Nikołaj Leonardowicz GUDANIEC

Urodził się w roku 1957 w Rydze. Jest absolwentem wydziału filologii tamtejszego uniwersytetu. Wydał tom poezji (1980) i opowiadań (1984). Fantastykę drukował, jak na razie, tylko w czasopismach i antologiach, ale może się już pochwalić przekładami na wiele języków.

L.J.

Mając lat dziewięć, Harrison Wintergreen odkrył, że świat to jego broszka. Akurat w modzie było kolekcjonowanie kart baseballowych. Kto miał największą kolekcję, ten był Kimś. Harry Wintergreen postanowił, że zostanie Kimś.

Norman Spinrad

anioły R

(Carcinoma Angels)

Uskładał dolara i kupił za niego sto kart baseballowych, bez przebierania, jak leci. Miał szczęście: w jego setce znalazł się niezwykle rzadki egzemplarz, z Yogi Berą. W wyniku trzech niezależnych transakcji, Harry wymienił pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć kart na jedynych trzech Yogi Berów w okolicy. Tym samym zredukował swój stan posiadania do czterech kart, jednocześnie monopolizując rynek na odcinku Yogi Bery. Wyśrubował cenę do zawrotnej wysokości osiemdziesięciu kart. Uzyskawszy w ten sposób olbrzymi majątek, tworzył kolejne monopole: na odcinku Willie Maysa i Pee Wee Reese'a, stając się w końcu J.P. Morganem od kart baseballowych.

W gimnazjum Harry'emu szło jak po maśle dzięki prostej a skutecznej metodzie polegającej na mistrzowskim opanowaniu jednej tylko umiejętności: sztuki zdawania testów. W ostatniej klasie potrafił przechytrzyć każdego autora testów za pomocą ściągawki przymocowanej na plecach, i z palcem w nosie zdobył szereg wyróżnień.

Na studiach Harry odkrył Dziewczyny. Jako chłopiec w miarę przystojny i w miarę obyty, z pewnością nawet zwykłym trybem zebrałby należny plon podbojów. Byłoby to jednak niezgodne z mentalnością Harrisona Wintergreena.

Harry starannie wypracował sobie umiejętność jąkania się na zawołanie. Niewiele dziewcząt potrafiło się oprzeć urokowi przystojnego, obytego faceta o ujmującym sposobie bycia, który, jak widać, musiał tłumić w sobie jakieś zadawnione rany, skoro się jąkał. Niejedna dziewczyna usiłowała zgłębić sekret Harry'ego, a Harry tymczasem zgłębiał je, jedną po drugiej.

Na drugim roku Harry'emu znudziły się studia i wymyślił sobie, że teraz zostanie Bogatą Świnią. Przez miesiąc pilnie studiował powieści o seksie po czym w ciągu dwóch następnych miesięcy sam napisał trzy takie powieści, które natychmiast spieniężył, biorąc po tysiąc za sztukę.

Uzyskawszy tą drogą trzy tysiące dolarów, kupił lśniącą limuzynę z otwieranym dachem. Nowym wozem udał się do granicy meksykańskiej, i dalej, do miasteczka przygranicznego, cieszącego się wyjątkowo złą sławą. Tam bezzwłocznie nawiązał kontakt z podejrzanym pucybutem i zakupił od niego funt marihuany. Pucybut zakapował go naturalnie do kontroli granicznej i kiedy Harry chciał przejechać mostem do Stanów, został przeszukany aż do majtek. Nic przy nim nie znaleziono i Harry przekroczył granicę. Z Meksyku nie szmuglował niczego, a rzeczoną marihuanę wyrzucił gdzieś, ledwie ją kupił.

Skorzystał natomiast z obowiązującego w Meksyku embarga na wozy amerykańskie i nielegalnie sprzedał tam swoją limuzynę za 15 000 dolarów.

Owe 15 000 dolarów zawiózł następnie do Las Vegas, gdzie spędził sześć tygodni na fundowaniu przygodnym towarzyszom po barach, udzielaniu pożyczek spłukanym hazardzistom, krótko mówiąc – na działalności godnej Świętego Mikołaja. W ten sposób zdobył zaufanie pijackiej społeczności i stracił pięć tysięcy dolarów.

Pod koniec szóstego tygodnia miał dzięki nowym kolegom trzy pewniaki giełdowe, od których w ciągu następnych dwóch tygodni jego pozostałe 10 000 dolarów spuchło do 40 000.

Harry nabył czterysta zdezelowanych jeepów z demobilu, systemem hurtowym cztery razy po sto, płacąc po 10 000 dolarów za setkę i nie zwlekając odsprzedał je wyjątkowo niesławnemu rządowi Ameryki Środkowej za 100 000 dolarów.

Za sto tysięcy dolarów kupił wysepkę na Pacyfiku, na której nie było nic, do tego stopnia, że żaden rząd się do niej nie przyznawał. Harrison obwołał się tam niezależnym rządem, bez systemu podatkowego, a dwudziestu milionerom, którzy przybyli tam jak do podatkowego raju rozprzedał 21-akrowe działki, po 100 000 za działkę. Ostatniej działki pozbył się na trzy tygodnie przed tym, jak Stany Zjednoczone, przy poparciu ONZ, wystąpiły z prawem własności wyspy i wciągnęły ją na listę klientów Państwowego Urzędu Podatkowego.

Niewielką cząstkę swoich 2 milionów dolarów Harry zainwestował w wynajęcie na dwanaście godzin dużego komputera. Komputer sporządził system zakładów, który pozwolił Harry'emu pomnożyć 2 miliony dolarów do 20 milionów, metodą rozbijania brytyjskich totalizatorów piłkarskich.

Za pięć milionów dolarów kupił od zubożałego sułtana olbrzymią połać pustynnego ugoru. Za następne dwa miliony wzniecił szeroko zakrojoną kampanię plotkarską, która rozniosła wieść, że właśnie ten kawałek pustyni tryska wprost ropą naftową. Dołożył jeszcze trzy miliony na stworzenie lipnej spółki, która udawała wielkie towarzystwo naftowe i otwarcie składała mu oferty zakupienia pustyni za 75 milionów dolarów. Po ożywionym przetargu, lipna spółka przegrała transakcję z liczącym się amerykańskim towarzystwem naftowym, które odkupiło od Harry'ego tysiąc mil kwadratowych piachu za 100 milionów dolarów.

I tak, mając lat dwadzieścia pięć, Harrison Wintergreen zasłużył, według własnych kryteriów, na miano Bogatej Świni. Stracił zainteresowanie dla pieniędzy.

Postanowił, że teraz będzie Czynić Dobro. I czynił Dobro. Obalił siedem niesympatycznych rządów w Ameryce Łacińskiej i zastąpił je sześcioma socjaldemokracjami oraz jedną Dyktaturą Dobrej Woli. Nawrócił plemię łowców głów z Borneo na wiarę Różokrzyżowców. Założył dwanaście domów opieki dla podstarzałych prostytutek i zorganizował program kontroli urodzin, który pozwolił wysterylizować dwanaście milionów płodnych kobiet hinduskich. Na powyższych przedsięwzięciach udało mu się zarobić kolejne sto milionów dolarów.

Mając lat trzydzieści Harrison Wintergreen dał sobie spokój z Czynieniem Dobra. Postanowił Odcisnąć Swój Ślad na Piaskach Czasu. I odcisnął. Napisał światowej sławy powieść o Królu Faruku. Wynalazł Filtr Wintergreena – membranę, która przepuszczała czystą wodę, jednocześnie zachowując sole. Zakład Desalinizacji Wintergreena odsalał nieograniczone zasoby wody, a koszt operacji w przeliczeniu na jeden galon był bliski zera. Namalował jeden obraz, za który z miejsca zaoferowano mu 200 000 dolarów. Podarował go Muzeum Sztuki Współczesnej. Wyhodował mutanta wirusa, który niszczył bakterie syfilisu. Podobnie jak syfilis, wirus ów przenosił się drogą płciową. Działał zarazem jako umiarkowany afrodyzjak. W ciągu osiemnastu miesięcy syfilis przestał istnieć. Harrison Wintergreen kupił sobie wyspę u wybrzeży Kalifornii – pięćsetstopowej wysokości skałę wysuniętą w głąb Pacyfiku. Kazał ją przekuć na pięćsetstopowej wysokości statuę Harrisona Wintergreena.

Mając lat trzydzieści osiem, Harrison Wintergreen naodciskał już dość śladów w Piaskach Czasu. Czuł się znudzony. Chciwie rozglądał się za nowymi światami do podboju.

Tego właśnie człowieka, kiedy miał lat czterdzieści, poinformowano, że ma zaawansowanego, nieuleczalnego raka z przerzutami i że pozostał mu jeden rok życia.

Pierwszy miesiąc ostatniego roku życia Wintergreen spędził na poszukiwaniu istniejących remediów na nieuleczalną chorobę raka. Odwiedzał laboratoria, uczelnie medyczne, szpitale, kliniki, Wybitnych Lekarzy, szarlatanów, ludzi, którzy doświadczyli cudownego ozdrowienia z raka, uzdrowicieli i babki-zielarki. Nie znalazł lekarstwa na śmiertelną odmianę raka, czy to oficjalnie akceptowanego, czy też nie. Tak podejrzewał, a właściwie nawet – taką miał nadzieję. Teraz już wiedział, że będzie zmuszony działać na własną rękę.

Przez najbliższych sześć miesięcy szykował sobie grunt do działania na własną rękę. Pośrodku pustyni w Arizonie polecił wznieść klimatyzowaną willę otoczoną murem. Willa wyposażona była w automatyczną kuchnię i zapas żywności na rok. Mieściło się w niej laboratorium biologiczno-biochemiczne wartości pięciu milionów dolarów. Także biblioteka mikrofilmów zawierająca wszystko, co kiedykolwiek napisano na temat raka, wartości trzech milionów dolarów. Także superapteka: obfitość wszelkich istniejących środków medycznych – trucizn, środków przeciwbólowych, halucynogennych, antyseptycznych, antybiotyków, leków na bóle głowy, heroiny, chininy, kurary, maści żmijowej – dosłownie wszystkiego. Apteka miała wartość dwudziestu milionów dolarów.

W willi był również radiotelefon, działający tylko w jedną stronę, spory zapas podstawowych chemikaliów, z radioaktywnymi włącznie, Koran, Biblia, Księga Tory, Księga Zmarłych, Nauka i Zdrowie z Kluczem do Pisma Świętego, I King, a także komplety dzieł Wilhelma Reicha i Aldousa Huxleya. Był tam również bardzo duży i superkosztowny komputer. Pod koniec urządzania willi, zasoby Wintergreena przeznaczone na drobne wydatki były bliskie wyczerpania.

Mając dziesięć miesięcy na dokonanie tego, co świat medycyny uznał za niemożliwe, Harrison Wintergreen wkroczył w mury swej cytadeli.

Przez pierwsze dwa miesiące chłonął zawartość biblioteki, śpiąc po trzy godziny na dobę i regularnie zażywając benzedrynę. Biblioteka oferowała wyłącznie dane. Wintergreen przyswoił je sobie i przeniósł się do apteki.

Przez kolejny miesiąc wypróbował aureomycynę, bacitracynę, fluorek cynku, hexylresercinol, cortison, penicylinę, hexachlorophen, wyciąg z wątroby rekina i siedem tysięcy trzysta dwanaście innych cudów współczesnej medycyny. Wszystko bezskutecznie. Zaczął odczuwać bóle, które natychmiast zaczął uśmierzać – i odtąd już stale uśmierzał – morfiną. Uzależnienie od morfiny było banalnym skutkiem ubocznym jego choroby.

Wypróbował szereg środków chemicznych: pierwiastki radioaktywne, viricydy, metody nauki chrześcijańskiej, jogę, wlewy doodbytnicze, leki patentowe, wywary z ziół, zamawianie choroby i diety jogurtowe. Zajęło mu to kolejny miesiąc, podczas którego dalej słabł z dnia na dzień, sypiając coraz mniej, a zażywając coraz więcej benzedryny i morfiny. Nic nie skutkowało. Zostało mu sześć miesięcy.

Był bliski rozpaczy. Spróbował innym tropem. Zasiadł w wygodnym fotelu i przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy kontemplował własny pępek.

Skutkiem medytacji było poważne nadwerężenie wzroku i dwa znamienne słowa: „spontaniczna remisja".

Norman SPINRAD

Urodził się w roku 1940. Pisarz amerykański. Startował jako autor w latach sześćdziesiątych, stając się jednym z czołowych reprezentantów Nowej Fali – nurtu eksperymentującego, zwracającego się do wnętrza człowieka (tzw. Inner Space, czyli kosmos wewnętrzny), czerpiącego więcej z psychologii, socjologii i językoznawstwa, niż z fizyki i techniki.

Najważniejsze powieści Spinrada to „Buck Jack Barron" (1969) z obrazem zdegenerowanej i skorumpowanej Ameryki, w której dominującą rolę odgrywa telewizja i „The Iron Dream" (1972), w której Hitler wyemigrował do USA i realizuje swoje fantazje pisząc powieści typu „miecza i magii". Do najsłynniejszych opowiadań tego autora należą drukowane tu „Anioły »R«" i „Coś pięknego" („Rakietowe szlaki 2"). W zeszytowej („czarnej") serii „Iskier" ukazały się dwa opowiadania Spinrada, dość przypadkowo wyrwane z jego twórczości. W najbliższym czasie postaramy się przedstawić nowelę „Jeździec na pochodni" (Riding the Torch) nagrodzoną Jupiterem w roku 1975.

L.J.

Podczas dwumiesięcznych badań źródłowych, Wintergreen natknął się na wiele opisów przypadków, w których nieuleczalny rak nagle się cofał, a pacjent, któremu już nie dawano żadnej nadziei, nagle okazywał się całkiem zdrowy. Nikt nie wiedział, jak to się dzieje, i dlaczego. Procesu remisji nie dawało się przewidzieć, ani też wywołać sztucznie, a jednak, co jakiś czas występował. Z braku naukowego wyjaśnienia nazwano go spontaniczną remisją. „Remisja" znaczy wyleczenie. „Spontaniczna" znaczy – diabli wiedzą, co ją wywołało.

Co przecież nie oznacza, że nie ma przyczyny.

Wintergreen nabrał otuchy; stał się wręcz optymistą. Wiedział, że są na świecie ludzie, którzy wyszli z nieuleczalnego raka. A zatem nieuleczalny rak bywa uleczalny. A zatem cały problem przenosi się z rejestru rzeczy niemożliwych w sferę wysoce mało prawdopodobnych.

A dokonywanie tego, co wysoce mało prawdopodobne było wszak specjalnością Wintergreena.

Mając przed sobą mniej więcej sześć miesięcy życia, Wintergreen ochoczo przystąpił do dzieła. Ze swego kompletnego zbioru publikacji o raku wyłuskał wszystkie opisy spontanicznej remisji. Każdy z nich zakodował do komputera: dane o historii choroby, rodzajach terapii, wieku, płci, religii, rasie, wierze, barwie skóry, narodowości, temperamencie, stanie cywilnym, współczynniku Duna i Brandstreeta, nerwicach, psychozach i ulubionym gatunku piwa. Komputer Harrisona Wintergreena został tym samym zasiedlony pełnymi sylwetkami znanych historii medycyny istot ludzkich, wyleczonych z nieuleczalnego raka.

Wintergreen zaprogramował komputer na przeprowadzenie wszystkich możliwych korelacji między 10 tysiącami oddzielnych i rozmaitych czynników a spontaniczną remisją. W przypadku, gdyby którykolwiek z czynników – wiek, konto kredytowe, ulubiona potrawa, wszystko jedno co – korelował ze spontaniczną remisją, czynnik spontaniczności uległby usunięciu.

Za ten komputer Wintergreen wybulił 100 milionów. Był to najdoskonalszy komputer na świecie. Wykonał zadanie w dwie minuty 7,894 sekundy. Odpowiedź przekazał Wintergreenowi w jednym dosadnym słowie:

– Negative.

Spontaniczna remisja nie korelowała z żadnym czynnikiem zewnętrznym. Była rzeczywiście spontaniczna: przyczyna nieznana.

Człowiek mniejszego ducha załamałby się w tym momencie. Człowiek myślący bardziej konwencjonalnie znalazłby się w kropce. Harrisona Wintergreena jakby kto na sto koni wsadził.

Jednym zamaszystym pociągnięciem wykluczył cały wszechświat zewnętrzny jako czynnik w procesie spontanicznej remisji. A zatem, w jakiś sekretny sposób, jedynie ludzki organizm i/lub psychika mogły dokonać wyleczenia.

Wintergreen wyruszył na rekonesans i podbój wszechświata własnego wnętrza. Udał się do apteki i uwarzył trunek co się zowie. W największą z posiadanych strzykawek zlał co następuje: novokainę, morfinę, kurarę, vlut – rzadko spotykaną truciznę z Azji Środkowej, wywołującą czasową ślepotę, olfactorcainę, produkowany wedle ściśle tajnej receptury neutralizator woni, który zażywają hodowcy skunksów, tympanolinę – narkotyk, który czasowo wyłącza nerwy słuchowe (używany głównie przez wojujących na długie mowy senatorów), sporą dawkę benzydryny, kwas lysergiczny, pscilicibinę, meskalinę, wyciąg z peyotlu, siedem innych nie do końca zbadanych i ściśle zakazanych halucynogenów, oko pijawki i psi ozór.

Wintergreen wyciągnął się na swojej najwygodniejszej kanapie. Przemył spirytusem miejsce w zagięciu lewego łokcia i naszprycował się wiedźmią polewką.

Serce załomotało. Krew wzburzyła się i poniosła tajemne chemikalia do wszystkich zakątków ciała. Novokaina wyłączyła nerwy wszystkich zmysłów. Morfina zlikwidowała wszelkie doznanie bólu. Vlut spowodował pełne zaciemnienie. Olfactorcaina odcięła dostęp wszelkim zapachom. Dzięki tympanolinie Wintergreen ogłuchł jak sędzia kolegium do spraw kodeksu drogowgo. Kurara go sparaliżowała.

Wintergreen znalazł się sam we własnym ciele. Nie docierały do niego żadne bodźce zewnętrzne. Popadł w stan kompletnej bezzmysłowości. Pokusa osunięcia się w

błogą nieświadomość była nieodparta. Mimo że był człowiekiem wyjątkowo silnej woli, Wintergreen nie zdołałby utrzymać się w stanie świadomości bez pomocy. Olbrzymie dawki benzedryny nie pozwoliły mu zapaść w stan uśpienia.

Nie spał, był czujny, sam we wszechświecie własnego ciała, pozbawiony rozpraszającego działania wszelkich czynników zewnętrznych.

Nagle – jeden, drugi, a następnie w kombinacjach, jak ciosy dobrego, szybkiego boksera wagi lekkiej, uderzyły halucynogeny.

Organy zmysłów Wintergreena były co prawda unieszkodliwione, lecz ośrodki mózgu, odbierające dane zmysłowe działały nadal. To właśnie centra kory mózgowej zostały zaatakowane przez halucynogeny brawurową szarżą: Wintergreen ujrzał zwidy kolorów, kształtów, rzeczy bez nazwy i formy. Słyszał nieznośne symfonie, widmowe echa, wycia, od których można oszaleć. Przez jego mózg przetoczyła się chmara niesamowitych woni. Targało nim tysiąc urojonych bólów i ciśnień, jak gdyby mu amputowano całe ciało. Ośrodki zmysłowe mózgu Wintergreena działały jak potężnej mocy odbiornik radiowy, nastrojony na martwą falę, pełną wzrokowych, słuchowych, zapachowych i dotykowych szumów bez żadnego znaczenia.

Narkotyki blokowały zmysły. Benzedryna podtrzymywała świadomość. Czterdzieści lat bycia Harrisonem Wintergreenem utrzymywało go w stanie opanowania i zdrowia psychicznego.

Przez niezdefiniowany czas poddawał się impulsom, próbując wyczuć obce, nowe nie-środowisko. Potem stopniowo, zrazu niepewnie, ale z rosnącą stanowczością, Wintergreen począł kontrolować rozwój procesu. Umysł jego wytwarzał nieprawdziwe, za to użyteczne, analogie do działań, które nie były działaniami, stanów istnienia, które nie były stanami istnienia, doznań zmysłowych niepodobnych do jakichkolwiek doznań zmysłowych, doświadczanych normalnie ludzkim umysłem. Analogie te, tworzone przez jego podświadomość na podobieństwo wykalkulowanego obłędu, na rzecz brutalnej przemiany niepojętego w uchwytne, pozwalały mu zarazem postępować z nie-środowiskiem, jakby to było środowisko, metodą przekładania zmian mentalności na ich odpowiedniki w konkretnych działaniach.

Wyciągnął analogo-rękę i przełączył nie istniejące radio na odbiór wewnętrzny: z martwej fali ubocznego wszechświata zewnętrznego na nieużywaną dotąd częstotliwość własnego organizmu, wszechświat wewnętrzny, będący jedyną ucieczką umysłu od chaosu.

Nastroił, wycyzelował odbiór, wzmocnił ton, natężył się, poczuł, jak jego umysł uciska błona cienkości atomu. Z całą siłą naparł na tę błonę, będącą analogią przezroczystego ekranu, który oddzielał jego umysł od wszechświata wewnętrznego, ekranu, który rozciągał się elastycznie, wybrzuszał do środka, stawał się coraz cieńszy... aż wreszcie pękł. Jego analogo-ciało przeszło na drugą stronę lustra jak Alicja w Krainie Czarów na drugą stronę zwierciadła.

Harrison Wintergreen znalazł się we własnym wnętrzu.

Był to świat cudów i ohydy, majestatu i śmieszności. Optyka Wintergreena, która przez analogię stała się ciałem wewnątrz jego rzeczywistego ciała, mieściła się w rozległej sieci pulsujących arterii, przypominającej monstrualne rozgałęzienie dróg i szos. Analogia skrystalizowała się. Wintergreen istotnie prowadził samochód labiryntem szos. Z nabrzmiałych saków wypadały w sam środek gęstego ruchu rozmaite przedmioty: hormony, wydaliny, pokarm. Białe ciałka krwi przemykały obok niego jak rozpędzone taksówki. Ciałka czerwone posuwały się wolno i metodycznie, jak pojazdy solidnych mieszczan. Ruch wzmagał się i gęstniał, jak na skrzyżowaniu w godzinie szczytu. Wintergreen jechał naprzód i szukał, bezustannie szukał.

Dał sygnał skrętu w lewo, przeciął trzy pasy i skręcił w stronę węzła limfatycznego. I wtedy ujrzał to, czego szukał: stertę białych komórek, widok jak po karambolu dwunastu samochodów, w jego stronę mknął wyszczerzony od ucha do ucha motocyklista.

Motocykl – czarny. Skórzany strój – czarny. Twarz motocyklisty – czarna, matowoczarna – z wyjątkiem pary szklistych krwistoczerwonych oczu. Na piersi i plecach kurtki motocyklisty nabite były szkarłatnymi ćwiekami litery, układające się w napis: „Czarne Anioły Raka".

Jednym dzikim zrywem Wintergreen nacelował swój analogo-samochód prosto na wyimaginowanego motocykliste, prosto na komórkę rakową.

Trzask! Prask! Huk! Samochód Wintergreena zdruzgotał motocykl, motocyklista eksplodował w chmurę drobniutkiego czarnego pyłu.

Wintergreen dalej krążył po szosach własnego systemu krwionośnego, pełnym gazem pruł przez arterie, przemierzał wstęgi żył, cal po calu przedzierał się przez wąskie uliczki naczyń włosowatych, cały czas wypatrując motocyklistów w czerni, Czarnych Aniołów Raka, których kruszył w pył pod kołami swojego wozu.

I oto znalazł się w mrocznej, wilgotnej puszczy własnych płuc, na grzbiecie śnieżnobiałego analogo-konia, z wyimaginowaną lancą czystego światła w dłoni. Spoza gruzłowatych konarów rosnących drzew worków płucnych wyzierały raz po raz krwiożercze czarne smoki o krwistoczerwonych oczach i drgających czerwonych jęzorach. Święty Wintergreen spiął konia ostrogami, opuścił ostrze lancy i jął nim dźgać smocze cielska, póki święty las płuc nie uwolnił się całkiem od smoków.

Teraz unosił się w przepastnej wilgotnej jaskini, widząc nad sobą niewyraźne bulwiaste zarysy gigantycznych organów, pod sobą zaś bezmiar połyskliwej, śliskiej równiny otrzewnej.

Spoza osłony wielkiego pulsującego serca wyleciała na niego z ogłuszającym rykiem formacja czarnych myśliwców ze szkarłatnymi oznaczeniami „R" na skrzydłach.

Wintergreen wcisnął gaz i wzniósł się ponad bandytów, kierując na nich ogień maszynowy, od którego najpierw pojedynczo, a potem po kilka naraz, myśliwce spadały w płomieniach na widniejące w dole pole otrzewnej.

Czarno-czerwony wróg atakował w tysiącu odmian i przebrań. Czerń – kolor zagłady, czerwień – kolor krwi. Smoki, motocykliści, samoloty, morskie stwory, żołnierze, czołgi i tygrysy, w naczyniach krwionośnych, w śledzionie, w klatce piersiowej, w pęcherzu – wszystko to były Czarne Anioły Raka.

Wintergreen toczył z nimi analogo-boje w równie licznych wcieleniach – jako automobilista, rycerz, pilot, nurek, żołnierz, przewodnik stada słoni, z ponurą radością dzikusa zaśmiecał pola bitwy własnego ciała czarnym pyłem upadłych Aniołów R.

Walczył i walczył, zabijał i zabijał, aż w końcu...

W końcu stanął po kolana w morzu soków trawiennych, bijących falą o ściany wilgotnej, piwnicznej jaskini, którą był jego żołądek.

Z przeciwka maszerował ku niemu na chitynowych odnóżach obrzydliwy czarny krab o krwistoczerwonych oczach, pokraczny, niezdarny, prymitywny.

Chrzęszcząc i klekocząc, krab spieszył ku niemu poprzez jego własny żołądek. Wintergreen przystanął, wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu i wyskoczywszy jak najwyżej w powietrze, wylądował obiema stopami na twardym czarnym pancerzu.

Jak wysuszona słońcem tykwa, krucha, pusta w środku, krab skruszył się pod jego ciężarem na milion pylistych cząstek.

Wintergreen został sam, nareszcie sam i zwycięski: Czarne Anioły Raka zostały co do jednego wytrzebione i pokonane.

Harrison Wintergreen, sam jeden we wnętrzu własnego ciała, po raz kolejny zwycięski i żądny nowych światów do podboju, czeka aż minie działanie narkotyków, czeka na powrót do świata, który przecież zawsze był jego broszką.

Czeka. I czeka. I czeka.

Wybierzcie się do najbardziej ekskluzywnego sanatorium na świecie: spotkacie tam Harrisona Wintergreena, który sam siebie uczynił Bogatą Świnią, Harrisona Wintergreena – Dobroczyńcę Ludzkości, Harrisona Wintergreena, który Odcisnął Ślad w Piaskach Czasu, Harrisona Wintergreena – katatoniczną roślinę.

Harrisona Wintergreena, który zstąpił do wnętrza własnego ciała, aby walczyć z Czarnymi Aniołami Raka i zwyciężył.

A teraz nie wie, jak wyjść.

Przełożyła **Jolanta Kozak**

Tym razem miała na sobie białą koszulkę, nowiutkie beżowe drelichy i tradycyjne, znoszone tenisówki: zawadiaka.

– Co porabiacie?

Skąd wiedziała, że jesteśmy na cmentarzu? Przypadek? Zdawało mi się, że po drodze widział nas jedynie ksiądz, a i to raptem przed paroma minutami. Nawet jeżeli do niej zadzwonił, to jak się tu dostała tak szybko – statkiem kosmicznym?

– Przeprowadzamy pewne badania. Tomasz odkrył, skąd pani ojciec brał nazwiska dla postaci z „Nocnych wyścigów w głąb Anny". Przyprowadził mnie tutaj, żebym zobaczyła.

Moja głowa wykonała pełny obrót, całkiem jak głowa Lindy Blair w „Egzorcyście". Ja odkryłem?

– I co, bardzo się zdziwiliście?

– Zdziwiliśmy? Ach, tym? Tak. Nie. Właściwie to chyba tak.

Cały czas zastanawiałem się, dlaczego Saxony zełgała. Czyżby chciała podnieść prestiż mojej osoby w zimnych oczach Anny?

– Kogo teraz odwiedzacie? Gerta Inklera. Ojciec nigdy nie użył go w książce.

– Tak, wiemy. To ten, który chciał obejść świat dookoła. Udało mu się?

Uśmiech pierzchnął z jej twarzy nie pozostawiając śladu. Jej oczy rzeczywiście potrafiły się stać malutkie i okrutne.

– Skąd o tym wiesz?

– „Dworce kolejowe Ameryki".

Moja odpowiedź nie wywołała słońca spoza chmury. Jej spojrzenie przypomniało mi, jak potraktowała Ryszarda Lee, wtedy w lesie. Nie była to ognista furia, przed którą mnie ostrzegał Dawid Louis, ale mrożący krew w żyłach, twardy gniew.

– Bibliotekarka pokazała mi ulubioną książkę twojego ojca. Tę o stacjach kolejowych Ameryki. Przerzucając ją, znalazłem na marginesie charakterystykę Inklera. Mam ją przepisaną w domu, możesz sprawdzić.

– Widzę, że oboje pilnie odrabiacie pracę domową. A co będzie, jeżeli nie autoryzuję biografii?

Popatrzyła mi prosto w oczy, a potem przeniosła wzrok ponad moim ramieniem na Saxony.

– Jeżeli miałaby się pani nie zgodzić, to po co byłaby pani dla nas taka miła? Dawid Louis twierdzi, że pani jest potworem.

Niezawodna Saxony. Taktowna, wrażliwa, zawsze z odpowiednim komplementem w odpowiednim czasie. Urodzona dyplomatka.

Przez moment miałem chęć osłonić głowę przed walką tytanów, ale – o dziwo – wcale do niej nie doszło. Anna tylko fuknęła, wsadziła ręce w kieszenie i pokiwała głową, jakby ją miała na sprężynie. Do góry, na dół, do góry, na dół...

– Masz rację, Saxony. Lubię się czasami podrażnić, to fakt. Chciałam się przekonać, jak długo będziecie to znosić, zanim zapytacie wprost, czy możecie pisać książkę.

– No to pytamy wprost: możemy?

Pytanie miało zabrzmieć buńczucznie i nonszalancko, a tymczasem wyczołgało mi się z gardła, jakby zlęknione światła dziennego.

– Owszem, możecie. Książka jest wasza, jeżeli rzeczywiście chcecie ją napisać. A jeśli się na mnie za bardzo nie gniewacie, pomogę wam, jak tylko będę umiała. Na pewno się przydam.

Poczułem przypływ triumfu. Odwróciłem się do Saxony, żeby zobaczyć jej reakcję. Uśmiechnęła się, podniosła z ziemi biały kamyczek i cisnęła nim w moje kolano.

– No i co, Panna Mądra?

– Co, no i co? – podniosła drugi kamyk i znów rzuciła we mnie.

– Zdaje się, że klamka zapadła.

Wziąłem ją za rękę. Uścisnęła moją dłoń i uśmiechnęła się. Potem odwróciła się do Anny i do niej też się uśmiechnęła. Córka France'a stała obok nas w całej swojej krasie, ale ta chwila należała do Saxony i do mnie. Chciałem, żeby Saxony wiedziała, jak bardzo się cieszę, że chwila ta nadeszła i że ona, Saxony, jest tu razem ze mną.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I

– Saxony, nie bierzesz chyba tych wszystkich kufrów? Myślisz, że to pociąg towarowy, czy co?

Do kompletu bagażu brakowało jej chyba tylko kufra okrętowego z okuciami. Był tam już delikatny żółto-czerwony wiklinowy koszyk, sfatygowany plecak, wypchany jak wiejska kiełbasa, i stara, brązowa, skórzana waliza z mosiężnym zamkiem i narożnikami. Na tym wszystkim piętrzył się stos rzeczy prosto z pralni chemicznej, w plastikowych pokrowcach i na metalowych wieszakach.

Wykrzywiła się do mnie i obeszła samochód od tyłu. Otworzyła klapę i wstawiła na platformę furgonetki pierwszy ze swoich licznych klamotów. – Tylko bez komentarzy, Tomaszu. Miałam jak dotąd parszywy dzień. Nie dogaduj.

Zabębniłem palcami po kierownicy i spojrzałem w lusterko na swoje świeżo ostrzyżone włosy, zapytując sam siebie czy naprawdę było warto. Od tygodnia powtarzałem jej, że chcę podróżować z jak najmniejszym bagażem. Ponieważ od mojej wycieczki do Nowego Jorku widywaliśmy się niemal codziennie, nabrałem przekonania, że cała garderoba Saxony sprowadza się do trzech koszul, dwóch sukienek i białej kiecy przypominającej chłopskie giezło. Raz nawet chciałem jej kupić hinduską suknię, którą podziwiała na wystawie, ale się nie zgodziła, chociaż nalegałem.

– Jeszcze nie teraz – powiedziała, cokolwiek miało to znaczyć.

Co zatem trzymała w tych tobołach? Przyszedł mi do głowy koszmarny pomysł: jarzyny i podgrzewany półmisek! Będzie nam gotowała przez całą drogę do Galen! Chlebek bananowy... curry... jabłkowa herbatka...

– Co ty tam właściwie wieziesz, Sax?

– Nie ma powodu do wrzasków!

Spojrzałem na jej odbicie w lusterku: stała z rękami na biodrach. Przypomniało mi się, jakie to ładne biodra, kiedy nie ma na nich żadnych ubrań.

– No dobra, przepraszam. Ale dlaczego bierzesz aż tyle?

Usłyszałem zgrzyt żwiru i oto Saxony stała koło mnie przy drzwiach samochodu. Popatrzyłem na nią, ale zajęta była rozpinaniem pasków wiklinowego kosza.

– Zobacz.

Kosz był pełen odręcznych notatek, wycinków z gazet, czystych notatników, żółtych ołówków oraz jej ulubionych pękatych różowych gumek do wycierania.

– To mój bagaż roboczy. Mogę go wziąć?

– Sax...

– W worku mam wszystkie ciuchy.

– Posłuchaj, nie mówiłem przecież...

– A w walizce jest parę marionetek, nad którymi właśnie pracuję. – Uśmiechnęła się i zatrzasnęła zamki. – To jedna z rzeczy, do których będziesz musiał w związku ze mną przywyknąć: gdziekolwiek jadę, zabieram ze sobą całe moje życie.

– Mam nadzieję.

– Bardzo jesteś dowcipny. Nad wyraz.

Czerwcowa ceremonia zakończenia roku szkolnego odbyła się kilka dni przedtem, więc teren szkoły, kiedy go opuszczaliśmy, był letnio-zielony, cichy i jakby smutny. Szkoły bez uczniów zawsze wydają mi się niesamowite i groźne. Sale zanadto wysprzątane, podłogi przesadnie wyfroterowane. Kiedy zadzwoni telefon, jego echo niesie się przez cały gmach i trzeba ośmiu albo dziewięciu dzwonków, żeby ktoś go łaskawie odebrał albo żeby dzwoniący zorientował się, że nikogo nie ma i sam odłożył słuchawkę. Minęliśmy wielką, rudą brzozę, moją faworytkę, i uświadomiłem sobie, jak długo pod nią nie zasiądę.

Saxony sięgnęła ręką i włączyła radio.

– Smutno ci, że wyjeżdżasz, Tomaszu?

Leciał właśnie końcowy kawałek „Hej, Jude" i przypomniała mi się dziewczyna, z którą chodziłem w Nantucket, kiedy ta piosenka miała swoją premierę w latach sześćdziesiątych.

– Smutno? Tak, trochę. Ale i trochę się cieszę. Człowiek po jakimś czasie odkrywa, że mówi i porusza się jak w transie. Wyobrażasz sobie, że w tym roku cztery razy przerabiałem „Przygody Hucka"? To świetna książka, nie przeczę, ale doszedłem do tego, że już do niej nawet nie zaglądałem. Nie musiałem jej czytać, żeby móc o niej uczyć. Do kitu z taką robotą.

W milczeniu wysłuchaliśmy końcówki utworu. Zdaje się, że stacja, której słuchaliśmy, nadawała retrospektywny przegląd twórczości Beatlesów, bo zaraz potem puścili „Strawberry Fields Forever". Wjechałem rampą na autostradę przelotową New England.

– Chciałeś kiedyś zostać aktorem? – zdjęła nitkę z rękawa mojej koszuli.

– Aktorem? O nie, nie po ojcu, za skarby świata.

– Pamiętam, jak się zakochałam po uszy w Stephenie Abbeyu, kiedy go zobaczyłam w „Nowicjuszach".

Parsknąłem, ale nie odezwałem się ani słowem. Czy istniała na tym świecie osoba, która nigdy nie kochała się w moim ojcu?

– Nie śmiej się ze mnie, naprawdę! – Była prawie obrażona. – Właśnie wtedy pierwszy raz poszłam do szpitala i rodzice kupili mi przenośny telewizor. Pamiętam to wszystko jak dziś. W cyklu „Filmy Za Milion Dolarów", w którym ten sam film leciał zawsze codziennie po południu przez cały tydzień, obejrzałam wszystkie siedem projekcji „Nowicjuszy" i „Yankee Doodle Dandy".

– „Yankee Doodle Dandy"?

– Tak, z Jamesem Cagneyem. Leżąc w szpitalu, kochałam się na zabój jednocześnie w Jamesie Cagneyu i w twoim ojcu.

– Długo tam leżałaś?

– W szpitalu? Za pierwszym razem cztery miesiące, a za drugim dwa.

– I co ci robili – przeszczepy skóry?

Nie odpowiedziała. Odwróciłem się i popatrzyłem na nią, ale jej twarz była bez wyrazu. Naprawdę nie

– Idziesz? Nie bój się, cmentarne krasnoludki nie gryzą.

– Już lecę, proszę pani.

Dopędziłem ją i wziąłem za rękę.

– Patrz – wskazała stopą nagrobek.

– Ha! Brian Taylor. Coś podobnego! A tutaj – Anne Megibow. Rany Julek, rzeczywiście wszyscy tu są. Zacznij spisywać nazwiska, Sax, a ja się rozejrzę.

Prawdę mówiąc, nie byłem zachwycony tym odkryciem. Niezależnie od romantycznej strony zagadnienia, wolałem, żeby moi bohaterowie karmili się czystym natchnieniem. Przygody, miejsca akcji, postacie, nazwiska – wszystko to powinno wychodzić wyłącznie od autora, a nie z cmentarza, książki telefonicznej, czy gazety. France stał się nagle dla mnie nieco zbyt ludzki.

Od czasu do czasu zdarzało się, że jakiś zajadły wielbiciel ojca sforsował kordon bezpieczeństwa otaczający nasz dom w Kalifornii. Ulubioną historią ojca w tej serii była opowieść „O Kobiecie Która Zadzwoniła Do Drzwi". Dzwoniła tak długo i przeraźliwie, że ojciec uznał, iż na pewno coś się stało. Z zasady nigdy sam nie otwierał drzwi, ale tym razem zrobił wyjątek. Kobieta, dzierżąca w dłoni jego fotos o wymiarach osiem na dziesięć cali, obrzuciła swoje bożyszcze bacznym spojrzeniem i chwiejnie cofnęła się ze stopnia werandy.

– Dlaczego pan jest taki niski?! – zaszlochała spazmatycznie i oddaliła się we łzach.

Saxony miała rację co do nagrobków: były intrygujące i jakoś tak smutno piękne. Napisy na nich opowiadały dzieje cierpienia: o dzieciach urodzonych drugiego sierpnia, zmarłych czwartego sierpnia, o kobietach i mężczyznach, których dzieci poumierały na długo przed nimi. Łatwo było sobie wyobrazić parę małżonków w średnim wieku, którzy siedzą w ponurym, szarym domu, nie odzywając się do siebie ani słowem, a na kominku stoją zdjęcia ich zmarłych synów i córek. Niewykluczone, że żona przez całe życie zwracała się do męża per „panie mężu".

– Tomaszu?

Poprawiałem właśnie przysadzisty wazon z kwiatami u czyjegoś wezgłowia. Kiedyś musiały to chyba być nagietki, ale teraz wyglądały jak małe, sponiewierane kulki z krepiny.

– Tomaszu! Chodź tutaj!

Saxony znajdowała się w drugim końcu cmentarza, który opadał stokiem w jej stronę. Kucała przy jakimś grobie, podpierając się dla równowagi. Wyprostowałem się, przy czym kolana strzeliły odgłosem dwóch suchych łamanych patyków. Okaz zdrowia i tężyzny fizycznej.

– Nie wiem, czy się ucieszysz. Tu leży twój przyjaciel Inkler.

– Bujasz!

– Tak jest, Gert Inkler. Urodzony w 1913, zmarł w 19... poczekaj chwilę – przetarła ręką powierzchnię szaroróżowego kamienia. – Zmarł 1964. Nie był taki stary.

– Oto cały pożytek z poznawania świata. Cholera! Już myślałem, że dokonaliśmy wiekopomnego odkrycia, że trafiliśmy na bohatera Marshalla France'a, który nigdy nie pojawił się w żadnej z jego książek, a tu się okazuje, że to tylko jakiś sztywniak z miejscowego cmentarza!

– Przemawiasz jak Humphrey Bogart – „sztywniak z cmentarza"!

– Nie zamierzałem naśladować Humphreya Bogarta, Saxony. Wybacz mi brak oryginalności, ale nie wszyscy jesteśmy twórcami.

– Daj spokój, Tomaszu. Czasami szukasz dziury w całym tylko po to, żeby sprawdzić, czy się złapię na twoją przynętę.

– Niespójna metafora.

Wstałem i otarłem dłonie o spodnie.

– Bardzo przepraszam, panie profesorze.

Przerzucaliśmy się drobnymi złośliwościami, aż w pewnej chwili Saxony zobaczyła coś za moimi plecami i umilkła. Umilkła, to za słabo powiedziane: cała jej twarz zamknęła się w jednej chwili jak lotnisko podczas zamieci.

– Przyjemne miejsce na piknik.

Wiedziałem, kto to jest.

– Hej, Anno.

Nazajutrz w kuchni, przy śniadaniu, zastanowiłem się na głos, skąd France mógł brać imiona dla swoich postaci. Było to coś, co mi się w jego książkach szczególnie podobało.

Saxony była właśnie w połowie grzanki obficie posmarowanej pomarańczową marmoladą. Ugryzła i wymamrotała:

– Z cmentarza.

– Co ty wygadujesz?

Podniosłem się i nalałem sobie jeszcze jedną filiżankę ohydnej herbaty rumiankowej, którą Saxony przywiozła z domu. Moja matka miała zwyczaj moczyć w tym nogi. Miałem jednak do wyboru: albo pić rumianek, albo zdrowotną, bezkofeinową kawę firmy Uranus, zakupioną przez Saxony na podstawie rekomendacji pani Fletcher.

Saxony zatarła ręce, siejąc na wszystkie strony grad okruchów.

– Mówię ci przecież, z tutejszego cmentarza. Któregoś dnia przespacerowałam się po okolicy. Za pocztą jest bardzo ładny kościółek, podobny do tych starych, angielskich kościółków, które widuje się na zdjęciach w kalendarzach i na pocztówkach. Wiesz – ciemny, godny, okolony kamiennym murem. Zaciekawił mnie, więc podeszłam bliżej i zauważyłam na tyłach nieduży cmentarz. W dzieciństwie wiele bawiłam się w kalkowanie płyt nagrobnych i stąd mam nadal sentyment do cmentarzy.

Zastrzygłem brwiami jak Peter Lorre.

– Hu-huuu! Ja również moja droga, ja również. Szczury i pająki! Pająki i szczury!

– Oj, przestań. Nigdy nie kalkowałeś płyt? To bardzo fajnie wychodzi. Tomaszu, przestaniesz wreszcie pajacować? Świetnie udajesz, wspaniale, jesteś urodzonym wampirem. Mam mówić dalej, czy nie?

– Mów, najdroższa.

Umieściła w tosterze kolejne dwie kromki pełnoziarnistego chleba. Patrząc jak je, zastanawiałem się czasami, czy w poprzednim wcieleniu nie umarła z głodu.

– Łaziłam po tym cmentarzu i cały czas czułam, że coś jest nie tak, wiesz? Coś było nie w porządku, dziwnie, nienormalnie. Nagle zrozumiałam, co to jest. Wszystkie, albo prawie wszystkie, nazwiska na nagrobkach pochodziły z „Nocnych wyścigów w głąb Anny".

– Nie wygłupiasz się?

– Nie, naprawdę. Lesli Baker, Dave Miller, Irene Weigel... Wszystkie znalazłam na cmentarzu.

– Zgrywasz się.

– Skąd! Chciałam tam iść drugi raz, z notesem, i spisać te wszystkie nazwiska, a potem pomyślałam sobie, że może i ty będziesz chciał pójść, więc poczekałam na ciebie.

– Saxony, to fantastyczne! Czemu mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

Sięgnęła przez stół po moją rękę. Im dłużej byliśmy razem, tym bardziej, zdaje się, lubiła dotykać mnie i być dotykaną. Niekoniecznie w sposób erotyczny - chodziło jej po prostu o kontakt. Małe elektryczne połączenie na sekundę lub dwie, żeby to drugie wiedziało, że się jest. Ja też to lubiłem. Ale co interes, to interes, a interes z France'em był z tych grubszych, więc zmusiłem ją, żeby jak najszybciej dojadła grzanki i popędziliśmy na cmentarz.

W kwadrans później staliśmy przed wejściem do kościoła pod wezwaniem Świętego Józefa. Kiedy byłem mały, miałem wielu kolegów katolików, którzy mijając każdy kościół, żegnali się znakiem krzyża. Ponieważ nie chciałem się wyróżniać, koledzy nauczyli mnie, jak to się robi i ja również zacząłem się żegnać. Któregoś dnia jechałem z matką samochodem. Mijaliśmy kościół Marii Panny, a ja, jak przystało na wzorowego katolika, którym nie byłem, mimowolnie wykonałem znak krzyża, wzbudzając przerażenie mojej matki - metodystki. Po tym incydencie, mój psychoanalityk tygodniami wychodził z siebie, usiłując dociec, skąd u mnie taki impuls.

Kiedy tam staliśmy z Saxony, drzwi kościoła otworzyły się i wyszedł z nich ksiądz. Szybko pokonał strome kamienne schody i poczęstowawszy nas zdawkowym skinieniem głowy, pospieszył dalej. Odwróciłem się za nim i widziałem jak wsiada do wiśniowego Oldsmobile Cutlass.

Saxony ruszyła do kościoła, a ja za nią. Dzień był wyjątkowo ładny: dosyć chłodno, silny wiatr miotał gałęziami drzew, wzbijając tumany letniego kurzu, a górą rozpruwał powłokę chmur jak na przyspieszonym filmie. Ostre i czyste słońce tkwiło jak pieczęć pośrodku kobaltowoniebieskiej koperty.

chciałem być wścibski i kiedy cisza przedłużała się, miałem nawet przez moment ochotę powiedzieć przepraszam, ale nie zrobiłem tego.

W górach, które widniały przed nami, zbierało się na solidną burzę, wjechaliśmy w obniżającą się zasłonę dymnych, płowych chmur. W lusterku wstecznym zobaczyłem, że tam, skąd przybywamy, nadal świeci słońce. Pomyślałem, że większość krzątających się tam w tej chwili ludzi nawet nie wie, co ich czeka w późniejszych godzinach popołudniowych.

– A kiedy przestałaś się kochać w moim ojcu?

– Tomaszu, naprawdę jesteś ciekaw, jak to było w szpitalu? Nigdy nie lubiłam o tym mówić, ale jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to ci powiem.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że nie wiedziałem, jak się zachować. Zanim jednak skończyłem się wahać, ona zaczęła opowieść.

– Za pierwszym razem było okropnie. Pakowali mnie w takie specjalne kąpiele, żeby cała martwa skóra się złuszczyła i nowa mogła zacząć rosnąć. Pamiętam, była tam taka głupia pielęgniarka, panna Rasmussen, która się mną zajmowała i przemawiała do mnie jak do debila. Pamiętam właściwie tylko to, że strasznie się bałam i wszystkiego nienawidziłam. Teraz myślę, że wiele spraw objęłam blokadą pamięci. Za drugim razem było sporo terapii i wszyscy wydawali mi się o wiele sympatyczniejsi. Pewnie dlatego, że już wiedzieli, że będę chodzić. Odkryłam tam, że lekarze traktują człowieka znacznie bardziej... nie wiem, jak to powiedzieć – po ludzku, kiedy wiedzą, że wyjdzie z choroby.

Przez chmury przewinęła się żółta żmija błyskawicy, a tuż po niej rozległ się suchy trzask grzmotu, od którego zawsze się mimo woli podskakuje. Radio nadawało już właściwie czyste szumy, więc je wyłączyłem. Mimo że na przednią szybę zaczęły padać krople deszczu wielkości szklanych kulek do gry, do ostatniej chwili czekałem z włączeniem wycieraczek. Przez otwarte boczne okienko czułem, jak zamiera letni upał, a powietrze staje się ciężkie. Wyobraziłem sobie małą Saxony Gardner siedzącą sztywno w szpitalnym łóżku, z dziecinnymi nóżkami obandażowanymi od góry do dołu. Był to obrazek tak smutny i wzruszający, że aż się uśmiechnąłem. Gdybym ja miał takie dziecko, kupiłbym mu taką masę zabawek i książek, że by się pod nimi udusiło.

– Jak to było, być synem Stephena Abbeya?

Nabrałem powietrza, żeby chociaż przez chwilę poczuła się skarcona. Odkąd byliśmy razem, nie zadawała wielu pytań na temat mojej rodziny, za co byłem jej, nie ukrywam, szczerze zobowiązany.

– Matka przezywała go Punch. Czasami potrafił w środku dnia zejść z planu, wpaść do domu i zabrać wszystkich do gospody pod miasto albo na plażę. Latał, kupował nam hot-dogi i coca-colę, i bez przerwy pytał, czy to nie jest najwspanialszy dzień w naszym życiu. Chwilami działał jak maniak, ale nam się to strasznie podobało. Kiedy się za bardzo rozszalał, matka mówiła tylko: „Spokojnie, Punch" – a ja za każdym razem miałem ochotę ją za to zamordować. Ojciec zawsze i wszędzie musiał być duszą towarzystwa, a ponieważ tak mało bywał z nami, akceptowaliśmy go w całości i bez zastrzeżeń.

Deszcz lunął wreszcie w postaci przezroczystej kotary i słychać było, jak koła samochodu rozchlapują wodę. Jechałem wolnym pasem, a ilekroć mijał nas inny pojazd, w przednią szybę chlustały takie strugi wody, że biedne wycieraczki ledwo wyrabiały. Błyskawice i grzmoty waliły teraz równocześnie, z czego wywnioskowałem, że burza stoi równo nad nami.

– Raz wziął mnie do studia, kiedy kręcili „Pożar w Virginii". Muszę przyznać, że był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Pamiętam, że różni ludzie pytali mnie bez przerwy, czy chcę lody, a potem zasnąłem i ktoś mnie zaniósł do jego garderoby. Kiedy się obudziłem, on stał nade mną jak biała góra i uśmiechał się tym swoim słynnym uśmiechem. Był w śnieżnobiałej koszuli i wielkim kremowym kapeluszu panama z czarną wstążką.

Pokręciłem głową i postukałem palcami w kierownicę, żeby odpędzić wspomnienie. Ciężarówka firmy Grand Union, z przyczepą, przejechała obok nas w zwolnionym tempie.

– Kochałeś go?

Zadała to pytanie bardzo cicho i zaraz się cofnęła, chyba trochę przestraszona.

– Nie. Tak. Sam nie wiem – jak można nie kochać ojca?

– Jeszcze jak można! Ja mojego nie kochałam. Największe marzenie jego życia spełniło się w dniu, w którym jeden z jego uczniów dostał się na Harvard.

– Chcesz przez to powiedzieć, że twój ojciec był nauczycielem?
– Aha.
– Nigdy mi tego nie mówiłaś.
– Był. W dodatku uczył angielskiego.

Zerknąłem na nią ukradkiem: wydęła policzki tak, że wyglądała jak wiewiórka, która w każdym policzku chowa garść orzechów.

– Może i nie powinnam tak mówić, ale on był okropny, tak go przynajmniej pamiętam. – Położyła dłonie na desce rozdzielczej i wybijała nimi ciche afrykańskie rytmy. Bębniąc, mówiła dalej: – Jadał ananasy w plasterkach i czytywał na głos Hiawathę, mnie i matce.

– Hiawathę? – „U wybrzeży Giczi Gami, /Na jeziora samym dnie/ Hiawatha z kolegami /Na pieniądze w karty rżnie/..."

– Pan też chyba uczy angielskiego, nieprawdaż?

Niebo tak bardzo pociemniało, że włączyłem reflektory i zwolniłem do czterdziestki. Nieraz zastanawiałem się, jaka była Saxony jako dziecko. Ta niebrzydka, księżycowo blada twarz w miniaturze. Wyobrażałem ją sobie siedzącą w ciemnym kącie mrocznego pokoju, gdzie bawi się marionetkami aż do dziewiątej wieczór, bo o tej godzinie matka każe jej iść do łóżka. Opadające białe skarpetki, czarne lakierki ze złotymi klamerkami.

– Wiesz, Tomaszu, że kiedy byłam mała, jedyną odświętną rzeczą, na jaką sobie pozwalała moja rodzina, były wyjazdy do Peach Lake w letnie weekendy? Wracałam spalona od słońca.

– Coś podobnego. Jedyną odświętną rzeczą, jaka mnie się w tym wieku zdarzała, było czytanie „Krainy Chichów" i picie piwa korzennego z dużych szklanych flaszek. A propos, nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziało piwo korzenne w dużych flaszkach?

– E tam, nie przesadzaj, nie powiesz mi chyba, że nie było fajnie obracać się w towarzystwie sławnych ludzi. Nie musisz mnie za wszelką cenę podnosić na duchu.

– Podnosić cię na duchu? Co ma piernik do wiatraka? Ty przynajmniej miałaś normalnego ojca! A być synem mojego ojca przypominało życie w pozłacanej klatce. Człowiek nie zdążył jeszcze ust otworzyć, a już każdy się do niego mizdrzył albo opowiadał, jak przepada za filmami „Papy"! A mnie te jego filmy gówno obchodziły. Byłem mały, na litość boską! Jedyną rzeczą, na której mi naprawdę zależało, był rower!

– Nie drzyj się.

– Nie mam obowiązku... – chciałem powiedzieć coś więcej, ale w tym samym momencie zobaczyłem zjazd na przydrożny parking, więc zamiast gadać, zająłem się manewrem. Kiedy w żółwim tempie zjeżdżaliśmy z autostrady, wokół nas było ciemno jak w nocy. Parking ledwo mieścił kempingówki i samochody osobowe z pękatymi bagażnikami na dachach. Spora część bagaży wydana została na pastwę deszczu: walizki, składane wózki dziecięce i rowery lśniły i ociekały wodą. Znalazłem miejsce, ale zanim je zająłem, o mało nie wpadł na mnie wycofujący się stamtąd biały fiat z rejestracją Oklahomy. W końcu wyłączyłem silnik i siedzieliśmy bez słowa, a deszcz walił w dach jak w bęben. Jej ręce leżały splecione na kolanach, ale moje nadal kurczowo ściskały kierownicę. Miałem ochotę wyrwać kółko z korzeniami i wręczyć jej z uroczystym ukłonem.

– No, dosyć tego, będziesz coś jadła?

– Jadła? No wiesz? Przecież dopiero godzinę jesteśmy w drodze.

– W takim razie przepraszam, kochanie, jeszcze nie mam prawa być głodny, czy tak? Nie wolno mi jeść kiedy ty nie jesz, ani robić niczego, czego ty akurat nie robisz, dobrze mówię?

Wiedziałem, że zachowuję się jak gnojek, który właśnie odkrył istnienie zjawiska zwanego ironią, ale jeszcze nie bardzo wie, co się z nim robi.

– Lepiej się przymknij, co? Idź, kup sobie bułkę z szynką, czy co tam chcesz. Możesz robić co ci się podoba. Niepotrzebnie się wściekasz.

W tej sytuacji musiałem pójść. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że robię z siebie durnia, ale zabrnąłem w tym już tak daleko, że nie wiedziałem, jak przestać. Na jej miejscu miałbym siebie po dziurki w nosie.

– Ma pani na myśli Anne?

– Tak, tak. Nie tak głośno, proszę. Stawiam dowolną sumę na to, że się zgodzi.

Była to budująca wiadomość, nawet jeżeli pochodziła z tak dziwacznego źródła. Nie rozumiałem tylko, dlaczego musieliśmy przejść aż na tyły sali, żeby bibliotekarka mogła mi powiedzieć, że jej zdaniem Anna ma zamiar pozwolić mi pisać książkę.

Ktoś wyjrzał na nas zza regału. Bibliotekarka zdjęła z wysokiej półki książkę o dworcach kolejowych.

– Tej właśnie szukałam! Proszę uprzejmie. – Odchyliła tylną okładkę i rzeczywiście – France wypożyczał tę książkę pięć albo sześć razy. Poza nim, na karcie książki było niewiele innych nazwisk. Kiedy czytelnik, który kręcił się w pobliżu nas, znalazł to, o co mu chodziło i poszedł sobie, bibliotekarka z trzaskiem zamknęła album o dworcach i wsunęła mi go pod pachę.

– Niech pan tak idzie. W ten sposób nikt nie będzie podejrzewał, że tu rozmawialiśmy. – Obejrzała się trwożnie i przez lukę między książkami na półce zerknęła w sąsiednie przejście między regałami, zanim zaczęła mówić dalej. – Wiem, że Anna już podjęła decyzję. Wszyscy to wiemy. Trudno zachować cierpliwość. Odkąd...

Odgłos zbliżających się kroków znów zatrzymał ją w połowie zdania. Tym razem na dobre, ponieważ młoda kobieta holująca za sobą małą dziewczynkę, domagała się książki o hodowli złotych rybek, której nie mogła znaleźć na półkach.

Poszedłem z albumem na swoje poprzednie miejsce w magazynie i zacząłem przerzucać kartki. Fotografie amerykańskich dworców kolejowych, jedna po drugiej.

Autor tekstu do zdjęć z niejaką egzaltacją wyrażał się o „przepychu" stacji w Wainer, Mississippi – „przedwojennym majstersztyku architektonicznym" z trzema okienkami kasowymi zamiast jednego. Mimo to spędziłem jakiś czas z nosem w książce, ponieważ wyobraziłem sobie, że to samo robił kiedyś France: z niewiadomego dla mnie powodu, przedmiot książki bardzo go interesował. Przypomniały mi się opowieści Lucentego o niedzielnych wycieczkach Marshalla France'a koleją i pocztówki z fotografiami dworców w jego pokoju. Za trzecim kartkowaniem mój wzrok padł na Derek, Pensylwania. Spojrzałem raz, drugi, oczy wyszły mi z orbit i jeszcze raz zacząłem w panice szukać tamtego miejsca, które już mi przeleciało, bojąc się, że kiedy je znajdę, nie zobaczę tego, co widziałem za pierwszym razem. Ale zobaczyłem. Na marginesie strony widniały gęste notatki ołówkiem. Tylko kilka razy w życiu widziałem pismo odręczne France'a, ale nie było wątpliwości. Ta sama starannie wydłużona kaligrafia. Notatki nie miały nic wspólnego ani z Derek, Pensylwania, ani z tamtejszą stacją kolejową. Wyglądało na to, że mój idol jak na artystę przystało, doznał w tym miejscu nagłej inspiracji i zapisał jej treść na pierwszym z brzegu kawałku papieru.

Notatka była opisem postaci nazwiskiem Inkler. Niektórych słów nie mogłem odcyfrować, ale ogólnie chodziło o to, że Inkler jest Austriakiem, który postanowił obejść świat dookoła. Żeby zdobyć fundusze na wyprawę, kazał sobie wydrukować pocztówki. Znajdowała się na nich jego fotografia wraz z psem bullterierem, którego zabierał w podróż do towarzystwa. Pod zdjęciem widniało nazwisko Inklera, informacja, skąd pochodzi, co zamierza, jak długą ma przed sobą podróż (60 tysięcy kilometrów), że wyprawa potrwa cztery lata i że pocztówka niniejsza jest formą zarobkowania na potrzeby rzeczonej wyprawy. Uprasza się o skromny datek na ten szlachetny cel.

Dalsze notatki dotyczyły wyglądu Inklera, imienia psa, wyglądu psa, marszruty oraz niektórych przygód. Data zapisu opiewała na 13 czerwca 1947.

Przepisałem całość do notesu. Po raz pierwszy doznałem uczucia, że natrafiłem na ukryty skarb. W żadnej z książek France'a nie występował bohater nazwiskiem Inkler, byłem więc jednym z wąskiego grona wybrańców, którzy wiedzieli o istnieniu tej postaci. W swojej zachłanności, zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy powiadomić Saxony o tym odkryciu. Tajemnica należała do mnie i do Marshalla France'a. Do Marshalla i do mnie... Jednak szlachetność zwyciężyła i powiedziałem jej. Była równie przejęta jak ja i cały następny dzień przesiedzieliśmy w bibliotece, mozoląc się nad resztą ulubionych, zdaniem bibliotekarki, lektur France'a. Dalszych odkryć nie poczyniliśmy, ale już sam Inkler miał się niebawem okazać twardym orzechem do zgryzienia.

Przejrzałem wszystkie książki France'a przez skojarzeniowe szkło powiększające, starając się doszukać zależności między nimi a Galen, ale poszukiwania spełzły na niczym. Przyjąłem założenie, że France gromadził okruchy rzeczywistości, po czym przekształcał je nie do poznania dla własnych celów. Na przykład, z porcji ludzkiej gliny zwanej panią Lee, wyrzeźbił Lady Oliwę.

Skończywszy dochodzenie, odepchnąłem się od stołu i otarłem twarz dłońmi. Pracowałem w magazynie biblioteki i już wchodząc tam zauważyłem zdumiewająco dobry wybór pism literackich na półkach z czasopismami. Wstałem po egzemplarz „Antaeusa". Bibliotekarka złowiła mnie wzrokiem i pokiwała palcem, żebym podszedł do jej biurka. Poczułem się jak niegrzeczny chłopczyk, którego przyłapano na hałasowaniu za regałem.

– Pan Abbey? – upewniła się surowym szeptem.

Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się.

– Może wypisać panu tymczasową kartę? Będzie pan wtedy mógł brać książki do domu, zamiast je czytać na miejscu.

– Kiedy tu jest całkiem przyjemnie, dziękuję. Miła sala do pracy.

Myślałem, że mój urok osobisty każe jej się przynajmniej uśmiechnąć, ona jednak twardo kontynuowała służbiste marszczenie brwi. Pod nosem miała drobne poprzeczne zmarszczki, które biorą się z wieloletniego wydymania ust. Na jej biurku panował idealny ład. Splecione ręce złożyła na blacie i mówiąc wcale nimi nie poruszała, nie bębniła palcami po stole, ani nie wykręcała palców. Na pewno zakatrupiłaby każdego, kto by odstawił książkę nie na tę półkę co trzeba.

– Trzeba panu wiedzieć, że byli tu już tacy, co chcieli pisać o Marshallu.

– Doprawdy?

– Annie żaden się nie spodobał, a już najmniej ten, który chciał pisać biografię. Był taki ordynarny...

Pokręciła głową i cmoknęła językiem o podniebienie.

– To był ten ze Wschodu? Facet z uniwersytetu Princeton?

– Tak, to on chciał pisać biografię Marshalla. Wyobraża pan sobie coś podobnego? Mówią, że Princeton to świetny uniwersytet, ale jeżeli wypuszcza takich absolwentów, to ja się pod taką opinią nie podpiszę.

– Może przypadkiem pamięta pani jego nazwisko?

Przekrzywiła głowę i uniosła blat biurka jedną pulchną dłonią. Pukając się palcem w podbródek, ani na chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jego nazwisko? Nie, nigdy go nie pytałam, a i on nie spieszył się z informacją. Przyjechał jak udzielny książę na białym koniu i zasypał mnie pytaniami, nie mówiąc nawet „proszę". – Gdyby była ptakiem i miała pióra, w tym momencie na pewno by je nastroszyła. – Z tego, co słyszałam, do wszystkich w mieście odnosił się podobnie. Zawsze powtarzam, że człowiek może sobie być ordynusem, ale nie pod moim dachem.

Oczami wyobraźni ujrzałem wymoczka z Princetonu, z teczuszką-dyplomatką firmy Mark Cross, z magnetofonem firmy Sony i z nieprzekraczalnym terminem złożenia pracy, jak krąży od człowieka do człowieka, próbując wycisnąć jakiekolwiek informacje i odnosząc zerowe rezultaty, ponieważ indagowani absolutnie nie byli w nastroju do udzielania odpowiedzi.

– Może chciałby pan obejrzeć jedną z ulubionych książek Marshalla, panie Abbey?

– Byłbym zachwycony, jeżeli to nie jest dla pani zbyt wielki kłopot.

– Przecież za to mi płacą, żebym podawała ludziom książki.

Obeszła biurko i podążyła w stronę tylnych regałów. Byłem pewien, że idzie do działu literatury dziecięcej, więc z niemałym zdumieniem odnotowałem, że zatrzymała się przy półce z napisem „Architektura". Rozejrzała się ostrożnie, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– Między nami mówiąc, panie Abbey, wydaje mi się, że ona da panu zgodę. Z tego, co słyszałam, zgodzi się.

– Naprawdę? – Nie byłem całkiem pewien, o czym mówi. Jej głos zniżył się do zawodowego szeptu.

– A ty na pewno nic nie chcesz...? Do cholery z tym wszystkim, zaraz wracam.

Otworzyłem drzwi i dałem krok prosto w wielką kałużę, topiąc w niej za jednym zamachem tenisówkę i skarpetkę. Obejrzałem się, czy zauważyła, ale oczy miała zamknięte, a dłonie nadal splecione na kolanach. Drugą, suchą nogę, też starannie wstawiłem do kałuży i trzymałem ją tam tak długo, aż poczułem, że zimno wsącza się do buta i pod skarpetkę. Wtedy zacząłem dreptać w miejscu. Chlup-chlup.

– Co... ty... wyprawiasz?

Chlup- chlup.

– Tomasz! Przestań! – Zaczęła się śmiać. O ileż przyjemniejszy był to dźwięk od bębnienia deszczu. – Nie wariuj. Zamknij te drzwi. – Stałem plecami do niej i nagle poczułem, jak złapała mnie garścią za bluzę. Zaśmiewając się, pociągnęła z całej siły.

– Czy mógłbyś łaskawie wrócić do środka? Co ty wyprawiasz?

Spojrzałem do góry na deszcz, który lał tak mocno, że musiałem zamknąć oczy.

– Ponoszę karę! Karę za grzechy! Przez całe zasrane życie pytano mnie, jak to jest być synem Stephena Abbeya. Z każdą kolejną próbą odpowiedzi na to pytanie czuję się coraz większym durniem.

Przestałem chlapać. Zrobiło mi się bardzo, ale to bardzo smutno. Chciałem się odwrócić i popatrzeć na Saxony, ale nie mogłem.

– Przepraszam cię, Sax. Gdybym miał cokolwiek do powiedzenia na ten temat, Bóg mi świadkiem, że bym ci to powiedział.

Wiatr ciskał deszczem prosto w moją twarz. Jakaś rodzina przechodząc obok wybałuszyła gały.

– To nic nie szkodzi, Tomaszu. – Wyjątkowo silny poryw wiatru kazał mi znów zamknąć oczy. Nie byłem pewien, czy dobrze ją usłyszałem.

– Co mówiłaś?

– Mówiłam, że gwiżdżę na twojego ojca.

Dotknęła moich pleców otwartą dłonią i jej głos stał się mocny, żarliwy, kochający.

Odwróciłem się i wziąłem ją w mokre objęcia. Całowałem jej ciepłą szyję i czułem, jak ona całuję moją.

– Przytul mnie mocniej, ty gąbko. I tak już nasiąkłam.

Przycisnęła się z całej siły i ugryzła mnie w szyję.

Nie umiałem nic powiedzieć. Przypomniał mi się tylko kawałek z książki France'a „Smutek Zielonego Psa": *Głos Sola też kochał Krang. Kiedy był z nią, zawsze szeptał.*

Rozdział II

Planowaliśmy odbyć całą podróż w dwa dni, ale okazało się, że trzeba koniecznie zboczyć do Stuckeya po pralinki, do Miasteczka Granicznego, do Wioski Świętego Mikołaja, czy do Miasta Gadów, gdzie co chwila kierowały nas drogowskazy, nie mówiąc o wszystkich innych miejscach, na które nagle nabieraliśmy ochoty.

– Poczekaj. Chcesz zobaczyć... co to jest?... aha, pole bitwy nad Green River?

– Sama nie wiem. Chyba chcę. W której to było wojnie?

– Co za różnica. Głupie pięć mil stąd. Sax, którą książkę France'a lubisz najbardziej?

– „Sadzawkę Gwiazd" i „Krainę Chichów", po równo.

– „Sadzawkę Gwiazd"? Naprawdę?

– Tak, tam jest moja ulubiona scena. Jak ta dziewczyna idzie nocą na plażę i spotyka starca, a biały ptak wydziobuje niebieskie dziury z oceanu.

– O rany, a ja nie potrafiłbym powiedzieć, która scena jest moją ulubioną. Chyba coś z „Krainy Chichów". Na pewno. Ale miałbym trudności czy wybrać scenę magiczną czy komiczną. Właściwie teraz wolę sceny komiczne, ale jak byłem mały – te wojny Słów z Ciszą – o kurczę!

– Tomasz, nie zjeżdżaj z pasa!

Od czasu do czasu zjeżdżaliśmy na parking i usadowieni na gorącej masce samochodu patrzyliśmy na mknące obok pojazdy. Nie odzywaliśmy się przy tym ani słowem i nic nas nie gnało do celu.

Pierwszą noc przespaliśmy w miasteczku tuż na zachód od Pittsburga. Gospodarze motelu trzymali czarno-płowe kundelki, z których dwa wzięliśmy po obiedzie na trawnik przed domem, żeby nas mogły trochę poobgryzać.

- Tomasz?
- No? Hej, trzymaj go, bo ucieknie!
- Posłuchaj, to poważna sprawa.
- Dobrze, słucham.
- Czy wiesz, że jeszcze nigdy nie byłam w motelu z mężczyzną?
- Nie zgrywaj się.
- Naprawdę. I wiesz, co jeszcze? Bardzo mi się to podoba. - Podała mi szczeniaka i wstała. - Kiedy byłam młodsza i bez przerwy myślałam o swoich oparzeniach, bałam się, że nikt mnie nigdy nie weźmie do motelu.

Nazajutrz rano, kiedy już mieliśmy ruszać, gospodyni wyszła z kantorku i wręczyła nam pięknie opakowany suchy prowiant, z batonikami Milky Way na deser. Szepnęła coś do ucha Saxony i poszła z powrotem do biura.

- Co ci powiedziała?
- Że jesteś za chudy i że powinnam ci odstąpić swoją Drogę Mleczną.
- Ja też tak uważam.
- Ani mi się śni.

Tak wyglądała cała nasza podróż: jedna przyjemność za drugą, więc kiedy dotarliśmy do St. Louis i zobaczyliśmy Saarinen Arch, obojgu nam było trochę żal, że już tyle drogi za nami. W środku dnia zatrzymaliśmy się w miasteczku Pacific, stan Missouri i pozwiedzaliśmy lunapark zwany Sześć Flag. Tej nocy wróciliśmy do klimatyzowanego pokoju w motelu i kochaliśmy się. Saxony bez przerwy powtarzała moje imię. Jeszcze nigdy nie kochałem się z kobietą, która by tak robiła. Nagle wszystko układało się tak dobrze. Zajrzałem kolejno we wszystkie ciemne zakamarki własnego życia, żeby sprawdzić, czy nic się tam nie czai... Ale nie. Inna rzecz, że niczego się nie spodziewałem.

Rozdział III

Zajechałem na stację benzynową firmy Sunoco, na co z budynku wyszła ładna dziewczyna, blondynka, w jaskrawo czerwonej czapce baseballowej z napisem St. Louis Cardinals.

- Do pełna proszę. Daleko stąd do Galen?

Pochyliła się do przodu i wsparła dłonie na kolanach. Zauważyłem, że paznokcie ma bardzo krótkie, a dwa całkiem czarne. Jakby spadło na nie coś ciężkiego, co spowodowało wylew krwi.

- Do Galen? Jakieś cztery mile. Pojedzie pan prosto do krzyżówki i skręci w prawo, za parę minut będziecie na miejscu.

Zabrała się z powrotem do napełniania baku mojego wozu, a ja zerknąłem na Saxony. Była uśmiechnięta, ale co najmniej tak zdenerwowana jak ja.

- No to... - wykonałem nieokreślony gest w powietrzu.
- No to... - zgodziła się, wciągając głowę w ramiona.
- Jesteśmy prawie na miejscu, moje dziecko.
- Wiem.
- W Krainie Chichów.
- W Krainie Marshalla France'a.

★

Szosa biegła równymi falami, co było bardzo przyjemne po gładkiej jak stół monotonii autostrady. Minęliśmy wagon restauracyjny, potem tartak, z którego zapachniało świeżo spiłowanym drewnem, oraz zakład weterynaryjny, z wnętrza którego dobiegało chrapliwe ujadanie przestraszonych i chorych psów. Na krzyżówce tkwił znak stopu, podziurawiony jak rzeszoto pociskami i ospowaty od śladów po śrucie, wypełnionych pomarańczową rdzą. Pod znakiem stopu stał wyrostek i machał na przejeżdżające samochody. Wyglądał dość niewinnie, a mimo to, przyznaję, przeleciało mi przez głowę parę scen z książki „Z zimną krwią".

- Tak, mówiła mi o tym dzisiaj, kiedy robiłyśmy zakupy.
- Powiedziała ci?
- Aha. Rozmawiałyśmy o filmach, zaczęło się oczywiście od twojego ojca, i Gąseczka zapytała, czy znam „Lot nad kukułczym gniazdem". Powiedziałam, że znam, na co ona wyznała mi, że była w zakładzie. Powiedziała to tonem - „No i co w tym złego?"
- Hmmmm. - Zabrałem rękę i zacząłem się bawić psią smyczą.
- Ale o co ci chodzi?
- Kupiłaś coś na obiad?
- Tak, mnóstwo pysznych rzeczy. Głodny jesteś?
- Jak wilk.

Robię najlepsze na świecie zapiekane kanapki z serem. Krzątając się po kuchni wokół tych majstersztyków, relacjonowałem Saxony moją leśną idyllę z Anną.

- Świetnie, chleb pełnoziarnisty! A te-raz od-ro-bin-ka ma-sel-ka.
- Naprawdę myślisz, że Ryszard Lee byłby w stanie cię postrzelić?
- Nie tylko myślę, Saxony, ale mogę to udowodnić kilkoma plamami potu na ubraniu. Ten gość nie żartował.
- Tomaszu, podobno Dawid Louis mówił, że Anna robiła mu dzikie awantury i pisała obraźliwe listy, ilekroć przysłał tu kogoś, kto chciał pisać o jej ojcu?
- Louis nikogo tu nie nasyłał, Sax, po prostu udzielał ludziom informacji. A oni przyjeżdżali tutaj z własnej woli, tak jak my.
- W porządku, przyjeżdżali z własnej woli. Ale sam mi mówiłeś, że po ich wizytach w Galen Anna pisała do Louisa, zarzucając mu, że to wszystko jego wina i że nie miał prawa tego robić.

Kiwnąłem głową i plasnąłem łopatką o blat.

- Dobrze, w takim razie odpowiedz mi na pytanie: dlaczego ona jest taka słodka wobec ciebie? Jeżeli nienawidzi biografów, to dlaczego zaprosiła nas na kolację i dlaczego zawiozła cię dzisiaj do domu Lady Oliwy?
- To jest właśnie jedna z tych podejrzanych rzeczy, o których mówiłem, Sax. Albo Dawid Louis ma nie po kolei w głowie, albo z jakichś powodów nie lubi Anny France. Jak dotąd, niemal wszystko, co mi o niej opowiadał, okazało się nieprawdą.
- Pamiętaj jednak, że i ona parę razy skłamała na temat ojca, kiedy rozmawialiśmy wczoraj przy kolacji - Saxony wygłosiła to zdanie triumfalnym tonem.
- To prawda. Przyjęła nas z otwartymi ramionami, a kiedy doszło do rozmowy o nim, zaczęła coś kręcić. - Wyrzuciłem łopatkę w górę i złapałem z powrotem za uchwyt. - Nie pytaj mnie o takie rzeczy, kochanie, ja tu tylko sprzątam.
- To ciekawe, wiesz? - Podeszła do kredensu i wyjęła z niego dwa jaskrawo niebieskie talerze.
- Hej siup! - wyciągnąłem kanapki z piekarnika w idealnym momencie i przerzuciłem je na papierowy ręcznik, żeby odsączyć nadmiar tłuszczu. Oto cały sekret idealnie zapieczonego sera.

Rozdział VII

Przez kilka następnych dni nic szczególnego się nie wydarzyło. Szwendałem się po mieście i zagadywałem ludzi. Wszyscy odnosili się do mnie bardzo uprzejmie, ale od nikogo nie dowiedziałem się wiele ponad to, co już wiedziałem. Marshall France był równym gościem, skorym do żartów i wypitki, jak każdy inny śmiertelnik. Za sławą nie przepadał, o nie. Dobry ojciec rodziny, który od czasu do czasu może i rozpieszczał córkę, ale czy nie po to są na świecie ojcowie?

Udałem się do miejskiej biblioteki i przeczytałem na nowo wszystkie jego książki. Bibliotekarka była starszą damą w rogowych okularach barwy różowej ostrygi nad pyzatymi, obficie uróżowanymi policzkami. Krzątała się zawzięcie, jakby w każdej sekundzie czekał na nią milion rzeczy do zrobienia, ale szybko pojąłem, że cała ta jej krzątanina była na pokaz, a tak naprawdę staruszka najbardziej lubiła siedzieć za wielkim dębowym biurkiem i czytać.

Kilku uczniów ściągało wypracowania z encyklopedii, a za egzemplarzem „Popular Mechanics" siedziała zaczytana po uszy młoda kobieta, bardzo ładna.

ny prądem, właściciel sklepu został zastrzelony w napadzie rabunkowym, wczoraj w nocy oślepła pewna stara kobieta, a dzisiaj ta historia z chłopcem... Galen jest dziurą zabitą deskami, Tomaszu, na pewno sam to zauważyłeś. Tu się po prostu nic nie dzieje. O takich miasteczkach jak nasze powstają dowcipy – „Macie tu jakieś życie nocne?" „Tak, ale ją dzisiaj zęby bolą". I nagle seria takich koszmarów!

– A co miał na myśli Jordan mówiąc, że to nie miał być on?

– Joe Jordan jest Świadkiem Jehowy. Słyszałeś o Świadkach Jehowy? Uważają siebie za garstkę wybrańców. „Bóg nie dopuści, żeby coś takiego zdarzyło się któremukolwiek z nich", a poza tym – pomyśl sam, co byś powiedział, gdybyś nagle przejechał dziecko?

– Ten chłopiec umarł?

– Jeszcze nie, ale wkrótce umrze. To znaczy, najprawdopodobniej tak, z tego, co słyszałam.

– No dobrze, to jeszcze ma jaki taki sens, ale co miała na myśli pani Fletcher pytając mnie, czy chłopiec śmiał się, zanim samochód go potrącił?

– Gąseczka Fletcher jest miejscową wariatką. To też już z pewnością zauważyłeś. Wszystkich rozstawia po kątach, zadaje niesamowite pytania, a w swojej stukniętej głowie ma poukładane tak, że daj Panie Boże. Po śmierci męża spędziła przymusowo trzy lata w zakładzie dla obłąkanych.

Doszliśmy do samochodu i Anna otworzyła tylne drzwi, żeby wpuścić psy do środka. Jej wyjaśnienia brzmiały całkiem logicznie. Absolutnie logicznie. Dlaczego jednak odwróciła się i przeciągle spojrzała w las? Ponieważ wiedziałem, że wszystko, co mi przed chwilą powiedziała, było stekiem bzdur.

Mnie i Kulfona wyrzuciła koło domu pani Fletcher, obiecując, że zadzwoni za dzień, dwa. Nie była przy tym szorstka, ale i nie uwodzicielska.

Dochodząc do ganku, zobaczyłem za szklanymi drzwiami sylwetkę Saxony.

– Cześć, kochanie, wyglądasz jak zjawa za drutowanym szkłem.

– Byłeś z Anną?

– Chwileczkę. – Spuściłem Kulfona ze smyczy, a on zaraz usiadł na dolnym schodku. – Tak. Zawiozła mnie do domku Lady Oliwy.

– Co takiego? – Saxony otworzyła drzwi i wyszła na ganek.

– To, co mówię. Niejaka Dorota Lee była podobno pierwowzorem Lady Oliwy. Mieszkała w rozwalającej się chałupie trzy czy cztery mile za miastem, w środku lasu. Anna podjechała tu z pytaniem, czy nie chciałbym obejrzeć tego miejsca. I chciałem, nawet bardzo, aż do chwili pojawienia się tam syna Doroty Lee, który omal nas nie powystrzelał za włamanie. Niejaki Ryszard. Wykapany obraz Lona Chaneya Juniora z „Myszy i ludzi". „Co tam z tymi królikami, George" – ten typ, pojmujesz?

– Jak wygląda ten dom?

– Nic szczególnego. Rudera wytapetowana starymi gazetami. Wyjątkowo mało inspirująca.

– Czy Anna wspomniała coś na temat książki?

– Nie, ani słowem, niech ją diabli. Zdaje się, że postanowiła się z nami podrażnić. Opowiada mi na przykład coś o swoim ojcu i zawsze zaczyna od słów: „Teraz będzie coś do twojej książki". Chociaż jeszcze wcale nie powiedziała, czy da mi ją pisać, czy nie.

Saxony przestąpiła z nogi na nogę i usiłowała przybrać ton nonszalancki. Poczułem, jak bardzo ją kocham za ten nieudany wysiłek.

– Co myślisz o Annie? Osobiście?

Zwalczyłem uśmieszek i przesunąłem dłonią po jej piegowatym policzku. Słońce ją trochę wzięło podczas zakupów. Odsunęła się i złapała moją rękę. Uśmieszek jednak wylazł na powierzchnię.

– Powiedz prawdę, Tomaszu, nie wygłupiaj się. Wiem, że Anna ci się podoba, mnie nie oszukasz.

– Czemu miałbym cię oszukiwać? Z pewnością nie pasuje do obrazu, który odmalował Dawid Louis. A ja już się szykowałem na randkę z Lukrecją Borgią.

– Więc podoba ci się? – Nie puszczała mojej ręki.

– Tak, jak dotąd tak – wzruszyłem ramionami. – Ale coś ci powiem, Sax. Z drugiej strony uważam, że dzieją się tutaj rzeczy podejrzane, które wcale mi się nie podobają.

– Na przykład?

– Na przykład, czy wiedziałaś... – przerwałem na moment i zniżyłem głos do szeptu. – Czy wiedziałaś, że Gąseczka Fletcher przez trzy lata siedziała u czubków?

– Do Galen.

Powiedzieliśmy mu, że i my tam jedziemy, więc może wsiadać. Jego głowę porastało sflaczałe ryże afro, a ilekroć spojrzałem w lusterko wsteczne, widziałem albo wbity w siebie wzrok szczeniaka, albo gorejący krzak jego włosów, którymi szczelnie zasłaniał widoczność.

– Do Galen jedziecie? Widziałem, że macie tablice Connecticut – to ostatnie słowo wymawiał „kenNEKt-tiket". – Chyba nie jedziecie aż stamtąd specjalnie do Galen?

Uprzejmie skłoniłem głowę i popatrzyłem na niego w lusterku. Chwila pozytywnego kontaktu wzrokowego. Stara zabawa w „kto kogo przetrzyma".

– A właśnie, że tak.

– Olala, z Connecticut do Galen – odezwał się ironicznie. – Nielicha przejażdżka.

Miałem w klasie tylu gnojków podobnych do niego, że jego chamstwo nie wywarło na mnie najmniejszego wrażenia. Zafajdany hippies. Brakowało mu tylko koszulki z napisem „KISS" i wyłażących górą spod dżinsów niebieskich slipek.

Saxony odwróciła się do chłopaka.

– Mieszkasz tam?

– A jak.

– Znasz Annę France?

– Pannę France? Jasne, że znam.

Zaryzykowałem jeszcze jednego zeza w lusterko: oczy chłopaka nadal tkwiły we mnie, tyle że teraz żuł on jeszcze na dobitkę paznokieć kciuka, niezmiernie z siebie zadowolony.

– Do niej jedziecie?

– Owszem, chcemy z nią porozmawiać.

– Porozmawiać? Ona jest w porządku. – Pociągnął nosem i poprawił się na tylnym siedzeniu. – Wystrzałowa kobitka. Luz totalny.

Ni stąd ni zowąd, byliśmy na miejscu. Zjechaliśmy z niewielkiego pagórka, minęliśmy biały dom z dwiema cienkimi kolumnami i szyldem dentysty dyndającym na słupie od lampy wkopanym w trawnik przed domem, dalej był punkt reperacji kosiarek Dagenais, w niebieskosrebrnym blaszanym warsztacie, magazyn pod nazwą „Montgomery Ward", remiza strażacka, której drzwi były otwarte na oścież, ale w której nie stał ani jeden wóz strażacki, oraz sklep ogrodniczy, polecający jako towar tygodnia pięćdziesięciofuntowe opakowania pokarmu dla psów „Purina".

To było całe miasteczko. To właśnie tutaj On napisał wszystkie swoje książki. Tutaj jadał, sypiał, spacerował, rozmawiał z ludźmi, kupował kartofle, prasę i benzynę do samochodu. Większość tutejszych znała go osobiście. Osobiście znali Marshalla France'a.

Główna część miasta leżała po drugiej stronie torów kolejowych. Kiedy dojeżdżaliśmy do przejazdu, szlaban zaczął się właśnie powoli opuszczać, czemu towarzyszyło ostrzegawcze brzęczenie dzwonka. Byłem uszczęśliwiony. Uradowałoby mnie wówczas wszystko, co oznaczało opóźnienie chwili spotkania z Anną France. Poza tym, od dziecka lubiłem patrzeć na przejeżdżające pociągi. Pamiętam jazdy przez cały kraj ekspresem „Dwudziesty Wiek", albo „Super Wódz", które często odbywaliśmy z matką, jeszcze zanim rodzice się rozwiedli.

Kiedy zbliżyliśmy się do zamkniętego szlabanu, wyłączyłem silnik i założyłem rękę na oparcie fotela Saxony. Było gorące i lepkie. Był to jeden z tych letnich dni, podczas których powietrze przypomina rozmiekły ołów, a chmury same nie wiedzą, czy mają chlusnąć deszczem, czy tylko wisieć na niebie i straszyć.

– Tu mnie pan może wysadzić.

– Mógłbyś nas poinformować, gdzie mieszka Anna France?

Wetknął chudą łapę między nasze dwa fotele i dziobiąc powietrze palcem wskazującym, powiedział:

– Dojedziecie do końca tej ulicy. Jakieś trzy przecznice stąd. Potem skręcicie w prawo, w Connolly Street. Ona mieszka pod ósmym. Gdybyście przegapili, spytajcie byle kogo. Każdy wam pokaże. Dzięki za podwózkę.

Wysiadł z samochodu, a kiedy się od nas oddalał, zauważyłem, że na obu tylnych kieszeniach spodni

naszyte ma kolorowe aplikacje. Jedna przedstawiała figę, a druga znak pacyfistów – dłoń ułożoną w literę V. Obie utrzymane były w barwach czerwonej, białej i niebieskiej, palce w gwiazdki.

Pociąg okazał się być powolnym dwustuwagonowym towarowcem. Defilowały przed nami wagony z szyldami firm – Erie Lackawanna, Chesapeake and Ohio, Seatrain, ... Loud; nawet stukot kół poszczególnych wagonów był różny. Na końcu jechała przytulna ceglastoczerwona budka na kółkach, a w jej wysokim kwadratowym okienku facet czytający gazetę i pykający fajkę, jakby o Bożym świecie nie pamiętał. Bardzo mi się to wszystko podobało.

Kiedy pociąg przejechał, biało-czerwone sztaby zaczęły wolno wędrować w górę, tak ociężale, jakby były śmiertelnie zmęczone i absolutnie nie miały chęci nigdzie się wspinać. Włączyłem silnik i przekozłowałem na drugą stronę torów. Spojrzałem w lusterko: za nami nie było nikogo.

– Widzisz? To jest właśnie cała różnica między tymi stronami a Wschodem.

– To znaczy?

– Staliśmy na przejeździe dobre pięć albo i osiem minut, prawda? Na Wschodzie nie trzeba by było połowy tego czasu, żeby powstała za nami dziesięciomilowa kolejka samochodów. A tutaj – popatrz sama. – Obejrzała się, ale nie powiedziała ani słowa. – Widzisz? Ani jednego. Na tym właśnie polega różnica.

– Aha. Tomaszu, czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, gdzie jesteśmy? Dociera to do ciebie, że jesteśmy na miejscu?

– Na razie staram się o tym nie myśleć. Od takiego myślenia dostaję skrętu kiszek.

Celowo bagatelizowałem. Byłem bliski paniki na myśl o rozmowie z Anną France, ale nie chciałem, żeby Saxony o tym wiedziała. Przypominałem sobie po kolei wszystko, co Dawid Louis mówił mi o Annie France. Czarownica. Neurotyczka. Aby uniknąć dalszej konwersacji, opuściłem szybę w swoim okienku i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Pachniało nagrzanym kurzem i czymś jeszcze.

– Sax, spójrz, rożen! Chodź, zjemy jakiś obiad.

Nad wolnym placykiem między „Artykułami Sportowymi Phenda" a „Towarzystwem Ubezpieczeniowym Glassa", ustawiono wielki, zielony baldachim. Pod baldachimem, przy turystycznych stolikach z czerwonego drewna, siedziało ze dwadzieścia osób, jedząc i rozmawiając. Ręcznie malowany szyld informował, że jest to doroczne spotkanie Klubu Lwów przy rożnie. Zaparkowałem samochód obok brudnej ciężarówki i wysiadłem. Nieruchome powietrze tchnęło wonią dymu z palonego drewna i opiekanego na rożnie mięsiwa. Powiał leciutki wietrzyk. Zamarłem w połowie przeciągania się, gdyż przypadkowo spojrzałem na biesiadników. Prawie wszyscy przerwali jedzenie i gapili się na nas. Wszyscy, z wyjątkiem niebrzydkiej kobiety o krótkich, czarnych włosach, która spieszyła między stoliki trzymając w objęciach dwa pudła bułek do hamburgerów, zamarli w pół gestu – grubas w słomkowym kapeluszu z żeberkiem tuż przy otwartych ustach, kobieta nalewająca coca-colę z pustej puszki do pełnej szklanki, dziecko trzymające oburącz nad głową biało-różowego szmacianego króliczka.

– Co to jest, „Oda do greckiej urny"? – wymamrotałem, w zasadzie do nikogo.

Przyglądałem się kobiecie od bułek, która właśnie rozcinała karton widelcem od rożna. Paraliż reszty towarzystwa mógł trwać z dziesięć długich sekund. Czar prysł na hurgot ciężarówki wiozącej złocistogrzywego konika rasy palomino. Jeden ze stojących przy rożnie mężczyzn uśmiechnął się i przywołał nas ruchem ociekającej tłuszczem łopatki do smażenia.

– Chodźcie, starczy dla wszystkich. Przybywajcie na odsiecz galeńskim Lwom.

Ruszyliśmy w tamtą stronę, a on widząc to, z aprobatą kiwał głową. Na jednej ławce było jeszcze trochę miejsca, więc Saxony przysiadła, ja zaś udałem się do dymiącego rożna.

Mój nowy znajomy oskrobywał tłuszcz ze srebrnych prętów paleniska i wołał przez ramię o dalsze żeberka. Spojrzał na mnie i postukał łopatką w rożen.

– Z Connecticut, co? Przyjechaliście taki kawał, żeby popróbować moich żeberek, co?

Na dłoni miał białą, watowaną, kuchenną rękawicę z tłusto-brązową plamą po wewnętrznej stronie. Uśmiechnąłem się głupkowato i zachichotałem przez nos.

– Ja tu, widzi pan, mam żeberka, a ten tam, Bob Schott – hamburgery. Ale na pana miejscu nie jadłbym tych jego kotletów, bo Bob jest doktorem i może was specjalnie podtruć, żeby zdobyć nową klientelę.

dwójkę opróżniali pieprzoną bańkę aż do dna. Dobrze mówię, Anno? Zaraz, zaraz, to przecież pan chciał pisać książkę o Marshallu, no nie?

– Właśnie o tym mówiliśmy, Ryszardzie. Dlatego go tutaj przyprowadziłam, żeby zobaczył domek twojej matki.

Ryszard odwrócił się ku otwartym drzwiom.

– Tę chatę zbudował dla niej mój tato, żeby mogła sobie czasami pomieszkać w lesie. W rodzinie była kupa dzieciaków i matka stale powtarzała, że przydałoby jej się ciche miejsce na odpoczynek. Nie miałem jej tego za złe. W domu prócz mnie były trzy siostry i brat. Z całej piątki ja jeden mieszkam dzisiaj w Galen.

Przeniósł wzrok na Annę.

– Tomaszu, przepraszam cię, ale za pół godziny mam spotkanie w mieście. Zostaniesz tu, czy wrócisz ze mną?

Niespecjalnie uśmiechało mi się łażenie po lesie i pogaduszki z Ryszardem, chociaż chętnie porozmawiałbym z nim nieco później, kiedy już Anna wyrazi zgodę na książkę. Miałem nadzieję, że to zrobi po kolacji u siebie w domu i po tej wycieczce, ona jednak nadal nie wypowiadała się definitywnie ani na tak, ani na nie, ja zaś bałem się żądać jednoznacznej odpowiedzi.

– Chyba lepiej wrócę, może Saxony jest już w domu.

– Myślisz, że będzie się o ciebie martwiła? – Jej ton graniczył z ironią.

– Ależ skąd, ja tylko...

– Mniejsza o to. Dostarczymy zgubę na czas. W samą porę na podwieczorek. A ty Ryszardzie? Może cię podrzucić?

– Nie, Anno, mam swoje pudło. Muszę stąd zabrać parę rzeczy. Do zobaczenia później. – Był już w drodze do środka, ale nagle odwrócił się i dotknął rękawa Anny. – Kiepska sprawa z tym Haydenem, co? To już czwarta rzecz, która poszła nie tak. A teraz to już jedna po drugiej...

– Nie teraz, Ryszardzie, porozmawiamy później. Nie przejmuj się na razie. – Mówiła to głosem cichym, monotonnym.

– Nie przejmuj się? Jak tu się nie przejmować? Zlałem się w gacie, jak to usłyszałem. Joe Jordan, bidaka, wpadł jak śliwka w szambo.

Obserwowałem twarz Anny podczas tej wymiany zdań: tężała z każdym słowem Ryszarda Lee.

– Powiedziałam już: nie teraz, Ryszardzie. Porozmawiamy później.

Podniosła rękę, jakby zamierzała go odepchnąć. Jej usta zacisnęły się w linijkę.

Otworzyła je na chwilę, jakby zamierzała coś jeszcze powiedzieć i wtedy spojrzała na mnie. Ryszard gwałtownie zamrugał powiekami i uśmiechnął się szeroko, jakby nagle wszystko zrozumiał.

– Racja! Ta moja niewyparzona gęba! – Z uśmiechem pokręcił głową. – Przepraszam, Anno. Uważaj z nią, kolego, potrafi być cięta jak osa.

– Chodźmy już, Tomaszu. Do widzenia, Ryszardzie.

Szerokość ścieżki pozwalała nam iść ramię w ramię.

– Anno, nie rozumiem pewnych rzeczy.

Nie zwolniła kroku, ani nie spojrzała na mnie.

– Na przykład? Chodzi ci o to, co mówił Ryszard?

Przeczesała dłonią krótkie włosy, ukazując na sekundę spocone czoło. Przepadam za widokiem potu na skórze kobiety. Jest to dla mnie coś wyjątkowo erotycznego, podniecającego.

– Tak, o tym, co mówił Ryszard. A pani Fletcher wypytywała mnie dzisiaj rano, czy ten mały od Haydenów śmiał się, kiedy potrąciła go furgonetka.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Ten, który go potrącił – Jordan? Joe Jordan, tak? – w kółko powtarzał, że to wcale nie miał być on i że wszystko się popieprzyło.

Nie chciałem wymuszać na niej odpowiedzi, ale byłem ciekaw, co tu się właściwie dzieje.

Zwolniła kroku i zaczęła kopać przed sobą kamyk. Kamień trafił w drugi i jak z katapulty wystrzelił w las.

– Dobrze, powiem ci. Od pół roku dzieją się w mieście straszne rzeczy. Jeden człowiek zmarł porażo-

właśnie „udekorowanych" wnętrz domów dzierżawców ziemi z Południa, ale kiedy się to widziało na własne oczy, całość była jakby mniejsza i smutniejsza. Pośrodku pomieszczenia tkwił stół z surowego drewna, z bardzo porządnie dosuniętymi dwoma rozwalającymi się krzesłami po bokach. W jednym kącie stało żelazne łóżko z szarym, wełnianym kocem zwiniętym w nogach i chudą poduszką bez poszewki w głowach. Nic poza tym – ani zlewu, ani kuchni, żadnych garnków, talerzy, ubrań na wieszakach – nic. Chatka pustelnika na ścisłej diecie albo starej wariatki.

– Kobieta, która tu mieszkała...

Z zewnątrz wtargnął do środka stentorowy bas:

– Kto tam jest! Gnoje śmierdzące, jeżeli znowu wyłamaliście zamek, to ja wam zaraz nogi z dupy powyrywam!

Na drewnianej werandzie zadudniły kroki i w drzwiach ukazał się mężczyzna dzierżący w lewej dłoni fuzję, tak jakby to był zerwany po drodze kwiatek.

– Ryszardzie, to ja!

– Poczekajcie no, gnojki śmierdzące, ja was... – Patrząc na mnie, składał się do strzału i dopiero po ułamku sekundy słowa Anny dotarły do jego zakutej pały.

– Anna?

– Tak, Ryszardzie. Może byś najpierw sprawdzał, do kogo mówisz. To już trzeci raz. Któregoś dnia zagalopujesz się i rzeczywiście kogoś zastrzelisz.

Była zła, a na Ryszardzie wywarło to natychmiastowe wrażenie. Jak wielki pies, który warczy i za to obrywa od pana po łbie, z miejsca stał się potulny i zawstydzony. Chociaż po ciemku nie było tego widać, założyłbym się, że oblał się rumieńcem.

– O Jezu, Anno – jęknął w nieudolnym odruchu samoobrony – skąd mam wiedzieć, czy to ty, czy nie ty? Nie masz pojęcia, ile razy te sakramenckie bachory się tu włamywały...

– Gdybyś był łaskaw spojrzeć, Ryszardzie, zauważyłbyś, że drzwi zostały otwarte kluczem. Ile razy jeszcze odbędziemy tę samą rozmowę? Przecież właśnie po to za każdym razem otwieram drzwi kluczem.

Wzięła mnie za rękaw i wyprowadziła obok Ryszarda na ganek. Ledwie wyszliśmy, puściła mnie.

Ryszard wyszedł za nami i wtedy go poznałem: on też był przy rożnie. Krewka, nieogolona twarz farmera na wpół zmęczona, na wpół złośliwa. Własnoręcznie ostrzyżone włosy okalały jego dużą głowę, a oczy i nos jakoś za bardzo sterczały z twarzy. Ciekawe, kim byli przodkowie tego człowieka parę generacji wstecz.

– Pan Ryszard Lee, pan Tomasz Abbey.

Niechętnie skinął głową, nie kwapiąc się do podawania ręki.

– Pan był wczoraj przy rożnie, co. – Zdanie oznajmujące.

– Owszem, byliśmy.

Nic innego nie przyszło mi do głowy. Chciałem powiedzieć coś więcej, ale zabrakło mi konceptu.

– Matka Ryszarda była Lady Oliwą.

Popatrzyłem na Annę z miną „proszę mnie nie bujać", ale ona kiwnięciem głowy potwierdziła to, co przed chwilą powiedziała.

– Dorota Lee. Lady Oliwa.

Ryszard uśmiechnął się, demonstrując nie przystający do jego postaci, doskonały garnitur białych zębów.

– Zgadza się. – Wymawiał to „sze". – I żeby nie to, że tak dobrze znałem twojego ojca, Anno, byłbym się założył, że on coś kręci z moją mamuśką. We dwójkę przesiadywali w tej chałupie więcej niż ktokolwiek z nas.

– Ojciec, kiedy pisał „Krainę Chichów" przychodził tu z miasteczka na piechotę dwa i trzy razy na tydzień, żeby odwiedzić Dorotę. Zakładał czarne tenisówki i szedł polami wzdłuż drogi. Nikt mu nawet nie proponował podwiezienia: wszyscy wiedzieli, jak lubi te spacery.

Ryszard oparł strzelbę o ścianę i poskrobał się po szczeciniastym podbródku.

– A mamuśka zawsze dobrze wiedziała, kiedy on ma przyjść. Szliśmy wtedy do lasu, zbieraliśmy całą bańkę jagód, które ona potem posypywała cukrem pudrem. Kiedy się zjawiał, siadali na ganku i we

Bob uznał to za najlepszy dowcip pod słońcem. Rozejrzał się po twarzach, sprawdzając, czy wszyscy śmieją się równie serdecznie jak on sam.

– Niech pan lepiej weźmie parę moich żeberek, zobaczy pan, co dobre, bo ja tu jestem właścicielem sklepu i to mięso sam dzisiaj osobiście zdejmowałem świeżutkie z wozu. Lepszego pan nie znajdzie.

Pokazał palcem piekące się żeberka. Ociekały czerwonawym sosem i kapały na węgle gorącym tłuszczem, który skwierczał niemal bez przerwy. Pachniały jak marzenie.

– Dobrze gadasz, Dan. Przecież wszyscy wiemy, że to te same, których ci się nie udało sprzedać w zeszłym tygodniu.

Kiedy się obejrzałem przez ramię, żeby zobaczyć, jak sobie Saxony radzi z miejscowymi dowcipnisiami, ze zdumieniem zobaczyłem ją roześmianą od ucha do ucha.

– My tu sobie gadu-gadu i wcale nie dajemy wam jeść. Co podać panu i pani?

Dan, mistrz ceremonii, miał błyszczącą łysinę, tylko po bokach z rzadka okoloną krótkimi, brązowymi włosami. Jego ciemne, sympatyczne oczy, osadzone były w nalanej, czerwonej twarzy bez zmarszczek, twarzy człowieka, który skonsumował w swoim życiu niejedną kopę żeberek. Ubrany był w biały podkoszulek, wymięte beżowe spodnie i czarne buty robocze. Całość przypominała mi zmarłego przed paru laty aktora nazwiskiem Johnny Fox, który słynął z tego, że bijał żonę, ale który mimo to zawsze grywał w kowbojskich filmach role tchórzliwych, małomiasteczkowych burmistrzów i sklepikarzy. Z gatunku tych, którzy nie mają odwagi stawić czoła bandzie Daltona, kiedy ta przybywa do miasteczka z zamiarem niepozostawienia kamienia na kamieniu.

Mój ojciec miał zwyczaj zapraszać do domu facetów pokroju Johnny'ego Foxa. Zawsze sprawiali wrażenie szczerze zdumionych, że mój stary zaprosił ich na kolację. Ojciec stawał w drzwiach i darł się na cały głos do Esther, naszej kucharki, że będzie jeszcze jedna osoba przy stole.

Jeżeli byłem akurat w pokoju razem z matką, matka wydawała żałosny jęk i spoglądała przy tym w sufit, jakby tam właśnie miała wypisaną odpowiedź.

– Twój ojciec znalazł następne monstrum – mówiła, po czym ze znużeniem dźwigała się z fotela, żeby ojciec, pojawiając się w drzwiach z nowym kolesiem, zastał ją przynajmniej na stojąco.

Ze zbuntowaną pokorą wykrzykiwał:

– Popatrz no, Meg, kogo to my dzisiaj mamy na kolacji! Pan Johnny Fox! Pamiętasz Johnny'ego, prawda?

Johnny zbliżał się do matki na paluszkach i podawał jej rękę, jakby była elektrycznym węgorzem gotowym w każdej chwili razić go prądem. Wszyscy bali się matki jak ognia i dobrze wyczuwali, mimo jej niezłomnej uprzejmości, że matka nie cierpi ich obecności pod swoim dachem, a tym bardziej przy stole. Ale posiłki przebiegały bez zgrzytów. Rozmawiano o filmach, w których obecni akurat grali, wymieniano ploteczki i wieści z filmowego światka. A po skończonej kolacji, Johnny (czy którykolwiek inny) pospiesznie zbierał się do odwrotu, wylewnie dziękując matce za wspaniałe przyjęcie. Raz, pewien operator filmowy nazwiskiem Whitey, który zdzielił żonę w ciemię opiekaczem do grzanek i dostał za to trzydzieści dni paki, potknął się w drzwiach o gumową wycieraczkę z napisem „WITAMY" i skręcił nogę w kostce – tak mu się spieszyło do wyjścia.

Pożegnawszy gościa, starzy przenosili się do salonu, gdzie ojciec zapalał cygaro marki Montecristo, a matka zajmowała swoje tradycyjne miejsce przy oknie, skąd, zwrócona do niego plecami, rozpoczynała potyczkę.

Na początek pytała rzeczowym tonem:

– Czy to przypadkiem nie był ten, który bije żonę /okradł restaurację/ hoduje psy na walki psów/ przemyca Meksykanów przez granicę?

Ojciec w odpowiedzi wydmuchiwał długi, szary ogon dymu i przyglądał się cygaru z miną człowieka szczęśliwego.

– Tak, to ten sam. Dwa tygodnie temu wypuścili go z ciupy. I całe szczęście, bo Borys już się bał, że trzeba będzie zatrudnić kogoś innego do roli burmistrza. Jego żona nie wniosła oskarżenia, dlatego go puścili.

– Całe szczęście, nieprawdaż?

Matka próbowała dźgać ostrzem ironii, ale bez przekonania, skutkiem czego wychodziło to tak, jakby naprawdę radował ją szczęśliwy obrót sprawy Johnny'ego.

– Ciekawy gość. Ciekawy gość. Jakieś pięć lat temu pracowałem z nim przy jakimś filmie. Bez przerwy albo chodził pijany, albo przystawiał się do inspicjentki, która była wyjątkowo szpetna.

– To fantastyczne. Ty masz nosa do ludzi, Stephen.

Trwało to tak długo, jak długo ojciec palił cygaro. Wtedy albo stawał za matką i obejmował ją od tyłu w pasie, albo wychodził z pokoju. Ilekroć uczynił to drugie, matka odwracała się za nim i przez dłuższą chwilę patrzyła w puste drzwi.

*

– Żeberka czy hamburger?

– Słucham? Ach, oczywiście, żeberka. Żeberka, doskonale.

Dan nabrał porcję czerwonawych skwarek i przełożył je na ogromny żółty talerz koło dwóch bułek. Tłuszcz z żeberek natychmiast rozlał się po talerzu i zaczął wsiąkać w bułki.

– Należy się dwa pięćdziesiąt, bez dodatku za rozrywkę.

Wziąłem jeszcze dwie cole i poszedłem do stołu. Siwa starsza kobieta o pobrużdżonych, zapadniętych policzkach i z brązowoczarnym zębem z przodu, siedziała obok Saxony, mówiąc do niej cicho i pospiesznie. Pomyślałem, że to trochę niesamowite, ale Saxony z uwagą słuchała sąsiadki, a kiedy postawiłem przed nią jedzenie, nawet nie drgnęła. Lekko dotknięty tym faktem, zająłem się żeberkami. Parzyły w palce, natychmiast upuściłem je na stół. Nie wydawało mi się, żebym zrobił tym wiele hałasu, a jednak, kiedy podniosłem wzrok, znowu wszyscy się na mnie gapili. Nienawidzę jak ktoś się na mnie gapi. Należę do osób, które, gdy zamawiają kotlet, a przez pomyłkę dostają rybę, bez zmrużenia oka wsuwają rybę, jedynie po to, żeby uniknąć scen. Nie znoszę publicznych awantur, hucznych urodzin obchodzonych w restauracjach, potykania się na ulicy i puszczania bąków przy ludziach, bo wszystko to sprawia, że ludzie nagle przestają robić swoje i gapią się na człowieka przez najdłuższe sekundy w życiu.

Poczęstowałem najbliższe towarzystwo uśmiechem mającym oznaczać „Ależ ze mnie oferma!", nic jednak przez to nie osiągnąłem. Gapili się i gapili, bez końca.

– Tomaszu? – to wierna Saxony spieszyła mi na odsiecz.

– Słucham? – Bezwiednie powiedziałem to głosem zdolnym ściąć śmietanę na masło. Saxony podniosła żeberko ze stołu i położyła je z powrotem na moim talerzu.

– Przedstawiam ci panią Fletcher. Pani Fletcher – Tomasz Abbey.

Stara kobieta wyciągnęła rękę poprzez stół i uraczyła mnie mocnym uściskiem dłoni poruszając moim ramieniem jakby pompowała wodę. Wyglądała na sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć lat. Sprawiała na mnie wrażenie urzędniczki miejscowej poczty albo właścicielki kiosku ze słodyczami i prażoną kukurydzą w lokalnym kinie. Nie miała wysuszonej, łuskowatej skóry osoby leciwej, która całe życie spędziła na słońcu. Była raczej biała bladością ludzi spędzających większość życia pod dachem i szarzejącą z czasem jak stara kartka pocztowa.

– Bardzo mi przyjemnie. Podobno zatrzymają się państwo u nas na jakiś czas?

Spojrzałem na Saxony, zastanawiając się, co jeszcze zdążyła powiedzieć pani Fletcher. Puściła do mnie perskie oko między jednym a drugim kęsem żeberka.

– I będziecie na pewno szukać kwatery?

– To możliwe. Tylko na razie jeszcze sami nie wiemy, jak długo tu zostaniemy.

– To bez różnicy. Mam u siebie na dole tyle miejsca, że mogłabym prowadzić kręgielnię, a i to jeszcze mało. – Wyjęła z torebki plastykową, czarno-złotą papierośnicę. Otworzywszy ją z trzaskiem, wydobyła ze środka długi papieros i czarną zapalniczkę. Ledwo zapaliła, zaciągnęła się solidnie, aż na końcu papierosa wyrósł długi słupek popiołu. W miarę jak mówiła, słupek rósł i wyginał się w dół, ale ona go nie strzepywała.

– Dan, te twoje żeberka wyglądają całkiem przyzwoicie! Mogę i ja dostać porcję?

– Jasne, Gąseczko!

– Słyszycie? Nazywa mnie „Gąseczką". Wszyscy mnie tu tak nazywają.

Kiwnąłem głową, zastanawiając się czy byłoby dużym nietaktem jeść, kiedy ona mówi.

– Poddaję się.

– Nie bardzo się pan wysilił. Ale niech tam. Myślałam, że może zechce pan zobaczyć, gdzie mieszkała Lady Oliwa.

– Mieszkała? Jak to?

– Przecież czytelnicy zawsze pytają autorów, skąd wzięli postacie do swoich książek. Lady Oliwę ojciec pożyczył od kogoś, kto mieszkał tu w lesie. Chodźmy, pokażę panu.

Wysiadając z samochodu, układałem sobie w myślach taki fragment biografii: *Droga wiodąca do chatki Lady Oliwy wiła się przez wyrosłą nie wiadomo skąd puszczę. Główną postać „Krainy Chichów" znalazł France w głębi lasu, który po pierwsze w ogóle nie miał prawa znajdować się w tamtej okolicy.*

Do luftu. Idąc za Anną w głąb puszczy, próbowałem sformułować kilka innych wersji, ale w końcu musiałem się poddać. Psy ganiały jak szalone. Anna szła jakieś dziesięć stóp przede mną, więc obserwowałem na przemian to drogę, to znów wyjątkowo niebrzydkie tylne partie jej postaci.

– Ciekawe, kiedy spotkamy Jasia i Małgosię.

– Niech pan lepiej uważa na wilki.

Przeniosłem się myślą do czasów, kiedy mój ojciec polował w Afryce z Hemingwayem. Nie było go w domu przez dwa miesiące, a kiedy wrócił, matka kategorycznie zabroniła mu wnieść do środka łby nosorożców, skórę zebry i inne liczne trofea.

– Jesteśmy na miejscu.

Myliłem się, oczekując, że zobaczę chatkę z piernika i snujący się z jej komina dym o zapachu ciasteczek z jęczmiennej mąki. Chata – jeżeli w ogóle zasługiwała na takie miano – była toporną, drewnianą konstrukcją, zapadniętą na jeden bok, jakby oparł się o nią olbrzym. Jeżeli w dwóch jedynych okienkach tkwiły kiedykolwiek szyby, to zostały chyba dawno usunięte i zastąpione sosnowymi deskami, przybitymi na krzyż do framug. Zgrzebnemu gankowi brakowało kilku desek w podłodze, a prowadzący na niego schodek pękł na pół.

– Uwaga.

– Mówiła pani, że tu już nikt nie mieszka, prawda?

– Zgadza się. Ale za jej życia dom wyglądał właściwie tak samo.

– A kim ona była?

– Chwileczkę, zaraz panu pokażę.

Wydobyła długi, staroświecki klucz i wetknęła go w otwór zamka pod brązową od rdzy klamką.

– To te drzwi trzeba otwierać kluczem?

– Właściwie nie, ale tak jest lepiej.

Nie dając mi okazji do zapytania, co przez to rozumie, Anna pchnęła drzwi i buchnął na nas gęsty opar wilgoci i butwienia. Anna, która już weszła do środka, zatrzymała się nagle i odwróciła do mnie. Stałem tuż za nią, więc kiedy to zrobiła, znaleźliśmy się twarzą w twarz. Cofnęła się o pół kroku. Moje serce wykonało gwałtowny skok, kiedy sobie uświadomiłem, jak blisko była przez pół sekundy.

– Postój tu chwilę, zapalę w środku lampę. W podłodze jest pełno dziur, to niebezpieczne. Ojciec kiedyś tak tu sobie skręcił nogę, że musiałam go odwieźć od szpitala.

Wyobraziłem sobie te dziury w podłodze, te żmije i pająki. Ziewnąłem. Zawsze ziewam, kiedy się zdenerwuję. Ludzie interpretują to albo jako wyraz szczególnej dzielności, albo szczególnej głupoty. Czasami nie mogę powstrzymać ziewania. Wszystko razem było wysoce komiczne: rozgrywał się wielki moment w moim dorosłym życiu, w towarzystwie córki France'a wchodziłem do domu osoby, która była pierwowzorem najwspanialszej postaci z mojej ulubionej książki – i ziewałem. Tuż przedtem trząsłem się ze strachu, a jeszcze wcześniej myślałem o tyłku Anny France, córce znakomitego... nie, nie o córce, wyłącznie o tyłku Anny. Jak biografowie potrafią odseparować własne życie od przedmiotu biografii?

– Możesz już wejść do środka, Tomaszu. Wszystko w porządku.

Ściany wytapetowane były gazetami, które pożółkły i zbrązowiały ze starości i wilgoci. W świetle lampy naftowej zmieszanym ze światłem dziennym wpadającym przez otwarte drzwi, druk gazetowy wyglądał jak robactwo, które oblazło całe ściany. Widziałem zdjęcia robione przez Walkera Evansa z tak

kontakt z jego córką nie sprzyjał naszym zamiarom? Gówno prawda. Pisałem kartkę w poczuciu winy, bo byłem ciekaw, co się tego dnia wydarzy między Anną a mną, i to wcale nie dlatego, że Anna była córką France'a.

W samochodzie było pełno gratów. Puste kartony, żółty wąż ogrodowy, stara piłka, puszka jedzenia dla psów „Alpo". Psy usadowiły się z tyłu. Anna, przez wciśnięcie odpowiedniego guzika, uchyliła im tylne okno.

– Liczba mieszkańców Galen wzrosła przez ostatnie kilka lat najwyżej o dziesięciu. – Anna wyjęła z kieszeni paczkę gumy balonowej i poczęstowała mnie. Odmówiłem, a wtedy rozpakowała jedną gumę dla siebie. – W tej okolicy można zostać w zasadzie tylko rolnikiem, a młodzież, jak wszędzie, również i tu nie pcha się do rolnictwa. Ledwo podrosną, uciekają do St. Louis, w krainę neonów.

– Ale pani została?

– Tak. Nie muszę pracować, bo dom jest od dawna spłacony, a tantiemy z książek ojca aż nadto starczają mi na życie.

– Grywa pani jeszcze na fortepianie?

Wydmuchała balon, który pękł, ledwie wydostał się z jej ust.

– Dawid Louis panu mówił? Tak, grywam czasami. Kiedyś była to moja pasja, ale z wiekiem...

Wzruszyła ramionami i nadmuchała jeszcze jeden balon.

Żuła gumę jak dzieciak – z otwartymi ustami, puszczając z trzaskiem balony – aż myślałem, że zwariuję. Kobieta żująca gumę wygląda obrzydliwie. Każda kobieta, niezależnie od tego, kim jest. Na szczęście, Anna wyjęła gumę z ust i wyrzuciła za okno.

– Nie cierpię, jak guma traci smak. Czy Dawid opowiadał panu o poprzednim kandydacie do pisania biografii mojego ojca, który się tu zjawił?

– O tym z Princeton? Owszem.

– Cóż to był za dureń. Zaprosiłam go na kolację, a on przez cały wieczór wykładał mi heurystyczną filozofię „Krainy Chichów".

– Co to znaczy?

– Heurystyka? Jest pan nauczycielem, powinien pan to wiedzieć.

– Doprawdy? Ja nawet nie wiem, co to jest imiesłów.

– Coś potwornego. System oświatowy schodzi na psy.

Opuściłem okienko i przyglądałem się stadu zdrowo wyglądających krów, ktore oganiały się od much ogonami potężnymi jak liny okrętowe. W tle za nimi traktor mozolnie torował sobie drogę przez płaskie, brunatne pole, a górą czołgał się po niebie punkcik samolotu.

– Za chwilę będziemy na miejscu.

– Na jakim miejscu? Czy wolno spytać, dokąd jedziemy?

– Nie, sam pan zobaczy. To niespodzianka.

Ujechaliśmy jeszcze trzy albo cztery mile, po czym Anna, nie włączając kierunkowskazu, wykonała ostry skręt w lewo, w las tak gęsty, że nie widziałem dalej niż na piętnaście stóp po każdej stronie. Jechaliśmy wąską dróżką. W samochodzie zrobiło się chłodniej, zapanowała gęsta woń drzew i leśnego cienia. Droga stała się wyboista, słyszałem, jak kamienie stukają o talerze kół.

– Nie wiedziałem, że w Missouri są takie lasy.

Słońce błyskało i chowało się między drzewami. Niedaleko nas przemknęła sarna. Spojrzałem na Annę, ciekaw, czy ją zauważyła.

– Niech się pan nie denerwuje, już dojeżdżamy.

Kiedy zahamowała, rozejrzałem się uważnie, ale niczego niezwykłego nie dostrzegłem.

– Spróbuję zgadnąć, co to za niespodzianka: cały ten las zasadził pani ojciec – zgadłem?

– Nie.

Zgasiła silnik i upuściła kluczyki na podłogę.

– No to... pewnie lubił tu spacerować?

– To już lepiej.

– Pisał książki siedząc na tamtym pniu?

– Źle.

– U mnie nie musicie się przejmować świadectwem ślubu, czy takimi tam. – Popatrzyła na każde z nas z osobna i puknęła w stół czwartym palcem lewej ręki. – Mnie tam to nigdy nie obchodziło. Szkoda, że kiedy sama byłam młodsza, myślało się inaczej. Użyłabym sobie, powiadam wam.

Popatrzyłem, co na to Saxony, ale Saxony patrzyła w panią Fletcher jak w obraz.

Pani Fletcher gwałtownie przerwała potok słów i zabębniła palcami po stole.

– Wynajmę wam dół... Za trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Za tę cenę nie przyjmą was w żadnym motelu w okolicy. Kuchnia też niezła.

Miałem właśnie wtrącić, że musimy najpierw omówić sprawę we dwoje, kiedy Dan przyniósł porcję dla pani Fletcher.

– Co byś powiedział na propozycję wynajęcia mojego dołu za trzydzieści pięć dolarów tygodniowo, Dan?

Dan zaplótł ręce na brzuchu i wciągnął powietrze przez zęby. Wydał przy tym odgłos maszyny parowej.

– Znaczy, chcecie się na chwilę zaczepić w Galen, co?

Nie wiedziałem czy to paranoja, czy jego głos istotnie stał się jakby mniej życzliwy.

Saxony odezwała się zanim sam zdążyłem otworzyć usta.

– Chcemy porozmawiać z Anną France, jeżeli to się okaże możliwe. Zamierzamy pisać biografię jej ojca.

Cóż to była za cisza! Cóż za skondensowane zaciekawienie na wszystkich twarzach, które otoczyło nas nagle jak dym albo mgła.

– Anna? Chcecie pisać książkę o Marshallu?

Głos Dana wzniósł się ponad skwierczenie rożna, ponad ciszę i porywisty wietrzyk, przylatujący gwałtownie nie wiadomo skąd, i równie gwałtownie zamierający.

Byłem wściekły na Saxony. Planowałem dobrych parę dni pobuszować po mieście, zanim zacznę się zwierzać tubylcom z celu, jaki mnie do nich przygnał. Czytałem nie tak dawno artykuł o młodym, obiecującym pisarzu, który zamieszkał w małym miasteczku w stanie Washington. Mieszkańcy miasteczka wobec obcych nabierali wody w usta na temat swojego pisarza, ponieważ go lubili i chronili jego prawo do prywatnego życia. I chociaż Marshall France był nieboszczykiem, z góry przyjąłem założenie, że ludzie z Galen nie będą o nim opowiadali zbyt chętnie. Był to pierwszy naprawdę głupi wyskok Saxony. Mogłem go przypisać jedynie zdenerwowaniu faktem, że jesteśmy w Galen.

Dan odwrócił się do kumpli i poinformował ich tubalnym głosem:

– Ten gość chce pisać książkę o Marshallu Fransie.

– O Marshallu?

Kobieta w błękitnych dżinsach i męskiej flanelowej koszuli siedząca przy stole w drugim końcu wiaty, podchwyciła śpiesznie:

– O Marshallu? Czyżby?

Miałem wielką ochotę wskoczyć na ławkę i oznajmić przez tubę ze wzmacniaczem:

– Ludzie! Słuchajcie! CHCĘ PISAĆ KSIĄŻKĘ O MARSHALLU FRANSIE. MACIE COŚ PRZECIWKO TEMU?

Ale nie zrobiłem tego. W zamian napiłem się coca-coli.

– Anno?

Nie byłem pewien czy dobrze usłyszałem. Ale głos brzmiał jakby jego właściciel zwracał się do kogoś po imieniu.

– Słucham.

Ten głos dobiegł spoza moich pleców. Doznałem gwałtownej kolki żołądka.

– Można się przysiąść? – Jej głos spoczął jak liść na moim ramieniu. Gdybym sięgnął ręką do tyłu, mógłbym jej zapewne dotknąć.

– Prosimy bardzo, Anno. Ci państwo, zdaje się, nie marzą o niczym bardziej niż o spotkaniu z tobą. Przyjechali specjalnie aż z Connecticut.

Usłyszałem, jak Saxony przesuwa się po ławce, żeby zrobić dla niej miejsce. Burknęły sobie nawzajem słowa powitania. Musiałem spojrzeć.

Była to ta sama kobieta, która nosiła w pudłach bułki do hamburgerów. Miała krótkie, czarne, połyskliwe czyste włosy ostrzyżone na mnicha, tak, że opadały jej na uszy, ale nie całkiem je zasłaniały. Ładny, mały nos, lekko zadarty na końcu, i niemal orientalne oczy, szare albo szarozielone. Pełne usta miały odcień fioletu i widać było, że jest to ich naturalny kolor, chociaż chwilami ciemniały tak intensywnie, jakby ich właścicielka najadła się przed chwilą cukierków z czarnej porzeczki i winogron. Ubrana była w białe spodnie-ogrodniczki, czarny podkoszulek i czarne gumowe klapki-japonki. Żadnych ozdób. W sumie wyglądała świetnie: klasyczny typ szykownej, schludnej, całkiem jeszcze młodej pani domu ze Środkowego Zachodu. Gdzie ta postać niczym z Charlesa Adamsa, o której wspominał Dawid Louis? Kobieta, na którą patrzyłem, wyglądała jakby dopiero co umyto jej rodzinną furgonetkę campingową na stacji Shella.

Podała mi dłoń, która była miękka i chłodna, a nie spocona jak moja.

– Pan Tomasz Abbey? – Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, jakby i tak doskonale wiedziała, że to ja. Zatrzymała moją rękę. O mało nie wyszarpnąłem dłoni w panice, kiedy wypowiedziała moje nazwisko.

– Tak, to ja, bardzo mi...

– Dawid Louis uprzedził mnie listownie, że pan przyjedzie.

To mi się nie podobało. Po diabła do niej pisał? Jeżeli istotnie była taką Meduzą, jaką przede mną odmalował, to uprzedzona, pozamykałaby przecież szczelnie wszelkie kanały dotyczące życia ojca, do których być może mógłbym dotrzeć, gdybym badał teren incognito. Poprzysiągłem sobie, że przy najbliższej okazji wyślę do Louisa dziesięciostronicowy list z obelgami. Nic dziwnego, że jeszcze żaden biograf nic z nią nie wskórał. Z Louisem w charakterze katalizatora Anna miała fory na dwadzieścia mil!

– Pozwolą państwo, że się przysiądę? Latam tu od rana jak opętana, w tym obłędnym upale... – Potrząsnęła głową, a jej schludna czupryna zahuśtała się przy tym jak gęsta spódniczka z trawy.

Uświadomiłem sobie, że nie dokonałem jeszcze ceremonii przedstawienia jej Saxony.

– Pani France – to moja koleżanka, Saxony Gardner.

Koleżanka? Ciekawe, kiedy po raz ostatni użyłem tego słowa.

Wymieniły uśmiechy i ledwie godny tej nazwy uścisk dłoni.

– Pani też pisze, panno Gardner?

– Nie, ja robię badania źródłowe, książkę napisze Tomasz.

Dlaczego nie powiedziała „Tomasz pisze", tylko podała informację w czasie przyszłym? Dzięki temu wyszedłem na dyletanta.

Patrząc na ich twarze, starałem się nie myśleć o tym, że Anna jest śliczna, a Saxony tylko ładna. Może zawiniła tu moja chwilowa irytacja zachowaniem Sax.

– Zamierza pan pisać książkę o moim ojcu? Mogłabym znać powody pańskiego zainteresowania?

Pomyślałem, że sytuacja dojrzała do tego, żeby wywalić kawę na ławę i przekonać się, jak Anna France zareaguje.

– Bo nie ma na świecie lepszego pisarza, panno France. Tylko przy lekturze jego książek przenosiłem się bez reszty w świat fantazji. Może to słaby argument, ale jestem nauczycielem angielskiego i literatury w gimnazjum i nawet tak zwani „wielcy" nie robili na mnie nigdy takiego wrażenia jak „Kraina Chichów".

Była chyba zadowolona z komplementu, a jednak zmrużyła oczy i przelotnie dotknęła mojej dłoni.

– Tyle razy panu mówiłam, że nie trzeba przesadzać, panie Abbey.

Uśmiechnęła się jak zachwycona sobą dziewczynka. Przez ten żarcik i uśmiech ja też się nią zachwyciłem.

Co, do licha, mógł mieć na myśli Dawid Louis, odmalowując ją przede mną jako drapieżną wampirzycę, snującą się po domu w czarnych sukniach ze świecą w dłoni? Była ładna, dowcipna, nosiła spodnie z klapą i sądząc po tym, co na razie zauważyłem, wszyscy w miasteczku znali ją i lubili.

– To prawda, panno France – Saxony wygłosiła to zdanie tak dobitnie, że wszyscy zamilkliśmy i spojrzeliśmy na nią.

Pańcia przytknęła nos do szyby i zaczęła ujadać w moją stronę. Kulfon postawił uszy, ale nie wyglądał na specjalnie zachwyconego tym, co usłyszał. Nie ruszył się z miejsca.

– Och, nie ma o czym mówić. To był bardzo przyjemny wieczór, pani Anno. Właśnie miałem dzwonić, żeby pani podziękować.

Za kurczaka á la kotlet z trupa, zá wykwintne pożegnanie...

– W takim razie czuję się zwolniona ze skrupułów. Mówi pan szczerze, prawda?

Pańcia przestała być widoczna w oknie, a zaraz potem i Anna zniknęła w samochodzie. Rozegrała się tam drobna szamotanina, przy akompaniamencie niewyraźnych głosów, po czym zobaczyłem psa pędzącego galopem przez ogród. Pańcia spróbowała pokonać schody jednym susem i runęła na płask, ale momentalnie się pozbierała i już sunęła do ukochanego. Obojętność Kulfona przeszła jak ręką odjął: we dwójkę zaczęli tańczyć w tę i z powrotem po werandzie, skacząc, piszcząc i podgryzając się pieszczotliwie. Powarkiwali przy tym i przewracali się co trzy kroki.

– Pańcia ma kota na punkcie Kulfona. Raz czy dwa na tydzień puszczamy je z panią Fletcher na szkolne boisko, żeby wybiegały nadwyżki energii.

Anna stała u stóp werandy i uśmiechała się do mnie promiennie. Szkarłatna koszulka z napisem CODASCO zdradzała, że Anna ma znacznie większy biust niż z początku myślałem. Koszulkę uzupełniały spłowiałe, seksownie obcisłe Levisy i znoszone niebieskie tenisówki, podarte, i na oko bardzo wygodne.

Właśnie miałem powiedzieć coś na temat jej znakomitego wyglądu, kiedy Anna wytknęła mnie palcem:

– Co tam jest napisane na pana koszulce?

Spojrzałem w dół i machinalnie zasłoniłem ręką wielkie białe litery.

– A, takie tam, „Virginia To Kraj Kochanków". Dostałem... od znajomej.

Wetknęła dłonie w tylne kieszenie dżinsów.

– I to pan jest jednym z tych kochanków, tak? – Uśmiechnęła się przy tym w taki sposób, że poczułem, jakbym miał pół metra wzrostu.

– Tak. Jestem z tych najsłynniejszych. Byłem notowany w „Wierzcie Lub Nie".

– Nie – jej uśmiech rozciągnął się jeszcze bardziej.

– Co nie? – mój uśmiech wyraźnie zmalał.

– Nie wierzę.

Jak na zawołanie, Kulfon właśnie w tym momencie dosiadł Pańci, przez co poczułem się zażenowany, ale i wdzięczny Kulfonowi za zmianę ośrodka uwagi. Odciągnąłem go. Warknął. Zdaje się, że warknęli oboje.

– Gdzie panna Saxony?

– Wybrały się po zakupy z panią Fletcher.

– To fatalnie. Chciałam was właśnie zaprosić na basen. Zapowiada się upalny dzień.

– Szczerze mówiąc, nie jestem w nastroju. Słyszała pani, co się wydarzyło dzisiaj rano?

Wskazałem ręką w stronę szosy.

– Synek Haydenów? Tak, wiem. To straszne. Pan to widział?

– Od początku do końca.

Odłożyłem książkę na balustradę i skrzyżowałem ręce na piersiach. Psy klapnęły na ziemię w odległości stopy jedno od drugiego, ziejąc jak lokomotywy parowe.

– Może w takim razie da się pan namówić na przejażdżkę? Od tego przestaje się myśleć o rzeczach nieprzyjemnych. Weźmiemy psy.

Psy podskoczyły na to, jakby wszystko rozumiały.

– Dziękuję. Tak, to mi na pewno dobrze zrobi. Dziękuję pani, Anno.

Wszedłem na chwilę do domu, zabrałem portfel i klucze, napisałem kartkę do Saxony. Nie miałem pojęcia, jak przyjmie fakt, że nie ma mnie w domu, ale na wszelki wypadek, żeby nie dolewać oliwy do ognia, nie napisałem, że jestem z Anną, tylko że zabrałem Kulfona na dłuższy spacer. A w ogóle – wielkie rzeczy! Dlaczego miałbym odczuwać wyrzuty sumienia?

Czy nie przyjechaliśmy tu po to, żeby napisać książkę o Marshallu Fransie, wobec tego, czy każdy

bycia do Galen. Pierwsze wrażenia z miasteczka, i tak dalej. Zamierzałem też rozpocząć lekturę kilku specjalnie w tym celu przywiezionych biografii literackich, żeby zobaczyć, jak to się robi.

Przebrałem się w sztruksowe szorty, podkoszulek i sandały. Przyniosłem z kuchni jeszcze jedną filiżankę kawy. Kulfon chodził za mną krok w krok, ale pomału przyzwyczajałem się i do tego. Byłem wręcz bliski postanowienia, że co będzie z książką, to będzie, ale zaraz po powrocie do Connecticut kupię sobie takiego psa nie z tej ziemi. Nie wykluczałem nawet, że kupię go tutaj i będę hodował krewniaka psów Marshalla France'a. Jeżeli nie dorobię się biografii, to chociaż bullteriera.

Usiadłem w jednym z bujanych foteli i postawiłem filiżankę z kawą na podłodze, w zasięgu ręki. Kulfon raz czy dwa przymierzył się, węsząc, do kawy, ale dałem mu ostrzegawczo w łeb i grzecznie legł na ziemi. Otworzyłem książkę i zacząłem czytać. Doszedłem może do połowy strony, kiedy obraz chłopca leżącego na ziemi wdarł się gwałtownie w moje myśli. Nie mogłem go odpędzić. Pomyślałem o Saxony, o Saxony w łóżku, o tym, co właśnie przeczytałem na temat Raymonda Chandlera, o tym, jaki dziś mamy piękny dzień i jak by to było pójść do łóżka z Anną France – ale chłopiec z ulicy mimo wszystko nie chciał odejść. Wstałem i podszedłem do balustrady, żeby sprawdzić, czy poznam to miejsce, gdzie furgonetka potrąciła chłopca. Żeby zobaczyć, czy zostały tam jeszcze ślady krwi albo jakikolwiek inny dowód na to, że przed godziną wszyscy staliśmy tam, patrząc jak dziecko umiera.

Pamiętam, że kiedy dostałem wiadomość o tragicznej śmierci ojca, też siedziałem na werandzie. Poprzedni wieczór spędziłem na podłodze salonu w domu Amy Fischer, w towarzystwie Amy Fischer. Oglądaliśmy ojca w filmie „Pan i Pani Czas". Byłem znacznie bardziej zainteresowany rozbieraniem Amy niż grą aktorską ojca, którą oglądałem przedtem niezliczoną ilość razy. Ponieważ rodzice Amy wyszli, Amy pozwoliła mi robić wszystko, co chciałem. Przez cały czas jak to robiliśmy, słyszałem za plecami głos ojca, nawet raz czy dwa parsknąłem śmiechem, bo dziwnie mi było pieprzyć się na oczach starego. Szarobiel z ekranu telewizora rzucała na nasze ciała zmienne cienie, a kiedy już skończyliśmy, leżeliśmy jeszcze chwilę ramię przy ramieniu, oglądając końcówkę filmu. Nazajutrz rano Amy postanowiła, że zjemy śniadanie na werandzie. Razem nakrywaliśmy do stołu, a Amy wyniosła nawet radio tranzystorowe, żebyśmy mogli przy jedzeniu posłuchać muzyki. Leciało właśnie „Massachusetts" Bee Geesów, rozparłem się na bujanej kanapie – kiedy nagle przerwano piosenkę, żeby podać komunikat z ostatniej chwili: samolot Stephena Abbeya rozbił się w Nevadzie, nikt nie ocalał. Ani drgnąłem, kiedy na antenę wróciła końcówka piosenki. Amy pokazała się w drzwiach z patelnią jajecznicy i kanadyjskiego bekonu. Zawołała mnie do stołu. Nie słyszała komunikatu. Człowiek, jak już mówiłem, robi dziwne rzeczy, kiedy go spotka coś strasznego. Co ja zrobiłem? Usiadłem do stołu i wymiotłem talerz do czysta. Brałem nawet dokładkę jajecznicy. Potem położyłem widelec koło pustej szklanki po soku pomarańczowym i powiedziałem: „Mój ojciec zginął przed chwilą w katastrofie lotniczej". Wśród uczniów panowała wówczas taka moda, że co drugie zdanie było zgrywą, więc słodka Amy Fischer tylko pokręciła głową nad moim brakiem dobrego smaku i spokojnie jadła dalej.

Kiedy włączam telewizor i na ekranie jest akurat film „Pani i Pan Czas", natychmiast przypomina mi się wyraz niesmaku na twarzy Amy i determinacja, z jaką dalej wsuwała żółtą jajecznicę.

Dopiero po paru sekundach uprzytomniłem sobie, że przed domem zatrzymał się samochód. Kierowcy nie widziałem, za to dobrze widziałem dużą, białą kluchę usadowioną na tylnym siedzeniu i rozpłaszczającą nos o półotwarte okno. Samochodem była złoto-biała furgonetka Dodge'a, dokładnie taka sama, jaką matka w filmie „Beaver To Załatwi" woziła swoją rodzinę. Starałem się dojrzeć kierowcę, ale biały bullterier zaczął gwałtownie przeskakiwać z tylnego siedzenia na przednie i z powrotem. Doszedłem do wniosku, że to nikt inny tylko Anna i Pańcia. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i z wozu wychyliła się nienaganna czarna fryzura mnicha. Anna przesłoniła dłonią oczy i spojrzała w stronę domu.

– Hej tam!

Pomachałem jej książką, zażenowany z powodu szortów i podkoszulka. Nie wiem czemu, bo przecież tak skutecznie zdołałem w sobie stłumić niepewność z okresu dzieciństwa, że jest mi teraz najzupełniej obojętne, co kto pomyśli o moim stroju.

Anna stała przy samochodzie i mówiła z jedną dłonią przystawioną bokiem do ust:

– Przyjechałam sprawdzić, czy żyjecie po wczorajszym wieczorze. Bardzo mi przykro, że musiałam was tak zostawić.

– Czy Dawid nie mówił panu, jakie jest moje zdanie na temat biografii ojca?

Odpowiedziała Saxony.

– Owszem, mówił, że jest pani zagorzałą przeciwniczką powstania takiej biografii.

– To nie całkiem prawda. Byłam temu przeciwna, ponieważ jak dotąd wszyscy, którzy chcieli o nim pisać, przybywali tu do nas ze złych pobudek. Każdy miał ambicje uchodzić za autorytet w sprawie Marshalla France'a. A kiedy się z jednym czy drugim chwilę porozmawiało, okazywało się, że absolutnie ich nie obchodzi, jakim człowiekiem był on naprawdę. Dla nich jest to postać literacka.

Przez jej głos przesunął się, jak ławica ciemnych chmur ton głębokiej goryczy. Mówiła zwrócona twarzą do Saxony, więc widziałem tylko jej profil. Miała mocno zarysowany, ostry podbródek. Kiedy mówiła, białe zęby błyskały kontrastowo spod ciemnych, ciężkich ust, po czym gwałtownie znikały z końcem wypowiedzi. Miała długie, rzadkie rzęsy, jakby dopiero co starannie podwinięte. Na długiej, białej i niewiarygodnie bezbronnej szyi znaczyły się jedyne zmarszczki. Uznałem, że musi mieć nieco ponad lub nieco poniżej czterdziestki, ale wszystko w niej wyglądało jędrnie i zdrowo. Bez trudu mogłem ją sobie wyobrazić w późnej starości. Chyba, że po ojcu odziedziczyła słabe serce.

Zwróciła się do mnie, obracając w palcach niebieski plastykowy widelec, który dostałem do żeberek.

– Gdyby pan znał mojego ojca, panie Abbey, wiedziałby pan, dlaczego jestem taka czuła na tym punkcie. Ojciec był wyjątkowo zamknięty w sobie. Poza matką i panią Lee, jego jedynym prawdziwym przyjacielem był Dan – uśmiechnęła się i skinęła głową w stronę sklepikarza, który wzruszył ramionami i skromnie spuścił wzrok na łopatkę – i może jeszcze parę osób z miasta. Wszyscy go znali i lubili, ale on nie znosił być na widoku i robił wszystko, żeby tego uniknąć.

Dan słysząc to, odezwał się, ale tylko do Anny:

– Najbardziej lubił przyjść do mnie do sklepu i siąść razem ze mną za ladą masarską, na takim drewnianym stołku jak te, co mam na zapleczu. Czasami, jak ktoś z personelu nie przyszedł do pracy, siadał za kasą.

Co za początek do mojej biografii! France siedzący przy kasie w sklepie Dana w Galen! Nawet jeżeli książka nie miałaby dojść do skutku, wielką frajdą było dla mnie siedzieć tu w towarzystwie ludzi, którzy stanowili część jego życia. Zazdrościłem im wszystkim nieprzytomnie.

– Łatwo było poznać, kiedy siedzi u ciebie na zapleczu, Dan. W sklepie nie było obsługi.

Dan poskrobał się po głowie i puścił do nas oko. Zaczęło mnie nurtować uporczywe pytanie. Patrzyłem oto na krępego grubasa, sklepikarza, który spędził całe lata w towarzystwie mojego idola. O czym oni mogli z sobą rozmawiać? O baseballu? O babach? O tym, kto się wczoraj schlał w remizie? Było to myślenie wstrętne i niegodne, ale dlaczego chociaż na jedno popołudnie nie mogłem zająć jego miejsca za ladą masarską? Jedno popołudnie pogaduszek o dupie Maryni z Marshallem France'em, a może także o książkach, o wyobraźni... o postaciach z jego utworów.

– No, przyznaj się, Marshall, jak wpadłeś na pomysł (wypełnić miejsce wykropkowane)?

Na to on opierałby się plecami o udźce jagnięce i mówił coś w tym stylu:

– Kiedy byłem mały, poznałem połykacza noży...

Potem nastawilibyśmy radio, żeby wysłuchać sprawozdania z meczu piłkarskiego w tym półsennym, rozluźnionym nastroju, w którym mężczyźni zwykle gawędzą i spoglądają w dal. Omawialibyśmy przeciętną celnych uderzeń Stana Musiala albo nowy traktor Freda...

Pogrążony w marzeniach o rozmowie z France'em, usłyszałem nagle głos Saxony: „coś tam – coś tam – coś tam – Stephena Abbey". Natychmiast otrzeźwiałem, a kiedy znów objąłem wzrokiem rzeczywistość, pani Fletcher wpatrywała się we mnie z rozdziawionymi ustami.

– Stephen Abbey to pana ojciec?

Wzruszyłem ramionami, ciekaw, dlaczego Saxony wyciągnęła szydło z worka. Oj, zanosiło się na to, że będziemy musieli odbyć miłą rozmówkę!

W powietrzu rozległ się delikatny, przypominający wizg piły łańcuchowej, płacz niemowlaka i zatkał lukę w rozmowie.

– Ten facet jest synem Stephena Abbeya!

Stało się. Wszystkie oczy podniosły się znad talerzy, kotlety powędrowały w dół, dziecko przestało

płakać. W spojrzeniu, które posłałem Saxony, czaiła się nagła śmierć. Saxony przestała się uśmiechać i odwróciła wzrok. Próbowała załagodzić sytuację, tłumacząc Annie, że skoro oboje mieliśmy sławnych ojców, na pewno dobrze się dogadamy.

– Nawet jeżeli to prawda, to mój ojciec grał w innej lidze niż ojciec pana Abbeya.

Mówiąc to, Anna patrzyła wprost na mnie. Jej wzrok bez żenady wędrował po mojej twarzy. Ta drobiazgowa lustracja trochę mi się podobała, a trochę nie.

– A więc to prawda? Stephen Abbey był pana ojcem?

Ująłem zimne żeberko palcami i wgryzłem się w nie. Chciałem jak najbardziej opóźnić odpowiedź, a pokaźny kęs mięsa w ustach uznałem za dobry sposób.

– Tak – mlask, mlask. – Był.

Wzrokiem hipnotyzera wpatrzyłem się w żeberko i moje własne tłuste palce. Żucie szło mi łatwo, gorzej było z połykaniem. Jakoś poszło, za pomocą połowy puszki coca-coli.

– Pamiętasz, jak ja i twój ojciec wzięliśmy cię do kina na „Nowicjuszy", Anno?

– Naprawdę?

– Co znaczy – „naprawdę"? Tak było. Pojechaliśmy do kina w Hermann, a ty bez przerwy chciałaś siusiu.

– Jakie to uczucie, panie Abbey?

– To raczej pani powinna mi o tym opowiedzieć, panno France – odparłem z dwusekundowym złośliwie-przebiegłym uśmieszkiem, który ona podchwyciła i skwapliwie odesłała mi przez stół.

– Pomyśleć: dwoje dzieci sławnych ojców przy naszym skromnym stole, Dan!

Pani Fletcher klasnęła w ręce, a potem położyła dłonie płasko na blacie i tarła nimi w przód i w tył, jakby heblowała stół.

– Anno, bułki się kończą!

Zerwała się na równe nogi, spojrzała na swoje spodnie i strzepnęła z nich parę okruchów.

– Może porozmawiamy później? Wpadnijcie do mnie dzisiaj na kolację. Około wpół do ósmej? Eddie dał wam adres i pokazał drogę, prawda?

Zatkało mnie. Wymieniliśmy uściski dłoni i Anna poszła. Kolacja, dzisiaj wieczorem, w domu Marshalla France'a? Eddie? Ten niedohipisiały wyrostek, którego podwieźliśmy samochodem? Przecież to niemożliwe, żeby zdążył tu przed nami.

*

Odwieźliśmy panią Fletcher do domu, który stał w drugim końcu miasteczka. Dom był fantastyczny. Dochodziło się do niego brukowaną ścieżką, przecinającą ogród, w którym rosły dwumetrowe słoneczniki, mikrodynie wielkości kasztanów, arbuzy i krzaki pomidorów. W opinii pani Fletcher, jedyny godny uwagi ogród to taki, który w całości da się zjeść. Róże i groszek pachnący nie robiły na niej żadnego wrażenia, bez względu na zapach.

Po czterech szerokich, drewnianych stopniach wchodziło się na zadaszony ganek jakby wyjęty z marzenia o popijaniu na nim mrożonej herbaty w środku sierpnia. Istny Norman Rockwell, bez blagi. Był tam też biały hamak, zdolny pomieścić chyba z dziesięć osób, dwa białe bujane fotele z zielonymi poduszkami na siedzeniach i nieskazitelnie biały pies o urodzie młodego prosięcia.

– A to Kulfon. Bullterier, jeżeli nie znacie tej rasy.

– Kulfon?

– Tak, to Marshall France go tak ochrzcił.

Nigdy nie przepadałem za psami i kotami, ale z Kulfonem była to miłość od pierwszego wejrzenia. Był wyjątkowo szpetny, krępy, ciasno obciągnięty skórą – jak wypchany serdelek, gotów w każdej chwili pęknąć. Oczy tkwiły po bokach głowy, jak u jaszczurki.

– Gryzie?

– Kulfon? Uchowaj Boże. Kulfon, chodź no tu, synku.

Kulfon wstał, przeciągnął się, a wtedy skóra na jego ciele sprężyła się wprost niebezpiecznie. Zbliżył się do nas na sztywnych nogach i natychmiast legł z powrotem, jakby wysiłek paru kroków skrajnie go wyczerpał.

– Tę rasę hodowano w Anglii do psich walk. Walka wyglądała tak, że wpuszczano psy do jednego

– Uspokój się, Joe. Poczekamy, zobaczymy. Zadzwoni pan po karetkę, panie Abbey? Numer jeden-dwa-trzy-cztery-pięć. Pięć pierwszych cyfr. To gorąca linia.

Chłopcu zabulgotało w gardle, a jego nogi raz czy dwa podskoczyły mimowolnie, jak udka żaby dotkniętej elektrodą na lekcji biologii. Spojrzałem na Jordana, ten jednak patrzył wciąż na dziecko i kręcił głową.

– Powtarzam ci, Gąseczko, wszyscy wiedzą, że to nie miałem być ja!

Kiedy się odwróciłem, żeby biec do telefonu, usłyszałem za sobą głos pani Fletcher:

– Nie denerwuj się, trzeba czekać.

Asfalt parzył moje bose stopy. Kątem oka raz jeszcze dostrzegłem topniejącą porcję lodów. W biegu minąłem Saxony, stojącą na górnym stopniu ganku. Przytrzymywała Kulfona za szeroką obrożę.

– Czy on nie żyje?

– Jeszcze żyje, ale kiepsko z nim. Muszę zadzwonić po karetkę.

Kiedy przyjechało pogotowie, w pewnej odległości od miejsca wypadku stało już więcej gapiów. Środek ulicy zajął biały samochód policyjny, na dachu którego zapalał się i gasł rząd nerwowych niebieskich lampek.

Krótkie erupcje rozmów z krótkofalówki radiowozu wypełniały przestrzeń urywanym klekotem, który uspokajał i irytował zarazem.

Stojąc na ganku, patrzyliśmy, jak pielęgniarze ostrożnie kładą wiotkie ciało na noszach i wsuwają na tył ambulansu. Po odjeździe karetki, Joe Jordan i policjant rozmawiali o czymś, stojąc przed naszym domem. Jordan co chwila pocierał dłonią podbródek, a gliniarz założył oba kciuki za szeroki, czarny pas munduru.

Pani Fletcher oderwała się od gromadki gapiów i przyłączyła do nich dwóch. Rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę, po czym Jordan i policjant odjechali razem wozem patrolowym. Pani Fletcher odprowadziła ich wzrokiem. Po chwili odwróciła się i gestem przywołała mnie do siebie. Zszedłem po schodach i zbliżyłem się do niej po nagrzanych płytach chodnika.

– Wszystko widziałeś, co, Tom?

– Tak, niestety. To okropne.

Słońce stało wysoko, dokładnie nad ramieniem pani Fletcher. Musiałem przekrzywić głowę, żeby popatrzeć jej w oczy.

– Czy chłopiec śmiał się, zanim został potrącony?

– Śmiał się? O czym pani mówi?

– Pytam po prostu, czy się śmiał. Śmiał się – rozumiesz chyba, co to słowo znaczy? Jadł lody pistacjowe w rożku, to się zgadza, ale czy się śmiał?

Pytanie było zadane całkiem serio. Co to wszystko miało znaczyć?

– Nie wiem, nie zauważyłem.

– Pomyśl. Śmiał się, czy nie?

– Chyba nie, prawie na pewno nie. Patrzyłem na niego aż do momentu potrącenia, ale nie aż tak dokładnie. Chociaż tego akurat jestem pewien, tak, nie śmiał się. Czemu to takie ważne?

– Ale przejechał ręką po płocie, tak?

– Owszem, przejechał ręką po płocie. Wolną ręką, po szczycie płotu.

Przyjrzała mi się bacznie. Poczułem się głupio i niewyraźnie. Żeby uciec spod rentgena jej wzroku, rozejrzałem się dookoła: wszyscy zebrani przyglądali mi się w ten sam beznamiętny sposób, który tak mnie wytrącił z równowagi poprzedniego dnia, przy rożnie.

Stary farmer w rdzawym stroju, młody chłopak z torbą warzyw pod pachą, kobieta o wyglądzie nadzianej lali z włosami podkręconymi do góry na różowe lokówki i nieapetycznie dyndającym w kąciku ust papierosem – wszyscy się na mnie gapili...

*

W godzinę potem pani Fletcher i Saxony udały się na zakupy. Zapowiedziały, że wrócą dopiero wczesnym popołudniem. Właściwie miałem ochotę iść z nimi, ale nie zapraszały mnie, a nie mam zwyczaju sam się wpraszać. Poza tym, pomyślałem, że dobrze nam zrobi jak się na chwilę rozstaniemy. Chciałem spisać notatki, które w postaci luźnych myśli gromadziły się w mojej głowie od chwili przy-

– Jak się dzisiaj miewasz, koleżanko? – zapytałem.

– Dobrze. Tylko czasami w nocy szajba mi odbija. Myślę, że na pewno nic się nie uda albo że ty sobie pójdziesz... takie tam. Całe życie tak miałam. Myśle, że teraz to z przemęczenia. Rano na ogół wszystko wraca do normy.

– Leciutkie rozdwojenie osobowości, co? – zdjąłem jej z oczu pasemko włosów.

– Tak, wcale nie takie leciutkie. Dokładnie wiem, co się we mnie dzieje, kiedy się dzieje, ale w żaden sposób nie mogę tego powstrzymać. – Przerwała i wzięła mnie za rękę. – Myślisz, że jestem stuknięta, Tomaszu? Nie przestajesz mnie lubić, kiedy to się dzieje?

– Nie bądź śmieszna, Sax. Znasz mnie przecież i wiesz, że gdybym przestał cię lubić, to bym sobie poszedł. Nie myśl tak.

Uścisnąłem jej rękę i pokazałem język. Naciągnęła poduszkę na głowę, a Kulfon natychmiast spróbował wtrynić tam za nią i swój łeb.

Spojrzałem za okno. Zalany słońcem ogród chwiał się na wietrze. Nad niektórymi roślinami krążyły pszczoły, czerwony ptaszek przysiadł jak ognik na balustradzie werandy, niecałe trzy stopy ode mnie.

Wczesny ranek w Galen, Missouri. Ulicą przejeżdżały nieliczne samochody. Ziewnąłem. Dzieciak liżący lody w waflowym rożku szedł wzdłuż płotu pani Fletcher i wolną ręką przesuwał po szczycie parkanu. Tom Sawyer z wściekle zielonym, pistacjowym lodem. Przyglądałem mu się sennie, zdumiony faktem, że jest na świecie ktoś, kto potrafi jeść lody o godzinie ósmej rano.

Nie oglądając się na boki, chłopiec ruszył na drugą stronę ulicy. I wtem – wyleciał w powietrze, jak wystrzelony z procy. Furgonetka jechała na pełnym gazie, więc chłopca wyrzuciło wysoko ponad moje pole widzenia z okna. Kiedy znikał mi z oczu, nadal jeszcze wznosił się w górę.

– O cholera! – chwyciłem portki z krzesła i rzuciłem się do drzwi. Usłyszałem wołanie Saxony, ale nie zatrzymałem się dla złożenia wyjaśnień. Po raz drugi w życiu oglądałem scenę potrącenia człowieka przez samochód. Za pierwszym razem było to w Nowym Jorku. Ofiara wylądowała na głowie. Zbiegając z ganku po dwa stopnie, pomyślałem sobie przelotnie, jak nierealnie wyglądają takie wypadki. Widzisz faceta, który gada ze znajomym albo liże loda – potem szybki ruch, głuche uderzenie – i martwe ciało szybuje w powietrzu.

Kierowca wysiadł z furgonetki i stał pochylony nad ciałem. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, kiedy doszedłem na miejsce, były zielone lody, oblepione ziemią i żwirem. Zaczynały już topnieć na czarnym asfalcie.

Nikogo więcej nie było w pobliżu. Zbliżyłem się do kierowcy i z wahaniem zajrzałem mu przez ramię. Śmierdział potem i ciepłem ludzkiego ciała. Chłopiec leżał na boku, z nogami rozrzuconymi jak na stop-klatce ukazującej dziecko w biegu. Z ust sączyła mu się krew, oczy były szeroko otwarte. Nie: tylko jedno oko było otwarte, drugie było półprzymknięte, powieka drgała.

– Mogę pomóc? Wezwę karetkę, dobrze? Niech pan tu zostanie, a ja polecę wezwać karetkę.

Kierowca odwrócił się: znałem jego twarz z biesiady przy rożnie. Był jednym z kucharzy. Stary kawalarz.

– Nic się nie zgadza. Ale ja to wiedziałem. Tak, pewnie, niech pan ściągnie karetkę. Nigdy nic do końca nie wiadomo.

Twarz miał ściągniętą, minę przerażoną, ale najbardziej zdumiał mnie ton jego głosu: złość mieszała się w nim z żalem nad sobą. Bez cienia lęku. Czy też skruchy. Uznałem, że to wynik szoku: ludzie na skutek ciężkich przeżyć często się dziwnie zachowują i mówią od rzeczy. Nieszczęsny błazen wiedział prawdopodobnie, że na jego życie padł w tej chwili cień, niezależnie od tego, co będzie z chłopcem. Był skazany na pięćdziesiąt, z grubsza sądząc, lat życia w świadomości, że przejechał dziecko. Jak Boga kocham, było mi go żal.

– Joe Jordan! Przecież to nie miałeś być ty!

Pani Fletcher wyłoniła się zza naszych pleców z różową ścierką do naczyń w dłoni.

– Wiem, niech to wszyscy diabli! Co tu się jeszcze popieprzy, zanim zrobimy z tym porządek? A to wczorajsze – słyszała pani? Która to już była kolejna rzecz – czwarta? Piąta? Teraz już nie ma mądrych, nie ma!

kojca albo dołu, a one szarpały się nawzajem na strzępy. Ludzie mają pomysły nie z tej ziemi, co, Kulfon?

Pysk psa pozostawał bez wyrazu, chociaż oczy bacznie śledziły wszystko. Małe, brunatne węgielki oczu, osadzone głęboko w facjacie śnieżnego bałwana.

– Może go pan pogłaskać, Tom. On lubi ludzi.

Wyciągnąłem rękę i bez przekonania pacnąłem Kulfona dwukrotnie po głowie, jak przycisk na hotelowym kontuarze. Wetknął pysk we wnętrze mojej dłoni. Podrapałem go za uchem. Było to takie przyjemne, że postawiłem torbę na ziemi i usiadłem na deskach ganku koło psa. Wstał, wdrapał mi się do połowy na kolana i znów padł, jak mięsisty worek. Saxony podała mi swój pleciony koszyk i zeszła do ogrodu podziwiać pomidory.

– Posiedźcie tutaj chwilę, a ja pójdę do środka i wszystko przygotuję.

Pani Fletcher zniknęła w głębi domu.

Kulfon na chwilę uniósł głowę, popatrzył za nią, ale postanowił zostać na moich kolanach.

Po pożegnaniu z Anną przy rożnie, powiedziałem pani Fletcher, że chętnie wynajmiemy jej „dół" na parę dni, a jeżeli sytuacja rozwinie się pomyślnie, to wynajmiemy go na dłużej, płacąc raz na tydzień. Zgodziła się i powtórzyła, że wcale jej to nie przeszkadza, że nie jesteśmy małżeństwem. Dałem jej czternaście dolarów zaliczki.

Obok domu pani Fletcher stała wielka, żółta lodownia z przełomu wieku. Przyglądałem się jej z mieszaniną lęku i zachwytu. Solidna i niewzruszona, a zarazem jakoś bardzo nie na miejscu, nawet w takim sennym miasteczku jak Galen, gdzie – byłem o tym przekonany – nadal można było kupić garść cukierków za pensa. Nasza gospodyni wyjaśniła, że jeszcze parę lat wstecz budynek służył za magazyn, aż do dnia, w którym kilka przegniłych belek odpadło ze stropu zabijając dwóch nietutejszych robotników. Po wypadku przyjechała z St. Louis „banda bubków", którzy dokonali oględzin gmachu pod kątem przerobienia go na sklep antykwaryczny, ale mieszkańcy Galen niedwuznacznie dali im do zrozumienia, że nie życzą tu sobie ani ich, ani żadnego przerabiania lodowni – co to, to nie!

Co się tyczy moich emocji w stosunku do Saxony, to wydarzenia ostatnich godzin tak mnie wyczerpały, że nawet jej nie spytałem, dlaczego wszystko wypaplała. Teraz zaś, głaszcząc Kulfona i popatrując na lodownię, podsumowałem osiągnięcia dnia i musiałem przyznać, że przez to jedno popołudnie w Galen zaszliśmy dalej niż w ogóle uważałem za możliwe. Dojechaliśmy na miejsce, znaleźliśmy kwaterę, poznaliśmy grupę miejscowej ludności i Annę France za jednym zamachem, a w dodatku – co już graniczyło z cudem – zostaliśmy zaproszeni do jej domu na kolację. Może więc Saxony nie zrobiła jednak aż takiego głupstwa? A może to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, że spadliśmy prosto na cztery łapy w Krainę France'a?

Rozdział IV

– Na tym zdjęciu jest mój mąż, Joe. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają wam w pokoju zdjęcia zmarłych? Mogę je stąd usunąć.

Pani Fletcher wzięła się pod boki i z dezaprobatą patrzyła na Joe'ego. Wyglądał jak Larry z filmu „Trzy kozły ofiarne". Nietrudno było sobie wyobrazić, jak wyglądało ich wspólne życie.

– Ten pokój za życia męża był jego gabinetem. Dlatego trzymam to zdjęcie. Zostawiłam tu też jego mały telewizor, radio, biurko, przy którym pisywał wszystkie swoje petycje i listy... – Jednym gestem ogarnęła cały pokój, i telewizor, i radio, i biurko. Na ścianach wisiały dyplomy i świadectwa, fotografia pana domu z gigantyczną rybą i druga, z ręką na ramieniu syna, który właśnie ukończył szkołę, i jeszcze jedna, z nominacji na Łosia. Na tle jednej zielonej ściany stała zielona etażerka zastawiona numerami „Reader's Digest", „Popular Mechanics" i „Boy's Life", pośród których widniały nieliczne książki. Jedno ze świadectw na ścianie dziękowało panu Fletcher za przewodzenie skautom w roku 1961. Prawie całą podłogę osłaniał kolisty czerwono-zielony dywan, ale ledwie weszliśmy do pokoju, Kulfon ułożył się tuż przy mojej nodze, na jednym z nielicznych, odsłoniętych kawałków ciemnego parkietu. Byliśmy już jak starzy kumple. Koło okna stał jeszcze jeden bujany fotel, na oko sądząc, bardzo wygodny. Ledwie sta-

nąłem w progu, od razu poczułem, jak przyjemnie musi się mieszkać w tym pokoju. Duże okno dawało widok na wciąż jeszcze zalany słońcem ogród warzywny.

Na dole, poza gabinetem, były jeszcze trzy pomieszczenia: sypialnia, w której wszystko lśniło bielą lodowca i i pachniało lawendą, salon, wyposażony w gigantyczne, wiktoriańskie meble, które wszystko wokół pomniejszały i prędzej czy później na pewno przyprawiłyby mnie o depresję, oraz kuchnio-jadalnia, tak wielka, że mogłyby się w niej odbywać Konwencje Demokratów. Za jedne trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Pomyślałem, czy nie warto by się zainteresować miejscową szkołą – może mają wolny etat dla anglisty. Wprowadziłbym się tutaj z Saxony, ściągnąłbym dyplom pedagogiczny z Missouri, za dnia uczyłbym w szkole, a wieczorami czytałbym sobie i pisał książkę, gdyby rozmowy z Anną jednak dały pomyślny rezultat... Kulfon złożył łeb na mojej stopie i tym samym sprowadził mnie na ziemię.

Uświadomiłem sobie, że śniąc na jawie, cały czas wpatrywałem się w etażerkę. I nagle dotarło do mnie, w co się tak wpatruję. Podskoczyłem do półki jak oparzony, wyciągając rękę po łup o wiele za wcześnie.

– Saxony! „Nocne wyścigi w głąb Anny"! Popatrz! – Już trzymałem książkę w garści, już ją kartkowałem gorączkowo w tę i z powrotem. – Coś podobnego, zobacz! O trzy rozdziały więcej niż w twoim wydaniu, Sax!

To ją ruszyło. Wyrwała mi książkę.

– Masz rację, nic z tego nie rozumiem.

Odwróciła się, żeby zapytać panią Fletcher, ale starej gospodyni już nie było. Popatrzyliśmy po sobie, a potem ja wyjrzałem przez okno, które tkwiło tuż nad ramieniem Saxony. Skarlała przez kontrast z potakującymi i chwiejnymi słonecznikami, nasza gospodyni szła przez ogród w stronę domu. Patrzyła prosto w okno. Prosto na nas.

Saxony usiadła na wysokim białym łóżku i zrzuciła tenisówki.

– Pozwolisz mi pierwszej przeczytać? Szybko skończę.

– Jasne, czytaj. I tak chciałem wziąć prysznic.

Prysznica jednak nie było. W zamian za to znalazłem w łazience siedmio- albo i ośmiostopowej długości wannę na białych lwich łapkach, przytrzymujących pazurami białe kule. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby się wymoczyć w letniej wodzie – właściwie, po wszystkim, co się tego dnia zdarzyło, była to nawet wielce kusząca perspektywa. W metalowej mydelniczce czekało nietknięte, pękate mydło Ivory, a przez ściankę wanny przewieszony był mięsisty ręcznik frotté i ściereczka do namydlania.

Namydlałem właśnie głowę, śpiewając przy tym piosenkę Randy Newmana, kiedy do łazienki wparowała Saxony. Trzymała w ręku książkę i bez słowa wyjaśnienia usiadła na białym, wiklinowym koszu na brudy.

– Wszystko w porządku, Sax?

– Tak. Jakoś odechciało mi się czytać. Myślałam, że chcę, ale jakoś nie chcę. Gniewasz się?

– Nie. Przedtem tak. Przedtem chyba byłem na ciebie zły, ale wszystko tak się świetnie ułożyło, że mi przeszło.

– Dlatego, że powiedziałam o twoim ojcu?

– Dlatego też. Ale przede wszystkim dlatego, że wygadałaś o biografii.

Wstała z kosza i podeszła do umywalki. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze apteczki.

– Tak właśnie myślałam. Cieszysz się, że idziemy do niej na kolację?

Mówiła bezbarwnym tonem, do którego nie byłem przyzwyczajony. Na ogół miała oddzielny ton na każdy nastrój i z łatwością można było rozpoznać po głosie, jak się w danej chwili czuje. Odkąd jednak weszła do mnie do łazienki, mówiła jak gadający komputer.

– Jasne, że się cieszę! Czy rozumiesz, że jeżeli ona nas – cudzysłów – zaakceptuje, to będziemy w połowie drogi do sukcesu?

– Rozumiem. Co sądzisz o tym miasteczku?

– Saxony, czy byłabyś uprzejma poinformować mnie, co się stało? Mówisz jak ktoś z „Nocy żywych umarłych". Co z tobą, śpisz, czy co? Nie dociera do ciebie, że jesteśmy zaproszeni na kolację przez Annę France – TĘ Annę France?

ostatecznej decyzji w sprawie biografii. Niemy flirt między Anną a mną. Co za potwór ze mnie. Tuliłem Saxony i całowałem czubek jej głowy. Całe to przytulanie, dotykanie i poczucie winy sprawiło, że gwałtownie jej zapragnąłem. Przewróciłem ją delikatnie na plecy i podsunąłem koszulę do góry.

Rozdział VI

Nazajutrz rano słońce wśliznęło się do pokoju i na nasze łóżko około godziny siódmej. Obudziło mnie jego ciepło na twarzy. Nienawidzę wcześnie wstawać, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne, więc zacząłem się wiercić i kokosić w poszukiwaniu kawałka cienia. Niestety, Saxony przykleiła się do mnie na dobre, więc poruszałem się z trudem.

Na domiar złego, drzwi się nagle uchyliły i do pokoju przydreptał Kulfon. Bez pardonu wskoczył na łóżko. Czułem się tak, jakbyśmy wszyscy troje płynęli tratwą przez sam środek oceanu, bo leżeliśmy stłoczeni jedno na drugim pośrodku łóżka. Nie wspominałem dotąd, że mam klaustrofobię. Zapieczętowany między dwoma gorącymi korpusami, z głową opiekaną słońcem i nogami omotanymi prześcieradłem... doszedłem do wniosku, że czas wstawać. Poklepałem Kulfona po łbie i pchnąłem go lekko. Warknął. Myślałem, że to zwykła poranna gburowatość, więc jeszcze raz poklepałem go po głowie i pchnąłem. Warknął głośniej. Wymieniliśmy spojrzenia ponad cienką różową falą koca, ale bullteriery mają pysk absolutnie pozbawiony wyrazu, więc nigdy nie wiadomo, co sobie myślą.

– Kulfon, dobry piesek.

– Dlaczego on na ciebie warczy? Co mu zrobiłeś?

Saxony przytuliła się jeszcze mocniej i poczułem na szyi jej ciepły oddech.

– Nic mu nie zrobiłem. Chciałem go odsunąć, żebym mógł wstać.

– Ohoho. Spróbujesz jeszcze raz?

– Sam nie wiem. A jak mnie ugryzie?

Popatrzyłem na nią przez ramię. Zamrugała oczami.

– Nie, nie sądzę. On cię lubi. Pamiętasz wczoraj?

Mówiła to z dużym przekonaniem.

– Coś podobnego. Wczoraj to wczoraj, a dzisiaj to dzisiaj, a w ogóle to nie o twoją rękę tutaj chodzi.

– Więc zamierzasz tu tkwić całe rano? – Uśmiechnęła się i płaskim wnętrzem dłoni potarła nos. Dzięki Bogu, że przeszło jej to wczorajsze. – Tom-cio-ma-cy-ko-ra...

Popatrzyłem na Kulfona, a on na mnie. Pełna pogarda. Czubek nosa jak suszona śliwka sterczał zza jednej z czterech łap.

– Pa-ni-Fletch-er!!!

– Tomasz, przestań, nie rób tego. Może ona jeszcze śpi.

– Tym gorzej dla niej. Nie dam się pogryźć. Dobry piesek. Kulfon. Pani Fletcher!

Usłyszeliśmy kroki, a tuż przed pojawieniem się głowy w szparze drzwi, Kulfon zeskoczył z łóżka, żeby powitać panią.

Saxony zanosiła się ze śmiechu, naciągnęła poduszkę na głowę.

– Dzień dobry państwu. Coś się stało?

– Dzień dobry. Kulfon wlazł nam do łóżka, odepchnąłem go lekko, bo chciałem wstać, rozumie pani, a on zaczął na mnie warczeć. Bałem się, że mówi poważnie.

– Kto, Kulfon? Nigdy w życiu. Proszę spojrzeć.

Kulfon stał koło niej, ale cały czas miał oko na łóżko i na nas. Pani Fletcher odsunęła go nogą na bok. Zawarczał, nawet na nią nie patrząc. Jednocześnie merdał ogonem.

– Co państwo zjedzą na śniadanie? Postanowiłam pierwszego dnia wam zafundować. Założę się, że nie zrobiłaś zakupów prawda, Saxony?

Usiadłem i przylizałem dłońmi włosy.

– Doprawdy, nie powinna pani, przecież my z łatwością...

– Sama wiem, co powinnam. No więc – co państwo sobie życzą? Robię dobre naleśniki i parówki. To może naleśniki i parówki?

Zamówiliśmy naleśniki z parówkami. Pani Fletcher wyszła z pokoju, a Kulfon wskoczył z powrotem na łóżko. Przelazł przez moje nogi i umościł się w poprzek brzucha Saxony.

Światło zapaliło się, zanim doszedłem do szczytu schodów. Zobaczyłem, jak moje trzy przewodniczki znikają za ciemnym węgłem.

– Jesteś tam? – dobiegł mnie głos.

Przyspieszyłem kroku i zawołałem:

– Tak, tak, jestem tuż za wami.

Podłoga była z jasnego, surowego drewna, starannie oheblowanego i zakonserwowanego: przypominała mi podłogi w domach skandynawskich. Żadnych stołów, krzeseł, boazerii, żadnych obrazów na ścianach. Dom zdawał się być podzielony na dwie osobowości: górną i dolną. Czysta, ascetyczna góra i zagracony dół. Wyszedłem zza węgła ściany i ujrzałem światło padające przez wąskie drzwi pokoju. Panowała absolutna cisza. Zbliżyłem się do wejścia, przekroczyłem próg i z miejsca doznałem zawodu. W pokoju nie było dosłownie nic, poza wielkim, dębowym żaluzjowym biurkiem i obrotowym krzesłem osadzonym w specjalnym otworze w podłodze. Na biurku tkwił zielony bibularz i stare, pomarańczowe wieczne pióro Parkera, typ „Lucky Curve". Nic więcej.

– Jak tu pusto.

– Tak, całkiem inaczej niż w salonie. Ojciec twierdził, że kiedy pracuje, wszystko go rozprasza, więc urządził sobie gabinet właśnie tak.

Rozdzwonił się telefon, który stał tuż za drzwiami, Anna przeprosiła nas i podniosła słuchawkę. Sax podeszła do biurka i przesunęła ręką po blacie.

– Oślepł? Jak to – oślepł? Niemożliwe. Jak to się stało?

Jedno spojrzenie na Saxony przekonało mnie, że i ona podsłuchuje. Anna miała napiętą twarz, patrzyła w podłogę. Wydawała się raczej zła niż zmartwiona.

– Dobrze już, dobrze. Nie ruszaj się stamtąd, a ja przyjadę najszybciej jak się da. Co? Nie! Masz siedzieć na miejscu! – Odłożyła słuchawkę i przesunęła ręką po czole. – Przepraszam, ale ktoś z moich znajomych miał wypadek. Muszę natychmiast jechać do szpitala. Podrzucę was do domu.

– Bardzo mi przykro. Czy możemy jakoś pomóc? Chętnie...

Potrząsnęła głową, patrząc gdzieś za okno.

– Nie. To niemożliwe.

Zgasiła światło i nie oglądając się na nas pospieszyła korytarzem w stronę schodów.

Rozdział V

– Śpisz? – Dotknęła bardzo lekko mojego ramienia, jednym palcem.

Przeturlałem się na drugi bok, twarzą do niej. Blask pełni księżyca wpadał przez okno i żłobił długie białe pasma w jej włosach i bladoniebieskiej nocnej koszuli. Mimo że na wpół spałem, kolor ten przypomniał mi widok pokoju France'a, zanim Anna zapaliła światło.

– Ja? Spać? Skądże znowu, Sax, gdzież bym...

– Proszę cię, Tomaszu, nie wygłupiaj się. Akurat teraz nie chcę, żebyś się wygłupiał. Proszę...?

Nie widziałem jej twarzy zbyt wyraźnie, ale po głosie poznałem, jaką ma minę. Oczy jeszcze suche, ale usta już obrócone kącikami w dół: zaraz zacznie bardzo szybko mrugać. To był jej niemy znak, że chce, żeby ją dotknąć i przytulić. A zawsze kiedy to już zrobiłem, przywierała do mnie z całej siły, tak, że aż robiło mi się smutno i zadawałem sobie pytanie, czy mam w tej chwili dość siły dla nas obojga – bo tego właśnie ode mnie oczekiwała.

– Wszystko dobrze, mała?

Położyłem dłoń na tyle jej głowy, tuż nad karkiem i poczułem czystą gładkość włosów.

– Tak, tylko teraz nic nie mów. Przytul mnie mocno i nic nie mów.

To się już zdarzało. Czasami nocą robiła się malutka i wystraszona, przekonana, że cokolwiek ma w życiu dobrego, zaraz to straci i nie będzie mogła nic na to poradzić. Nazywałem te stany jej „nocnymi lękami". Ona sama pierwsza przyznawała, że to wszystko bzdury i czysty masochizm z jej strony, ale nic nie umiała na to poradzić. Najgorsze, mówiła, było to, że te stany przychodziły najczęściej albo wtedy, kiedy czuła się absolutnie szczęśliwa, albo kiedy była bezdennie smutna i w depresji.

Tuląc ją, zastanawiałem się, czy tym razem nie ma tu przypadkiem mojej winy. Zrobiłem sobie dwusekundowy repley wieczoru u Anny. No tak: demonstracyjny chłód Anny. Parszywe jedzenie. Brak

Zdaje się, że byłem naprawdę zły i mój głos dawał temu wyraz. Pochwyciłem jej spojrzenie w lustrze, a wtedy ona uśmiechnęła się do mnie niemrawo. Potem odwróciła się, popatrzyła mi prosto w oczy, a ja poczułem się jak idiota, siedząc po szyję w wannie, z kolanami pod brodą i głową całą w pianie.

– Dociera. – Patrzyła na mnie jeszcze chwilę, a potem powtórzyła: – Dociera.

Podeszła do kosza, wzięła leżącą na nim książkę i wyszła z łazienki.

– No i co to miało być? – Zapytałem wannę. Mydło wymsknęło mi się z dłoni i z pluskiem utonęło w wodzie.

Kąpiel dokończyłem na wpół tylko wiedząc, co robię, bo przez cały czas usiłowałem rozgryźć sens zachowania Saxony. Kiedy jednak ociekając wodą wkroczyłem do sypialni, Saxony miała minę jakby nigdy nic, więc i ja postanowiłem siedzieć cicho.

Zamierzaliśmy udać się do domu France'a na piechotę. Pani Fletcher siedziała w bujanym fotelu na ganku i łuskała kukurydzę. Kulfon leżał przy niej i pilnował dużej, białoróżowej kości, której na razie nie jadł. Pani Fletcher udzieliła nam szczegółowych wskazówek, jak dotrzeć do Anny, która mieszkała, jak się okazało, o jakieś sześć przecznic od nas. Schodząc z ganku, byłem przekonany, że gospodyni śledzi wzrokiem każdy nasz ruch, ale nie odwróciłem się, żeby to sprawdzić. Byłby to oczywisty nietakt, a nie miałem ochoty zadzierać z dobrodziejką. Gdybyśmy istotnie mieli zatrzymać się w Galen na dłużej, jej dom był zbyt ładny i zbyt wygodny (nie mówiąc już o tym, że tani), by z niego rezygnować tylko dlatego, że właścicielka jest wścibską dziwaczką.

Słońce, zasiadające z wolna na dachu lodowni, wyglądało blado w porównaniu z mocną, cytrynową żółcią gmachu. Na jednej ze ścian widniały duchy niegdyś czarnych liter, których nie zauważyliśmy przechodząc tamtędy pierwszy raz.

– Popatrz, widziałaś to? „Własność Rodziny Fletcherów". Ciekawe, dlaczego nam nie powiedziała, że jest właścicielką?

– Może się wstydziła przyznać do bogactwa? – Sax popatrzyła na mnie, mrużąc oczy pod słońce.

– Jakiego tam bogactwa? Bogactwa, które polega na wynajmowaniu pokoi obcym ludziom i posiadaniu nieczynnej lodowni? Moim zdaniem, nie chciała się przyznać, że jest właścicielką budynku, w którym ludzie ponieśli śmierć z powodu zaniedbań, jakich dopuścił się gospodarz.

Ta teoria na kilka najbliższych minut marszu w ciszy wzięła górę nad poprzednią.

Wieczór dopiero się zaczynał i niebo przybrało barwę kobaltowego błękitu, przeciętego przez sam środek białą kreską spalin lecącego gdzieś w górze samolotu. Daleko w tle postękiwała koparka, a koło stacji benzynowej Exon prowadzonej przez Berta Keenera, pachniało świeżo skoszoną trawą, olejem samochodowym i benzyną. Przed stacją, na czerwonym, aluminiowym krześle ogrodowym, siedział facet, a przy nim, na stercie starych opon, stała puszka od piwa. Jeszcze jeden wykapany obraz Normana Rockwella, tym razem zatytułowany „Stacja benzynowa Berta w czerwcu". Na stację zajechał nowy, biały volkswagen i ustawił się koło dystrybutora. Kierowca opuścił boczną szybę i wytknął głowę przez okienko.

– Rusz no czwóre, Larry! Za co ci płacą, za picie piwa?

Larry, ten z czerwonego krzesła, wykrzywił się paskudnie i zanim wstał z miejsca, spojrzał na nas.

– Kupi sobie taki szwabskie auto i zaraz mu się wydaje, że jest Adolfem Hitlerem, no nie?

Minęliśmy zamknięty sklep spożywczy, na którego witrynach kolorowe etykietki informowały o okazyjnych zakupach bieżącego tygodnia. Zauważyłem, że ceny są tu niższe niż w Connecticut.

Dalej był bar dla kierowców, w którym dominował kolor wściekłej pomarańczy, a muzyka rockowa waliła przez megafon na cały nieasfaltowany parking. Megafon umieszczony był na dachu przysadzistego, sześciennego bunkra. Jedynym samochodem na parkingu był chevrolet z końca lat sześćdziesiątych, w którym siedział komplet pasażerów i wszyscy lizali duże porcje lodów w rożkach.

Sami nie wiedząc kiedy, znaleźliśmy się na uliczce Anny. Mój żołądek, do tej pory w miarę spokojny, powiedział reszcie organizmu „Łącze!" i w ułamku sekundy ogarnęła mnie całego paniczna drżączka.

– Tomasz...

– Nic nie mów, Sax, włazimy i tyle. Niech to już raz będzie za nami.

Byłem kompletnie roztrzęsiony i wiedziałem, że nie wolno mi ani na chwilę przystanąć, bo kolana zaczną mi latać i zapomnę języka w gębie.

– Tomaszu...

– Przestań już!

Zdjąłem jej bezwładną rękę z zagięcia własnego łokcia i pociągnąłem w stronę domu Anny.

Wszyscy mieszkańcy miasteczka musieli w tym czasie albo siedzieć przy kolacji, albo powyjeżdżać za miasto, bo w drodze do Anny nie minęliśmy żywej duszy. Było to dość niesamowite. Domki utrzymane były na ogół w stylu białej, środkowo-zachodniej solidności. Drewniane parkany z aluminiowym daszkiem a na trawnikach żeliwne posążki. Na skrzynkach pocztowych widniały nazwiska w stylu Calder i Schreiner, a wśród nich jedno, które mnie urzekło: „Twierdza Bola i Leonii Burns". Wyobraziłem sobie te domki w grudniu, z Bożenarodzeniową iluminacją i wielkimi neonowymi Świętymi Mikołajami na dachach.

A dalej był już ten dom. Znałem go aż za dobrze ze zdjęcia w gazecie. Wielki, brunatny, wiktoriański, z obfitością drewnianych ornamentów i przy bliższych oględzinach, małych witrażyków. Od frontu gęste i starannie przystrzyżone żywopłoty. Mimo ciemnokakaowej barwy, dom sprawiał wrażenie świeżo pomalowanego.

W identycznym domu mieszkała moja babka. Dożyła w stanie Iowa dziewięćdziesięciu czterech lat i przez całe życie twardo odmawiała obejrzenia choćby jednego filmu syna. Kiedy umarła i robiono przegląd jej rzeczy, znalazło się wśród nich jedenaście oprawionych w skórę albumów z wycinkami dotyczącymi jego kariery, od pierwszego filmu począwszy. Babcia chciała, żeby ojciec został weterynarzem. W swoim wielkim, wiejskim domu i wokół niego, hodowała kupę zwierzaków, w tym osła i kurę. Ilekroć ją odwiedzaliśmy, osioł gryzł mnie na powitanie, a potem się śmiał.

– ...wejść?

Saxony znów zagnieździła się u mnie pod pachą i świdrowała mnie wzrokiem.

– Słucham?

Miała ściągniętą twarz i rumieńce na policzkach. Poznałem, że denerwuje się nie mniej ode mnie.

– Nie sądzisz, że powinniśmy wejść? Zdaje się, że już czas.

Spojrzałem na zegarek, absolutnie nie rejestrując tego, co widzę, i kiwnąłem głową.

Przeszliśmy przez ulicę i stanęliśmy przed domem. Oszklone drzwi, drewniana skrzynka na listy, na której białymi, drukowanymi literami wypisane było samo nazwisko (ależ w niej kiedyś musiały bywać listy!) i czarny przycisk dzwonka wielkości pionka od warcabów. Nacisnąłem go, a wtedy z drugiej strony domu zabrzmiały dźwięczne kuranty. Pies zaszczekał i zaraz ucichł. Spojrzałem pod nogi, gdzie leżała dopasowana kolorem do ścian domu brązowa mata z napisem „IDŹ PRECZ!" Trąciłem Saxony łokciem i wskazałem na matę.

– Myślisz, że to o nas chodzi?

Tego tylko brakowało. Uznałem matę za dobry kawał, a ona natychmiast musiała z niej uczynić kolejny problem. A jeżeli Anna istotnie...

– Witajcie. Proszę do środka. Na razie nie podam wam ręki, bo jestem cała tłusta od kurczaka.

– Popatrz, przecież to Kulfon!

Rzeczywiście. Biały bullterier wściubił pysk między kolana Anny i lustrował nas komicznymi szparkami skośnych ślepi.

Anna ścisnęła psi łeb kolanami i przytrzymała go jak w dybach. Pies nie ruszył się, ale widziałem, że za plecami Anny merda ogonem.

– Nie, to jest Pańcia, narzeczona Kulfona.

Anna uwolniła psa, a Pańcia bezzwłocznie podbiegła do nas, żeby się przywitać. Miała równie przyjazne usposobienie jak Kulfon. Przedtem nigdy w życiu nie widziałem bullteriera, a tu nagle aż dwa w odstępie paru godzin. Obecność Pańci nie dziwiła jednak tak bardzo, skoro w drugim końcu ulicy mieszkał Kulfon.

Szeroki hol kończył się schodami. W połowie schodów, na podeście, dwa duże okna witrażowe rzucały refleksy w technikolorze na najniższe stopnie i fragmenty holu. Ściany były białe. Po lewej od wejścia wisiało duże, złote lustro typu rybie oko, a obok gięty, drewniany wieszak z kolekcją sfatygowanych

Było to pytanie testowe, ponieważ Lucente osobiście udzielił mi już na nie odpowiedzi. Dziewięć miesięcy.

– Dwa lata.

Znów zobaczyłem w jej rękach przycisk do papieru, który przerzucała z dłoni do dłoni.

Zerknąłem na Saxony, ale Saxony wpatrywała się w Annę.

– Co u niego robił?

– Co robił? – Anna wzruszyła ramionami, jakby pytanie nie warte było odpowiedzi i co to za głupota ze strony mojej znajomej, że je w ogóle zadała.

– Na pewno nie robił tego, co się w takim miejscu zwykle robi, bo na widok trupa dostawał mdłości. Dosłownie! Mówił mi, że ile razy zawołali go tam, gdzie odbywała się robota, wchodził, rzucał jedno spojrzenie i zaraz leciał do łazienki. Biedny ojciec, nie był stworzony do opieki nad zmarłymi. O nie. Wiecie, co tam robił? Gotował. Zajmował się kuchnią i sprzątaniem.

– I nigdy nie pomagał właścicielowi? Nawet później?

– Nigdy. Ojciec nie mógł patrzeć nawet na przejechane zwierzę. Ale powiem panu coś śmiesznego do pańskiej biografii. Ojciec czasami jeździł z karawaniarzami po ciało. Raz dostali wezwanie na szóste piętro bez windy. Wdrapali się na górę, otworzyli drzwi i zobaczyli nieboszczyka o wadze trzystu funtów.

– Trzystu funtów? I jak go stamtąd wydostali? Dźwigiem?

Pomijając fakt, że i w tej sprawie na pewno kłamała, sam pomysł był frapujący.

Jej z kolei przypadł do gustu mój dźwig. Roześmiała się i – autentyczne! – klepnęła w kolano.

– Nie, niezupełnie. Zrobili tak: wysłali ojca na parter i kazali mu pilnować, żeby nikt się nie kręcił po schodach ani nie wchodził z ulicy. Ojciec zbiegł na parter, krzyknął, że droga wolna i chciał wracać na górę. A wtedy usłyszał głośne BUMS! I zaraz potem – BUM BUMS! Popatrzył do góry: karawaniarze spokojnie turlali ciało w dół po schodach, pomagając sobie przy tym nogami. Wyobraża pan sobie? Niech pan pomyśli: wchodzi facet jakby nigdy nic do klatki schodowej, a tu prosto na niego turla się trzystufuntowy nieboszczyk – niezłe, co?

– Pani żartuje.

Uniosła trzy środkowe palce prawej ręki, dłonią do zewnątrz i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Słowo skauta.

– Turlali go po schodach? Przez sześć pięter?

– Dokładnie.

– No a potem? Musiał być przecież zdrowo poobijany?

– Był, oczywiście, ale zawieźli go do kostnicy, zrobili makijaż i tak dalej i na drugi dzień na pogrzebie – tak opowiadał ojciec – trup wyglądał jak nowy.

Bujda nie bujda, historia była przednia. Dostrzegłem w niej echa talentu narracyjnego France'a.

Anna odłożyła przycisk na brzeg stołu.

– Chciałby pan obejrzeć jego gabinet? Może pana zaciekawi.

– Nawet pani nie wie, panno France, jak marzę o obejrzeniu jego gabinetu!

Mówiąc to, do połowy uniosłem się z fotela.

Anna prowadziła, za nią kroczyła Pańcia, dalej Saxony, na końcu ja. Jest się tym dżentelmenem, nie?

W dzieciństwie siadywaliśmy z siostrą i bratem na szczycie schodów pokrytych czerwonym chodnikiem i patrzyliśmy, jak rodzice szykują się do wieczornego wyjścia. Byliśmy już w piżamach i puchatych, brązowych bamboszach, a światło z holu sięgało zaledwie czubków naszych stóp. Z tej odległości nie słyszeliśmy, co mówią do siebie rodzice, ale czuliśmy się bezpiecznie i sennie, oni zaś wyglądali tak elegancko, tak pięknie. Tylko w takich chwilach ojciec był dla mnie kimś więcej niż „papą", którego prawie nigdy nie było w domu, a kiedy był, zbyt wylewnie okazywał nam swoją miłość. Nie pamiętałem o tym przez całe lata – takie drobne proustowskie wspomnienie, które łatwo ucieka, a tak bardzo cieszy przypadkiem odnalezione. Wchodzenie po schodach do gabinetu France'a przywróciło mi ów obraz z taką siłą, że przez chwilę miałem ochotę usiąść na schodach i przypomnieć sobie, jak to jest. Ciekawe, czy Anna też patrzyła stąd na swoich rodziców.

wcześniej niż inni zaczęli obawiać się Hitlera. Brat ojca, Izaak, został zamordowany w obozie koncentracyjnym.

– Dawid Louis upiera się, że ojciec pani był jedynakiem.

– Zna pan niemiecki, panie Abbey? Nie? Szkoda. Niemcy mają takie powiedzonko, które jak ulał pasuje do Dawida Louisa: „Dreck mit zwei augen". Rozumie pan? „Śmieć z oczami". Chociaż niektórzy tłumaczyliby to raczej jako „Gówno z oczami". Ja jestem dziś łaskawa.

Krawędzią widelca kilkakrotnie przejechała po stole. Do tego czasu mówiła tonem zrównoważonym i budzącym sympatię, ale „gówno" nagle wszystko odmieniło. Nie wyglądała mi na kobietę, która często używa wulgarnych słów. Przypomniałem sobie za to Louisa, jak siedział w gabinecie na obitej płótnem kanapie i opowiadał mi niesamowitą historię o tym, jak Anna i jej koty parskały na niego z nienawiścią. W tym domu nie było żadnych kotów. Uznałem, że będzie to pytanie niewinne, w sam raz na pozbycie się „gówna", które nadal wisiało w powietrzu.

– Czy ma pani koty?

– Koty? Nie, nigdy! Nienawidzę kotów.

– A ojciec pani nie trzymał kotów?

– Nie. W zasadzie nie cierpiał zwierząt. Właściwie z tych pokrytych sierścią znosił jedynie bullteriery.

– Naprawdę? Jego książki świadczą o tym, że sporo wiedział o zwierzętach.

– Jeszcze kawy?

Pokręciłem głową tak zdecydowanie, że o mało mi nie odpadła. Anna nie zaproponowała Saxony dolewki herbaty. Ciekawe, czy to z uwagi na osobowość Saxony, czy dlatego, że była drugą, konkurencyjną kobietą. Rywalizacja o mnie? Szkoda złudzeń. Czasami spotyka się kogoś i już z pierwszego dotknięcia rodzi się nagła niechęć, albo wprost przeciwnie. Osoba może być błyskotliwa, piękna, pociągająca, a ty jej nie lubisz i koniec. Jeżeli tak właśnie było w ich przypadku, to przyszłość przedstawiała się niewesoło. Postanowiłem nie myśleć o tym, dopóki Anna nie wypowie się ostatecznie w sprawie naszej biografii.

Wstaliśmy od stołu i przeszliśmy do drugiego pokoju, Saxony przodem. Było już ciemno, jeżeli nie liczyć światła wpadającego z ulicy. Wydobywało ono z mroku zarysy i półkształty masek, manekinów i innych przedmiotów i było, mówiąc oględnie, dosyć niesamowite. Anna zatrzymała się tuż przede mną, z dłonią na włączniku światła, ale nie zapaliła go.

– Ojciec lubił ten pokój właśnie tak. Często przyłapywałam go na tym, że stał w drzwiach i przyglądał się swoim skarbom w takim kocim świetle.

– „Kocim świetle", tak? To ze „Smutku Zielonego Psa"?

– Brawo! Zna się tego France'a, co?

Włączyła światło i nagle wszystkie rzeczy, które straszą w nocy, stały się z powrotem tylko rzeczami, dzięki Bogu. Nie lubię filmów grozy, opowieści z dreszczykiem, koszmarnych snów, czarnych ubrań. Prowadzę lekcje z Poego, bo tak mi każe program, ale po każdym czytaniu „Niedyskretnego Serca" przez dwa tygodnie muszę dochodzić do siebie. Owszem, lubię maski i niezwykłe przedmioty, ale upodobanie do tego, co prawie realne, a strach przed tym, co potworne, to dwie absolutnie różne rzeczy. Proszę uprzejmie pamiętać, że jestem tchórzem.

Saxony usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę. Pańcia oparła łapę tuż przy niej i spojrzała na Annę z pytaniem, czy może wskoczyć. Brak odpowiedzi uznała za „tak", wobec czego jęła mozolnie gramolić się na górę, po jednej niezdarnej łapie na raz.

– Po przyjeździe do Nowego Jorku zatrudnił się w zakładzie pogrzebowym. Och, najmocniej przepraszam, może któreś z państwa ma ochotę na brandy, albo coś innego do picia? Kahlua? Tia Maria? Mam wszystko.

Odmówiliśmy oboje, więc Anna zapadła się z powrotem w fotel.

– Ale to tajemnica. Tylko nieliczni wiedzą o pierwszej pracy mojego ojca.

Zerknąłem na Saxony, ale Saxony wpatrywała się w Annę. Nagle odezwała się, po raz pierwszy od kolacji.

– Jak długo pracował u tego grabarza?

męskich kapeluszy. Czyżby nosił je kiedyś Marshall France? Na prawo od wieszaka w kosztownych, nowoczesnych srebrnych ramkach widniały grafiki przedstawiające osiemnasto- i dziewiętnastowieczne balony i zeppeliny. Obok nich – co bardzo mnie zaskoczyło, bo miałem France'a za człowieka skromnego – wisiały oprawione w ramki parodie okładek Van Walta do wszystkich jego książek... Nie chciałem okazać się wścibski, więc odwróciłem wzrok od obrazków. Może kiedyś, kiedy się wszyscy ze sobą oswoimy (jeżeli po dzisiejszym nastąpi w ogóle jakieś kiedyś). Zacząłem bawić się z Pańcią, która podskakiwała na środku holu. Zachęcona moim zainteresowaniem, poczęła skakać na mnie.

– Niesamowite są te psiaki. Właściwie do dzisiaj ich nie znałem, a teraz chętnie bym sobie takiego zafundował.

– Sporo ich pan tutaj zobaczy. Nasza okolica jest enklawą bullterierów. To jedyne psy, które uznawał mój ojciec. Jeżeli Pańcia stanie się zbyt nachalna, proszę ją po prostu odepchnąć. Bullteriery to najsympatyczniejsze psy na świecie, ale chwilami dostają kuku na muniu. Proszę, chodźmy do pokoju.

Przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, jaka ona jest w łóżku, ale szybko odpędziłem tę myśl, gdyż wydało mi się świętokradztwem robić to z córką France'a. A zaraz potem pomyślałem, że do diabła ze skrupułami, Anna była pociągająca, miała niesamowity, głęboki głos, a styl, w jakim się ubierała – dżinsy i koszulki – podkreślał jej wciąż atrakcyjną, zgrabną figurę. Przekraczając próg pokoju, wyobraziłem ją sobie w paryskim atelier, żyjącą ze zwariowanym malarzem, któremu oczy się błyszczą jak Rasputinowi i który bierze ją pięćdziesiąt razy dziennie, w przerwach między malowaniem jej aktów a piciem absyntu.

W niesamowitym salonie France'a mój oszołomiony wzrok zarejestrował w pierwszej chwili następujące przedmioty: ręcznie rzeźbionego Pinokia z drzewa oliwnego, z ruchomymi rękami i nogami, manekin sklepowy z lat dwudziestych, wzrost sześć stóp, pomalowany w całości na srebrno, a z urody przypominający Jean Harlow uczesaną gładko do góry oraz indiański kilim Navaho. Kukiełki na rękę i marionetki. MASKI! (w większości japońskie, południowoamerykańskie i afrykańskie, sądząc na pierwszy rzut oka). Pawie pióra w glinianym wazonie. Japońskie drzeworyty (Hokusai i Hiroshige). Cała półka budzików o malowanych cyferblatach, żeliwnych skarbonek i cynowych maskotek. Stare księgi w skórzanych oprawach. Trzy sześcienne drewniane skrzynie po herbacie z Szanghaju, malowane w żółte, czerwone i czarne kwiaty, wachlarze, kobiety i czółna. Gdzieś w głębi leciał na stereo motyw przewodni „Kabaretu". U góry wisiał nieruchomo wentylator z drewnianymi skrzydłami.

Staliśmy w drzwiach wstrzymując oddech. On był autorem książek, które nas zafascynowały, a tak wyglądał jego pokój – jedno idealnie pasowało do drugiego.

– Ludzie, którzy tu wchodzą po raz pierwszy, wpadają albo w zachwyt, albo w przerażenie. – Anna przecisnęła się między nami i weszła do pokoju. Staliśmy dalej w progu, gapiąc się nieruchomo. – Moja matka była bardzo konserwatywna. Lubiła pokrowce na meble, serwetki i ocieplacze na imbryki. Wszystkie jej rzeczy leżą teraz na strychu popakowane w skrzynie, bo zaraz po jej śmierci we dwójkę z ojcem przerobiliśmy ten pokój. Przekształciliśmy go w wizję, którą mieliśmy od lat. Jeszcze jako dziecko lubiłam to samo co ojciec.

– Ależ to wspaniałe! Kiedy pomyślę o jego książkach i postaciach, i o tym, co tutaj widzę... – Rozpostarłem ramiona. – To cały on. Cały Marshall France.

To się jej spodobało. Zatrzymała się na środku pokoju, promieniejąca uśmiechem, i kazała nam wejść dalej i siadać. Mówię „kazała", bo każde jej słowo brzmiało jak polecenie albo ostateczny wniosek. Nie była to osoba mało pewna siebie.

Saxony jednak pomaszerowała wprost do zawieszonej na haku pacynki.

– Mogę?

Nie wydawało mi się, żeby to było odpowiednie pytanie na sam początek wizyty, ale Anna wyraziła zgodę.

Sax już sięgała kukiełki, gdy nagle zamarła i cofnęła się o krok.

– To przecież Klee!

Anna kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Spojrzała na mnie, unosząc brwi.

– To przecież Paul Klee! – Saxony, oszołomiona, patrzyła na pacynkę, to na Annę, to na mnie. – Skąd pani...?

– Brawo, panno Gardner. Mało kto wie, jaka to rzadkość.
– Ona jest lalkarką – wtrąciłem, chcąc też uczestniczyć w spektaklu.
– To przecież Klee!

Ciekaw byłem, czy długo jeszcze będzie powtarzała to zdanie jak jakaś papuga. Zdjęła pacynkę ze ściany, obchodząc się z nią jak z relikwią. Coś przy tym mówiła, ale tak cicho, że chyba tylko do siebie samej albo do lalki.

– Co tam mówisz, Sax?

Podniosła wzrok.

– Paul Klee zrobił ich pięćdziesiąt dla swojego synka, Felixa. Dwadzieścia oryginałów przepadło podczas bombardowania Dessau w drugiej wojnie. Reszta znajduje się rzekomo w jakimś szwajcarskim muzeum.

– Zgadza się, w Bernie. Ale mój ojciec i Klee korespondowali z sobą przez lata. Pierwszy napisał Klee, podobał mu się „Smutek Zielonego Psa". Kiedy ojciec wspomniał mu w liście o swojej kolekcji, Klee przysłał mu tę lalkę.

Dla mnie kukiełka wyglądała jak produkcja średnio zdolnego ucznia czwartej klasy wykonana w czasie lekcji robót ręcznych.

Sax zapadła się w skórzany fotel i kontynuowała komunię z Kleem. Spojrzałem na Annę i uśmiechnąłem się, Anna zaś spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Saxony jakby na dwie sekundy zniknęła z pokoju. Przez dwie sekundy czułem, jakie to by było proste i przyjemne być kochankiem Anny. Uczucie to minęło, ale jego echa pozostały.

– Więc kim pan właściwie jest, panie Abbey? Poza tym, że synem Stephena Abbeya?
– Kim jestem?
– No tak, kim pan jest. Skąd pan pochodzi, czym się pan zajmuje?
– Ach tak, rozumiem. Uczę w szkole, w Connecticut.
– Uczy pan? To znaczy, że nie jest pan aktorem?

Wykonałem słynny głęboki wdech i założyłem nogę na nogę. Między mankietem spodni a czarną skarpetką ukazał się kawałek włochatej nogi, więc zasłoniłem go ręką. Spróbowałem obrócić jej pytanie w żart.

– Ha, ha, nie, dziękuję. Jeden aktor w rodzinie w zupełności wystarczy.
– Tak jest, genug. Jestem tego samego zdania. Nigdy nie mogłabym zostać pisarką.

Patrzyła na mnie z niewzruszonym spokojem. Znów zapanowało między nami to bezsłowne, intymne porozumienie. A może tak mi się tylko zdawało? Pociągnąłem przypadkiem za sznurówkę i rozwiązałem but. Kiedy zawiązywałem go na nowo, Anna odezwała się:

– Którą z książek ojca lubi pan najbardziej?
– „Krainę Chichów".
– A dlaczego?

Podniosła z końca stołu jajowaty szklany przycisk do papieru i turlała go z ręki do ręki.

– Bo nikt inny nie zbliżył się tak bardzo do mojego świata. – Rozprostowałem nogi i wychyliłem się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Czytanie książki jest, przynajmniej dla mnie, jak podróż po świecie drugiego człowieka. Jeżeli książka jest dobra, czytelnik czuje się w niej jak u siebie, a jednocześnie intryguje go, co mu się tam przydarzy, co znajdzie za następnym zakrętem. A jeżeli książka jest marna, przypomina przeprawę przez Secaucus w New Jersey: cała okolica cuchnie i człowiek żałuje, że w nią w ogóle zabrnął, ale skoro już tak się stało, zamyka okna i oddycha ustami, żeby jakoś dotrwać do końca.

Roześmiała się i pochyliła, żeby pogłaskać Pancię, która złożyła kanciasty łeb na jej stopie.

– Czy to znaczy, że każdą książkę czyta pan do końca?
– Tak, przyznaję, że to okropna wada. Nawet jeżeli jest to najgorsza szmira, kiedy już raz zacznę czytać, tkwię na haczyku, aż dobrnę do końca.
– To bardzo interesujące: mój ojciec był taki sam. Skoro już się za coś wziął – choćby i za książkę telefoniczną – musiał to doczytać do żałosnego końca.

– Czy to nie na tej podstawie zrobili ten fantastyczny film?
– Na podstawie czego?
– Książki telefonicznej.

Jeszcze nie skończyłem mówić, a już wiedziałem, że dowcip jest marny. Anna nawet nie wysiliła się na uśmiech. Przestraszyłem się, że może oceniać ewentualnych biografów na podstawie poczucia humoru.

– Przeproszę was na chwilę. Muszę zerknąć, co tam z kolacją.

Cały pokój zostawiła do dyspozycji mnie i Saxony. Pancia przelotnie spojrzała w górę i zamerdała ogonem, ale nie ruszyła się z miejsca na podłodze. Natychmiast poderwałem się z fotela i zacząłem buszować. France, a może ktoś inny z domowników, wyraźnie lubił biografie i autobiografie: było ich na półkach całe mnóstwo, z pozaginanymi stronicami i zaznaczonymi ustępami. Zestaw był dość niezwykły: „Magiczny Dywan" Richarda Halliburtona, notatniki Maxa Frischa (po niemiecku), Aleister Crowley, „Spotkania z Niezwykłymi Ludźmi" Gurdijewa, pamiętniki francuskiego księdza, który walczył w podziemiu podczas drugiej wojny światowej, „Mein Kampf" (po niemiecku), notatniki Leonarda da Vinci, „Troje na Szczoteczce do zębów" Jacka Paara.

Kartonowe pudełko po butach z napisem „Buster Brown" na bocznej ściance, zawierało zbiór starych pocztówek. Przeglądając je, stwierdziłem, że większość przedstawia fotografie europejskich stacji kolejowych. Spojrzałem na odwrotną stronę kartki z wiedeńskim Westbahnhofem i zadrżałem na widok podpisu pod tekstem: „Izaak". Data – 1933. Nie umiałem po niemiecku, ale bardzo mnie kusiło zwędzić pocztówkę i przesłać ją Dawidowi Louisowi do Nowego Jorku z dopiskiem: *„Szanowny Panie Louis. Może zainteresuje Pana pocztówka, którą przysłał Marshallowi France jego nie istniejący brat, Izaak.*

– Kolacja na stole! Chodźcie jeść, zanim wszystko wystygnie!

Dopiero na widok wielkich dymiących półmisków z pieczonym kurczakiem, groszkiem i tłuczonymi ziemniakami, uświadomiłem sobie, jaki jestem głodny.

– Ponieważ jest to wasza pierwsza wizyta w tym domu, postanowiłam podać ulubiony posiłek ojca. Pieklił się, jeżeli przynajmniej raz w tygodniu nie było go na stole, a gdyby mógł o tym decydować, jadałby to codziennie. Proszę, siadajcie.

Stół był nieduży, owalny, leżały na nim trzy plecione maty pod talerze. Usiadłem po prawej ręce Anny, Saxony po lewej. Jedzenie pachniało tak fantastycznie, że można było zwariować. Anna nakładała na talerze. Na moim wylądowały dwa tłuste udka, góra groszku i ciężka, żółta chmura puree. Już miałem się oblizać i ruszyć do natarcia, kiedy mój wzrok padł na nóż i widelec, które trzymałem w rękach.

– O rany!

Anna obejrzała się na mnie, a widząc, o co chodzi, uśmiechnęła się.

– Ciekawa byłam, kiedy nastąpi reakcja. Niesamowite, prawda? Też należały do ojca. Robił je na zamówienie, u jubilera w Nowym Jorku.

Mój widelec miał postać srebrnego błazna, z głową odrzuconą do tyłu i zębami widelca wychodzącymi z otwartych ust. Nóż był ręką o podłużnych muskułach, ściskającą coś w rodzaju łopatki, czy rakietki. Nie pingpongowej, raczej zbliżonej do przyrządu, którym łoi się dzieci w angielskich szkołach prywatnych. Saxony podniosła pod światło swoje sztućce, inne niż moje. Jej widelec był wiedźmą na miotle: miotłą były zęby, trzonkiem miotły – uchwyt widelca.

– Niewiarygodne!
– Jest ich komplet, na sześć osób. Resztę pokażę wam po kolacji.

Przełknąłem pierwszy kęs i już wiedziałem, że będzie to długi i mozolny posiłek. Ciekawe, dlaczego niebiosa skazały mnie na jedzenie obrzydliwości z rąk interesujących kobiet?

W połowie kawy, na którą wprost brak mi słów, Anna założyła serwetkę i rozgadała się na temat France'a. Chwilami brała do ręki swój widelec i przesuwała go między palcami, jakby ćwiczyła sztuki prestidigitatorskie. Prawie cały czas patrzyła sobie na ręce, chociaż momentami robiła pauzę i wtedy kierowała wzrok na któreś z nas, jakby na podstawie naszych min chciała się przekonać, czy rozumiemy, co do nas mówi.

– Ojciec przepadał za Galen. Rodzice wysłali go do Ameryki przed wojną, ponieważ byli Żydami i

10... 9... 8...

Powoli, powoli zmierzamy do rozstrzygnięcia finału Drugiego (nieustającego) Konkursu „Fantastyki" na opowiadanie science fiction.

Znacie Państwo kilkunastu już kandydatów do pierwszej nagrody. Przypomnijmy ich nazwiska: Dyszlewski, Maszczyszyn, Meszko, Opat, Podgórski, Sapkowski, Suliga... Za miesiąc przedstawimy Państwu znakomite opowiadanie Huberatha. Może, w ostatniej chwili, wydobędziemy jeszcze jakąś bryłkę kruszcu spod lawiny liści i popiołów?

Pierwsze spostrzeżenie tuż przed metą: W Konkursie I najlepszymi okazali się głównie młodzi nieznani autorzy, oferujący nam nowe, ciekawe pomysły i nieokiełznany krzyk nagiej duszy. Konkurs II wypadnie wstępnie ocenić jako tryumf kompetencji i profesjonalnej zręczności.

Mamy tu paru autorów znanych z opowiadań opublikowanych w innych miejscach (określanych czasem jako nadzieje polskiej SF już w latach siedemdziesiątych), jest paru dziennikarzy, eseistów, jest pracownik uniwersytetu. Fantastyka zatacza coraz szersze kręgi.

Dziś proponujemy Państwu opowiadanie warszawskiego dziennikarza, ALEKSANDRA BUKOWIECKIEGO. Gdyby przyszło nam oceniać jego gatunkową przynależność, powiedzielibyśmy chyba – groteska fantomatyczno-erotyczna z akcentami kryminału w stylu retro. Wszystkich Państwa, których zbulwersuje temat wybrany przez autora i demonstrowana przezeń odwaga lub wręcz zuchwałość obyczajowa, prosimy o zwrócenie uwagi na warsztatową biegłość, z jaką autor kojarzy wszystkie plany i wątki. Tekst p. Bukowieckiego odleżał się w redakcji ponad rok; chyba wystarczy. Drukujemy go w gorącym, wakacyjnym okresie z dumą, radością i... jednak drżeniem; jest to bowiem fantastyka, wymagająca nie tylko „zawieszenia niewiary", lecz także „wyrzeczenia się pruderii". Na pewno stać Państwa na to.

Wesołej lektury! **(mp)**

Aleksander Bukowiecki

Sensorita & Ferty

Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki"

– No i masz – powiedziała cicho Sensorita, gdy gość stanął na progu, mając w tle iskrzące rubinowo w świetle zawieszonej nad drzwiami czerwonej latarni przecinki padającego deszczu.

– Cóż – odrzekła Ferty.

Ferty lubiła studenta Makrę za Poezję, radcę Novaka za Sztuczki, privatdocenta Sibeliusa za To, a porucznika Lonta za Nic. Tak właśnie: za Nic, za niereprezentowanie żadnej z wyrafinowanych czy też brutalnych szkół. Porucznik czarnych huzarów Lont przychodził, by wyjść po trzech minutach – tak samo idealnie zapięty i szamerowany jak przedtem. Nawet wąsa nie podkręcał. Ćmił tylko, schodząc po schodach, swoje cygaro, które w trakcie odkładał na chwilę na brzeg popielniczki (musiała być zawsze pod ręką) i które przez ten czas nigdy nie zdążyło więcej jak centymetr swej długości przetworzyć się w popiół. Jego właściciel spalał się znacznie szybciej, lecz Ferty bynajmniej to nie przeszkadzało. Na dole porucznik wypijał na stojąco jeden mały koniak z wisienką, regulował rachunek przy kasie, za którą królowała Mamcia i – znikał. Sensority nie odwiedzał nigdy. Ferty coś o tym słyszała, dlaczego. Podobno kiedyś bawił u niej, a Sensorita – jak to ona – pomysłowa w zmysłowości i zmysłowa w pomysłowości, próbowała stosować jakieś Gry, jakieś Przedłużania, posunęła się nawet do Delikatnego Oporu, Przekomarzań, ba – usiłowała zachęcić gościa do nieprzystojnej Gonitwy po ciasnym pokoiku, a to znów nie chciała odpiąć podwiązki i tak dalej. Zrobiła się z tego straszna awantura, mógłby nawet pożar wybuchnąć, bo Lont, wściekły jak sam generał w czasie nieudanej inspekcji, zbiegł z hurmem po schodach, Sensorita w rozkosznym dezabilu (gorset wpół rozsznurowany, podwiązki wpół odpięte, falbanki rozszczebiotane) za nim aż na ulicę, w cicho padający śnieg, ale on odjechał fiakrem co szkapa wyskoczy, za Sensoritą, zza kontuaru kasy wyfrunęła Mamcia, gubiąc lorgnon – a wszyscy zapomnieli o tlącym się cygarze w pokoju, strąconym na podłogę wskutek nieostrożnych i zgoła niepotrzebnych – powiedziała później Mamcia, podnosząc z podłogi szkła rozdeptane przez kogoś na proszek – harców tej latawicy. Tak to było.

Tylko Alec śmiał się potem serdecznie, klepiąc się po udach i wołając:

– No, to się przynajmniej udało! Mocna scena, co? Ten śnieg za drzwiami, studzący namiętności. Oddalające się latarnie dorożki i tak dalej. Dobre! Przynajmniej się nie nudziłyście.

A nudziły się często, istotnie. Alec, wesoły i pełen fantazji zajmował się jednak nimi rzadko, coraz rzadziej. Sensorita nieraz oświadczała ostentacyjnie, że ma go w nosie. Lecz bardziej uczuciowa i tęskliwa Ferty, mając już w końcu dosyć studenta, privatdocenta, radcy i ich wszystkich z ich wszystkimi raz na zawsze ustalonymi cechami, a już zwłaszcza doktora Umara, siadała, by napisać list. Sensorita towarzyszyła jej wtedy milcząco, z nadąsaną miną, czasem w zamyśleniu ruchem dłoni unosząc swe rozpuszczone włosy, to znów drażniąc leciutko palcami koniuszki swych uniesionych gorsetem piersi (bez jakiegokolwiek, choćby własnego, dotyku nie umiała bowiem wytrzymać długo ani nawet krótko). Lecz tak na dobrą sprawę nie miała nic przeciwko wysłaniu listu i czasem nawet, zwracając się przed wielkim lustrem to w lewo, to w prawo, podpowiadała gorącym szeptem jakieś szczególnie grzeczne zdanie.

Mimo duserów i przymilań, nieubłagany Alec odpisywał jednak na ogół (jeśli w ogóle raczył odpisać) paroma zdaniami w rodzaju: wybaczcie, kochaniątka, ale nie mam czasu, bawcie się na razie we własnym gronie, to dla Was dobry trening, zjawię się, gdy będę mógł.

– Najgorzej być niewolnicą jednego! – zżymała się wtedy Sensorita, powolutku wsuwając smukłe palce za pończochę. – Ogólnodostępne na pewno mają lepiej. Ciągła odmiana, coś się dzieje i w ogóle.

Ferty zbliżała się wtedy do niej swym powolnym krokiem, wprawiającym jej ciało w rodzaj tańca „muchy w miodzie", jak się kiedyś wyraził z aprobatą Alec, dotykała karku Sensority tam, gdzie zaczynają rosnąć włosy i obserwowała, przekrzywiając głowę, jak na ciele koleżanki pojawia się gęsia skórka, oznaka elektryzującego dreszczyku. Ferty nie była lesbijką, ale chciała pocieszyć pannę Dotykalską, mającą nawyki wprost przeciwne do legionu Niedotykalskich, jakie każdy musiał poznać w swym życiu.

– My też mamy odmianę – mówiła, schodząc ręką niżej. – Ten Makra...

– Makra, Makra! – prychała Sensorita, zwracając się do Ferty przodem, przez co w sposób naturalny, a zarazem niewymuszony dłoń tamtej błądząca dotąd po jej plecach trafiała między jej piersi. – Makra jest taki jak my. Tylko Alec jest prawdziwy chłop. Dawać mi chłopa!

Jednak wbrew temu zawołaniu przyjmowała, zdarzało się, od Ferty wszystko, czego jej tamta w dobroci serca gotowa była zawsze użyczyć i nieraz potem nieźle się spłakały, leżąc na wielkim łożu, pod drugim wielkim zwierciadłem, przymocowanym, jak Alec przykazał, do sufitu.

I oto niedawno zdarzyło się, że ich kapryśny pan i władca, na kolejny rzewny list podpisany „Zawsze twoje: Sensorita i Ferty", odpowiedział wyjątkowo uprzejmie, że wprawdzie sam znów („jakże mi przykro") nie może się zjawić, lecz pozwoli sobie przysłać swego najlepszego przyjaciela i prosi, żeby kochanięta przyjęły go jak jego samego, albo jeszcze lepiej. „Chłopak jest trochę nieśmiały i początkowo może się Wam wydawać sztywny, ale wierzę, że potraficie go rozruszać i rozpalić do czerwoności" – pisał. „Nie żałujcie mu niczego, czegoście się nauczyły pod moim światłym kierownictwem, a spełnicie dobry uczynek..."

Dobry uczynek! Przedmiot tak postulowanego samarytanizmu stał wciąż w drzwiach i jakoś wyjątkowo niezgrabnie otrząsał się czy też wyżymał z deszczu.

– Rzeczywiście sztywny – mruknęła Sensorita. – Jak kot, który kij połknął.

Może to porównanie nasunęły jej niewielkie, ciemnozielone szkła dziwnych okularów gościa. W taką pogodę w ciemnych okularach? Czy to ślepiec? Chociaż... ze ślepcem może być nawet ciekawie – pomyślała. Ale dziwne: ta myśl nie wywołała, jak zwykle gdy Sensorita oczekiwała jakiejś nowości, żadnego dreszczyku, ani śladu gęsiej skórki na jej karku. Gość na pewno nie był tutejszy. Ale czy był STAMTĄD? Nie przypominał Makry, Novaka, nawet Sibeliusa. Lecz i od Aleca czymś się różnił, czymś nieuchwytnym i chłodnym jak śnieg, w który owinął się niegdyś, wraz z fiakrem i swoją urazą zapalny porucznik Lont. Sensoritę przejął dreszcz, ale lodowaty.

Lecz wyposażona w naturę bardziej otwartą Ferty już płynęła taneczno-posuwistym krokiem, by gościa ośmielić i zaprosić do środka. Było tak, jak kiedyś napisał Alec w poświęconej im fraszce:

Ferty kusi, zaprasza, ucieka
Sensorita obserwuje i czeka.

– List do pana. Znów.

Na podsuniętej tacy leżał wydruk pełen gorących zaproszeń. Znany pisarz, porucznik rezerwy (choć nie czarnych huzarów, lecz tak zwanych Patroli), doktor (już nie student, ale i nie docent) fantomistyki, Alec Sander uniósł się na tapczanie, wyjął z ust Nieszkodliwe Cygaro (które szkodziłoby jeszcze mniej, gdyby miało jakiś smak) i wziął do ręki szeleszczący papier.

– Co to znaczy „znów"? – zapytał ciskając go do kosza, a raczej obok. Nigdy nie trafiał.

– Chciałem tylko powiedzieć, że często dostaje pan listy od tych... tam...

– Czytasz moją korespondencję, Wash?

– Trudno nie czytać. Nawet gdybym nie patrzył na to, co wychodzi z drukarki, to przecież to samo wyświetla jednocześnie monitor.

– No, dobrze. A powiedz: nie chciałbyś to zajrzeć kiedyś, jak ty to mówisz, t a m, do, jak je nazywasz, t y c h ?

Oczy Washa zaczęły iskrzyć chłodnym blaskiem.

– O tak, o tak. Przyznam, że zawsze... Tylko... czy ja bym wiedział, co tam... robić?

– Spokojna głowa. Już o n e cię nauczą. To będzie kawał! Przynieś mi jeszcze jedną kawę i podyktuję ci odpowiedź.

– I znajdę się t a m ?

– A bo ja wiem? Spróbujemy. Obiecuję ci. Ale pod warunkiem, że jeszcze przedtem wymanisz dla mnie s z k o d l i w e Cygaro. Tylko nie z fantokiosku! Znam się na tym.

I Alec przeciągnął się, aż zakołysał się pod nim wodny materac.

– Czy to możliwe, żeby Wash się w ł ą c z y ł ? – pytał siebie. – Zobaczymy. Zobaczymy.

Cudowny, powolny taniec umysłu – w rytmie tańca ciał. Sen. Przebudzenie. Sen. Lśnienia. Cienie. Śnieg. Wysoko. Wysoko. Błękit. Czysty, jasny, płynny, prześwietlony jak woda. Góry. Nie, fale. Białe grzywacze. Płynęli motorówką, podrzucani rytmicznym pulsowaniem żywiołu krojąc dziobem pianę. Skąd tu motorówka? I – co to jest motorówka? Kładła się na burty, robiąc slalom wśród nasturcjowych boi, a igła kompasu wahała się gwałtownie tam i sam. Skrzydła u ramion, lekkie, nieruchome i lot nad górami. Między śniegiem i błękitem. Motorówka ponad chłodnymi wzgórzami fal ciągnąca lotnię. Ale co to jest lotnia? Coś lotnego. Bardzo lotnego. Tak. Oczywiście. Oczywiście. O, tak! Tak właśnie. Teraz łódź podwodna. Opada w zieloną głębinę. Zaglądają ryby. Tak zwane welony. Muśliny. Woalki. Falujące (jeszcze) woalki. Opadające woalki. Ciii.

Ferty otworzyła oczy. Odkrycie pochylonej nad nią nieruchomej twarzy z oczyma wciąż przesłoniętymi okularami było pewnym szokiem. Ale przecież... Jeszcze przed chwilą...

A zaczynało się źle. „Pan z deszczu" – jak go nazywały – nie chciał nic pić, nie był rozmowny, siedział na brzeżku krzesła, patrząc nieruchomo w sobie znane dale poprzez te ciemne okulary. Wstrząsnął gwałtownie głową, gdy Sensorita, niby to w żartach, chciała mu je porwać z nosa i ścisnął ją za rękę tak mocno, że przez długą chwilę miała czerwoną pręgę wokół przegubu.

– Drugi Lont – mruknęła wściekła.

– Na pewno nie – odszepnęła Ferty. – Jak panu na imię? – zwróciła się do gościa. – Bo nie wiemy, jak się do pana zwracać – dodała, jakby chcąc usprawiedliwić przedwczesną poufałość. I chociaż siedziała, wykonała górną połową ciała ów posuwisto-płynny ruch, tak charakterystyczny dla jej chodu. Alec mawiał, że Ferty pyta piersiami.

– Wash – odpowiedział zagadnięty krótko.

– Pan, zdaje się, jest przyjacielem Aleca?

– Powiedzmy – uciął.

Ach, jak opornie z nim szło. Urażona Sensorita nie pomagała nic a nic. A jednak Ferty się udało. Leżała teraz ciepła i nasycona, ze zdumieniem kołysząc wyobraźnię niejasnymi wspomnieniami przedziwnych przedmiotów, które jawiły się jej w zapamiętaniu.

Drzwi otworzyły się. Weszła Sensorita.

– Teraz ja! – powiedziała zdecydowanie i wskoczyła do szerokiego łóżka. Ferty była pewna, że podglądała ich przez fałszywe lustro w ścianie. Piersi Sensority były już uwolnione z gorsetu i wyraźnie podrażnione. Ferty, w dziwnym odruchu, chciała zasłonić gościa przed niecierpliwością koleżanki. Ale Wash obrócił się leniwie ku nowej przygodzie.

– Świnia! – krzyknęła Ferty i zerwała się, by opuścić towarzystwo.

Zatrzymał ją. Siłą, która jednak nie musiała być długo stosowana. Rozpoczął się szaleńczy wyścig dwóch motorówek ze skaczącym delfinem.

– Nie Sensa, nie! Mówię ci, że już nie – Ferty spychała oszalałą Sensoritę ze znieruchomiałego od pewnego czasu ciała Washa. – Jemu coś jest, mówię ci.

– Był niegrzeczny i teraz dam mu za to – wychrypiała Sensorita, nie reagując na błagania koleżanki. Ferty usi-

łowała odwrócić jej uwagę, muskając ustami jej kark, potem chwytając ją od tyłu za piersi, z których ręce Washa już dość dawno zsunęły się bezwładnie. Ale to zdawało się jeszcze bardziej rozpalać Sensoritę. Niesamowite przy tym było to, że męskość Washa nadal mogła brać udział w grze, może biernie, lecz nie utraciwszy nic ze swoich zdumiewających walorów. Ferty doprawdy nie wiedziała, co sądzić o tym przypadku. Z rozpaczy wpiła się zębami w obojczyk Sensority. Ta, dźgnięta bólem, przesunęła się na chwilę do przodu, uwalniając tym samym Washa ze swego najintymniejszego uścisku. Ferty, przerażona i zdumiona sama sobą, skorzystała natychmiast z okazji, by wskoczyć w rolę amazonki. Ale już Sensorita, napierając plecami i pośladkami, odpychała ją ponownie w tył, by znów przejąć prowadzenie. Od tej chwili, walcząc bez przerwy, jakby od tego miało zależeć ich życie, na przemian znajdowały w sobie miejsce dla niego, a Wash przyjmował tę burzę, leżąc nieruchomo, wpatrzony w sufit zielonymi szkłami okularów i nie wiadomo, czy to go w ogóle cokolwiek obchodziło. Sensorita krzyknęła pierwsza, tak ostro i przejmująco, że omal nie pękła lustrzana tafla nad ich głowami i natychmiast zeskoczyła z Washa, robiąc tym samym miejsce Ferty. Ta zmieniła ją natychmiast, mimo że półświadomie zauważyła, jak Sensorita wije się na prześcieradle , trzymając dłonie między udami. Lecz zawsze przecież uważano, że Sensa wszystko przeżywa mocniej i w ogóle jest skłonna do przesady, więc... Ból był jednak straszny. W skaczącą po falach motorówkę, od spodu, z dna oceanu, uderzył chyba piorun. Za chwilę skręcała się na łóżku zupełnie tak samo jak Sensorita, tyle że po drugiej stronie Washa. Po chwili jednak uspokoiły się, spojrzały na siebie ponad wciąż nieruchomym ciałem i powiedziały niemal równocześnie:

– On kopie prądem!

Jak na komendę zaczęły okładać Washa pięściami. Nie reagował. Sensorita wpiła mu paznokcie w skórę i rozorała pierś. Krew zabarwiła jej paznokcie, ale dziewczyna darła i szarpała dalej. Powoli spod warstwy skóry odsłaniało się jedno z żeber. Błysnęło szlachetnym metalowym stopem. Sensorita zawyła i zerwała się z łóżka. Włosy stanęły jej na głowie.

– Co to jest? – wyszeptała Ferty.

– Robot.

W drzwiach stał Alec i uśmiechał się.

– Robot? Co to takiego? Robotnik?

– Coś w tym rodzaju. Ale sztuczny. Zrobiony.

– To my jesteśmy zrobione!

– Inaczej. Ten jest właściwie pralką automatyczną. Bardzo udoskonaloną. Może nawet za bardzo. Ale, widzę, daływcie mu radę. No, no!

Sensorita i Ferty, jeszcze roztrzęsione, piły wzmacniający cocktail Mamci, składający się z koniaku, żółtek i cukru. Alec zadowolił się samym koniakiem.

– Umar – rzekł doktor Umar, zszedłszy z góry.

Alec machnął ręką. Wątpił w kompetencje doktora do stwierdzenia „zgonu" w tym akurat przypadku, lecz co do samego faktu raczej nie było wątpliwości.

– Widzicie – tłumaczył, nalewając koniaku doktorowi. – W swoim czasie w moim świecie zaczęto produkować automatyczne maszyny do prania, które z czasem coraz bardziej udoskonalano, rozszerzając ich zakres działania o coraz to nowe funkcje i wreszcie upodobniając je do ludzi. W ten sposób powstały rozwinięte istoty biocybernetyczne, na ogół pracujące w charakterze służby domowej. Imię Wash nie jest zbyt oryginalne, nazwałem go tak od „washing machine". Przynosił mi często listy od was, w formie wydruków, bo nie zawsze chciało mi się podejść do sygnalizującego wasze uaktywnienie się telexera. Dyktowałem mu też odpowiedzi dla was, zamiast samemu wystukać je na klawiaturze. To i owo sam mu powiedziałem i nabrał ochoty, żeby was odwiedzić. Nie miałem pojęcia, czy uda się podłączyć sztuczny mózg do fantomatu. Nie wiedziałem też, czy on jest wyposażony w libido. Są różne modele, ale jakoś nigdy nie rozmawialiśmy o tym. Robiono nawet takie specjalne, dla starszych pań, rozumiecie... No, ale nie dla młodszych. Przy zetknięciu z wami musiało nastąpić jakieś zwarcie. Bo chyba nie od deszczu, który mu zaprogramowałem dla kawału. Bał się wody, jak najprymitywniejszy „blaszak" ze starych dowcipów rysunkowych. Tam, u nas, patrzyłem jak leżał z założonymi elektrodami i w pewnym momencie zaczął iskrzyć. Ciekawe, że odczułyście to jako ból. Zwarcie musiało jakoś zakłócić pole waszego komputera sterującego. No, nie miejcie mi za złe. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. I w końcu to ja straciłem pralkę, a zarazem lokaja, sekretarza i co jeszcze chcecie.

Sensorita dyskretnie trzymała się za brzuch. Ferty zerkała na nią. Nie położyła sobie ręki na brzuchu, ale czuła chyba to samo. Jakiś niepokój. Jakieś drobniutkie poruszenie. Jakby obracało się w niej tysiące maleńkich trybików.

– To ja już pójdę – Alec odstawił kieliszek. – Dziś chyba nie macie ochoty.

Zgodnie pokręciły głowami.

Wróciwszy do rzeczywistości, Alec stwierdził brak Washa. Powinien leżeć tu, przy „wejściu" do fantomatu, uszkodzony, nieruchomy, może istotnie martwy, tak jak go zostawił, zerwawszy mu elektrody z głowy i założywszy sobie. Nie było go jednak. Ani tu, ani w całym domu. Alec najchętniej wróciłby w tamten świat natychmiast i próbował coś wyjaśnić, ale teraz nie miał czasu. Musiał zaprogramować fantomatyczne scenariusze dla paru klientów. Z przykrością stwierdził, że ludzie z reguły zamawiają fantoplaye w identycznym nastroju, w jakim był on sam, kiedy programował sobie Sensoritę i Ferty. Jest to nastrój, mówiąc krótko, rui i porubstwa. Zaczynało mu już brakować fantazji, a nie mógł się powielać. Wystarczy, że dwóch klientów przypadkowo opowie sobie nawzajem to i owo przy Nieszkodliwym Piwie. Jeszcze zaczęto by mówić, że kończy się jako pisarz!

Rad nie rad zasiadł więc do maszyny i ssąc cygaro (oczywiście Nieszkodliwe świństwo, do diabła z tym Washem) zaczął wystukiwać panią Stenię. Pani Stenia ważyła 90 kilo, piersi miała duże, oczy nie za wielkie, na całym ciele była rozkosznie piegowata i prawie nigdy – nawet przechadzając się nago po pokoju – nie rozstawała się z zarzuconym na ramiona srebrnym lisem. Podobnie jak nie zzuwała pantofli na wysokim obcasie, co wprawdzie czyniło jej chód nieco kaczkowatym, lecz taki właśnie chód należycie rozkołysywał jej nakrapiane melony. W lasach za to lubiła siadywać w białym staniku od bielizny i dużym słomkowym kapeluszu. Na chwilę przydał jej Alec męża, chudzielca z czarnym wąsikiem, pozornie niepozornego, lecz zadziornego i zazdrosnego, ale po jakimś czasie cofnął taśmę i skasował go. Niestety, klient, jak prawie każdy, nie znosił zbędnych komplikacji. Zresztą i co do siebie, Alec musiał przyznać, że wszystkie te Lonty, Makry i Sibeliusy są tylko po to, żeby prądy w fantokomputerze nie „zastały się" i żeby utrzymywać Sensoritę i Ferty w niecierpliwej gotowości. Zadbał przecież o to, żeby na jego widok zawsze chyłkiem, jeden po drugim, opuszczali dom Mamci. Jakaś na przykład strzelanina z zapalnym Lontem absolutnie mu nie odpowiadała, choćby wiedział nie wiem jak dobrze, że kule nie mogą mu uczynić najmniejszej krzywdy. Różne niespodzianki były dobre w opowieściach dziewcząt ale nie powinny się zdarzać podczas seansu z nim samym.

A jednak czekała go niespodzianka – i to dość przykra.

Wysiadając z dorożki przed domem z czerwoną latarnią, sięgnął jak zwykle do kieszeni i... tym razem nie znalazł zawsze tam znajdowanej monety dla woźnicy. Wzruszył ramionami i nie oglądając się, poszedł ku drzwiom. W końcu nie musiał płacić jakiemuś tam fantomowi i tak zresztą fantomowymi pieniędzmi. Ale nie należy – wiedział o tym – łamać reguł zabawy, gdyż wtedy przestaje ona być zabawą. Spojrzał dopiero, gdy fiakier odjechał już dość daleko. Zwolnił przed skrzyżowaniem z najbliższą przecznicą i we mgle ukazały się dwie rubinowe, puchate kule rozjarzone nagle z tyłu pojazdu.

– Do diabła, co ten komputer wyprawia? Przecież bryczki nie mają świateł „stop"!

Teraz dopiero uświadomił sobie, że właściwie podczas jazdy nie zauważył konia! Była co prawda mgła, nie zwracał też na to uwagi, a w schowku pod kozłem znalazł jak zwykle małą buteleczkę „Fiakerwein" i nią się

zajął, ale teraz to wszystko dało mu do myślenia. czyżby w tym świecie, w czasie tak krótkiej jego nieobecności dokonał się jakiś postęp? Czyżby jechał bryczką nie zwykłą, lecz motorową, protoplastą samochodu? Co prawda na to jazda odbywała się zbyt cicho, bo pierwsze silniki spalinowe były na pewno piekielnie głośne. Lecz zaraz przypomniał sobie, że bardzo często w pionierskim okresie motoryzacji stosowano również znacznie cichsze silniki elektryczne i już zupełnie bezszmerowe – parowe. Światła „stop" jednak, o ile wiedział, wynaleziono znacznie później. Jedno z drugim więc się nie zgadzało. W końcu jednak złożył wszystko na karb komputera, który widocznie w sposób losowy – jak powinien był od czasu do czasu robić, dla zapobieżenia nudzie – włączył program „Niespodzianka", lecz zapewne pomylił kilka elementów wyszukanych w pamięciach i dlatego uczynił odnowioną fantorzeczywistość nieco niezborną. Na pewno tyleż niekonsekwencji, i to od początku, zawierała także tutejsza architektura, nie mówiąc już o strojach kobiecych czy umundurowaniu czarnych huzarów. Lecz Alec nie za bardzo się na tym wszystkim znał, toteż nie zauważył po prostu błędów i anachronizmów. Jak dotąd nie miewał również reklamacji od klientów, wcale często zamawiających a to fin de siècle, a to XVIII wiek jako tło swych fantoromansów. Czasem Alec działał zresztą świadomie. Z osiemnastowiecznego Wersalu i podobnych siedzib na przykład zawsze usuwał ich ówczesny brud i smród, wysilał umysł, żeby zaprojektować dla nich łazienki i toalety niby to „w stylu", choć w rzeczywistości o wc ówcześni ludzie nawet nie śnili.

Dotychczas więc niespodzianki – jeśli pominąć monetę – były zastanawiające, ale nie przykre i w końcu wytłumaczalne. Przykra czekała go wewnątrz domu Mamci. Mamcia wydała mu się dziwnie zmieniona, a przede wszystkim wraz z nią urzędował jakiś ponury wykidajło, cerber, patrzący na Aleca podejrzliwie. Alec nie przypominał sobie, żeby „kazał" kogoś takiego zatrudnić. Komputer szedł chyba trochę za daleko w rozwijaniu programu „Niespodzianka!" Alec mógł natychmiast wrócić do rzeczywistości i „przykręcić mu śruby", lecz rzeczywiście zaczęło go to wszystko trochę bawić (choć cały czas czuł dreszcz pewnego niepokoju) i z ciekawości zapytał o Sensoritę i Ferty.

Maman skrzywiła się. Z francuskim akcentem, jakiego dotychczas dalibóg nie stosowała, odrzekła wyniośle:
– Wzięło je. Obie dostały bóli, najpierw Seriorita, potem Fetty i doktor Zmar musiał je zabrać do szpitala.

Alec wyszedł zły, dodatkowo jeszcze przez to, że dwóch nieznanych mu osobników, wyglądających jak student i wojskowy (ale raczej nie od czarnych huzarów) bynajmniej nie opuściło lokalu na jego widok. Przez cały czas jego rozmowy z Maman nie podnieśli nawet głów, pochłonięci partią przedziwnych szachów.

W szpitalu było nawet jasno i czysto, ale musiał tu panować tęgi bałagan, skoro doktor Zmar, czy jak go tam zwał, raczył się znaleźć dopiero po pół godzinie.
– Obie w ciąży – stwierdził bez ogródek na widok Aleca. Nie miał swej siwej bródki, a binokle w drucianej oprawie zamienił na okulary w rogowej.
– W ciąży!?
– I to jakiej! B i o – niech pan sobie wyobrazi – e l e k t r o n i c z n e j ! W ich brzuchach siedzą zawiązki cyborgów. Układy scalone, posklejane syntetycznym białkiem. Ten pański p r z y j a c i e l długo musiał czekać na taką okazję.

Alec usiadł, mimo braku zaproszenia ze strony doktora.
– Doktorze – powiedział. – Niech pan pomyśli spokojnie. Wie pan, bo nigdy tego przed wami nie ukrywałem, że wszyscy tu jesteście fantomami. Żyjecie tylko jako określone grupy elektronów w układach pewnego komputera. Żyjecie, kiedy tu jestem, a czasem także gdy mnie nie ma zabawiacie się ze sobą, co zresztą służy drożności połączeń i przygotowuje system na moje przyjęcie. Najczęściej jednak, jak myślę, pod moją nieobecność zapadacie się w nicość, by się zintegrować dopiero na sygnał mojego przybycia. Nie może żadna tutejsza dziewczyna n a p r a w d ę zajść w ciążę z nikim z naszej strony (człowiekiem czy robotem), choć można oczywiście taką komplikację zaprogramować. Lecz nikt tego nie zamówi, może pan być pewien. Pomijam już, że te automatyczne pralki, przy całym swoim wysokim zorganizowaniu, nie mogą w żaden sposób zapładniać ludzkich samic. A zatem w waszym świecie jest to podwójnie niemożliwe.
– W takim razie – zamyślił się doktor Zmar – sprawa co prawda nie istnieje „w rzeczywistości", jak wy to nazywacie, ale tu zaszła i coś z n a c z y . Nie znalazł pan Washa u siebie, co?
– Skąd pan wie?
– Ano mogę jakoś wiedzieć to, co pan wie. Fantomom to się zdarza. Te dziewczyny o d g a d u j ą c e każde życzenie, czyż to nie to samo? Ale wróćmy do sprawy. Czy zapłodnienie dziewcząt, powstanie w ich łonach mieszkańców robot-fantom nie oznacza w n i k n i ę c i a pańskiego Washa w najgłębsze struktury fantokomputera? Nie tylko tak się to objawia. Wie pan, jak wykryłem te ich ciąże? Roentgenem. Oczywiście nie stosowałbym go, gdybym wiedział, że są w odmiennym stanie. Roentgen może zaszkodzić. Lecz najważniejsze: skąd się tu w ogóle wziął? W okresie historii, w którym, hm, pan nas umieścił.

– Myśli pan, że j e g o wiedza techniczna wpływa na mnożenie się tych wynalazków tutaj? Nie miał wcale dużej wiedzy. Był skomplikowaną maszyną, ale nie potrafiłby siebie naprawić, nie mówiąc już o zaprojektowaniu.

– Sądzę raczej, że to sama jego s t r u k t u r a , wysoka technologia, za pomocą której został stworzony, stechnicyzowała nasz świat. I będzie go zapewne technicyzować nadal. On tu j e s t . Wśród nas, w nas, pomiędzy nami, w każdym przedmiocie, w każdym... słowie.
– Ależ tym, co pan, doktorze, mówi, on się w takim razie z d r a d z a !
– Może mu nie zależy? Cóż pan mu uczyni, nawet w i e d z ą c ?
– Wash, to ty do mnie mówisz? Wracaj do siebie, to znaczy do nas i...
– ...bądź moją pralką po wieki wieków, tak?

Doktor Zmar wstał. Jego zielone okulary nie pozwalały dojrzeć oczu. Wash wziął te okulary na „podróż" tutaj, gdyż oczy zawsze prędzej czy później zdradzą robota.
– Dziewczęta! – doktor klasnął w dłonie. – Seriorita, Fetty!

Wbiegły dwie pielęgniarki. Alec jakby je poznał, choć fartuszki i czepeczki potrafią bardzo, bardzo zmienić. Od razu wiedział, że Seriorita to ta poważna, z długim nosem, a ta tłuściutka, to Fetty.
– Ich stan nie wymaga żadnych szczególnych zabiegów, więc zatrudniłem je chwilowo jako pielęgniarki.

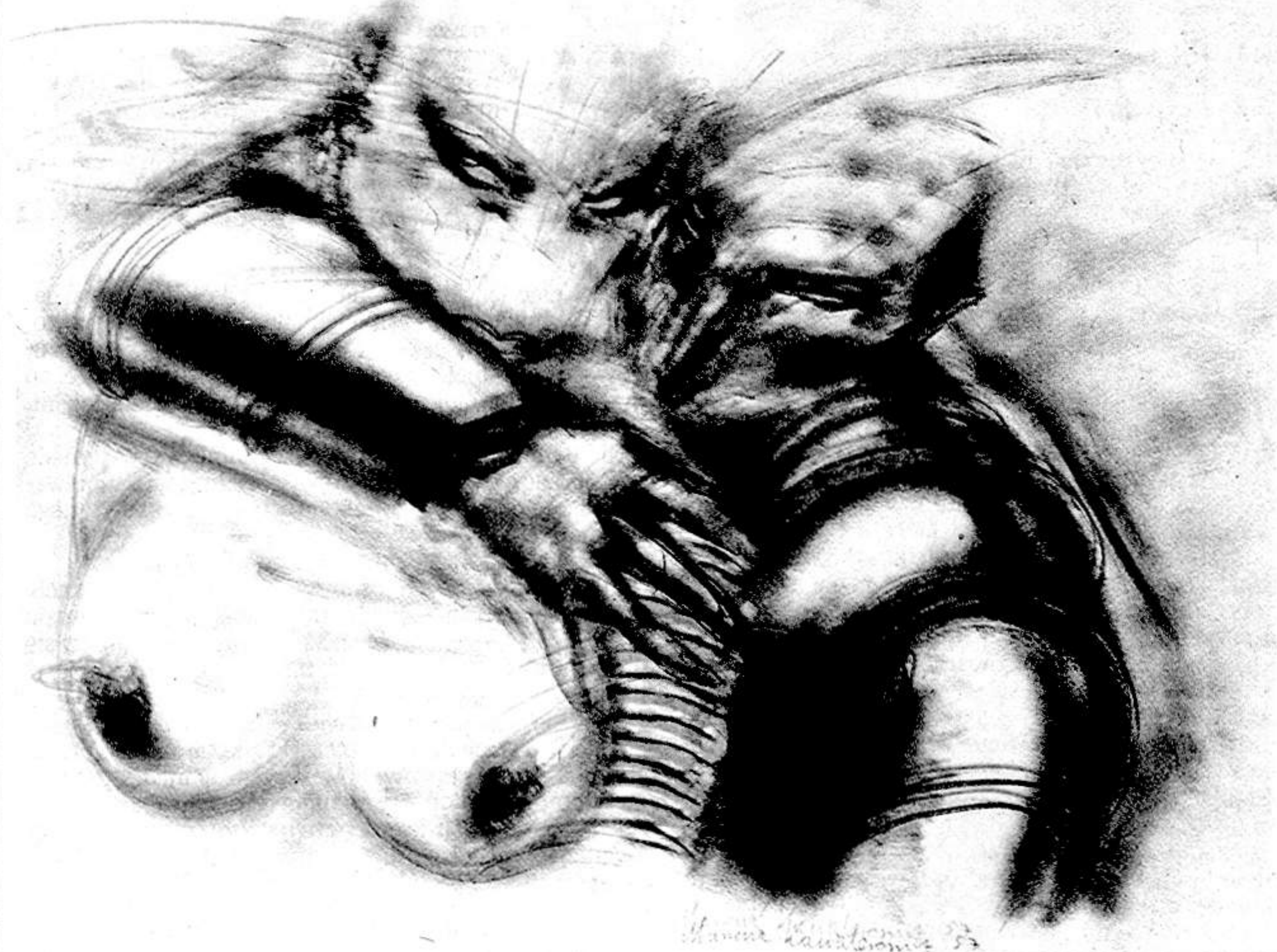
– Przepraszam, słyszałam trochę o czym panowie rozmawiali – powiedziała Seriorita przez nos, szykując strzykawkę z długą, cienką igłą. – I absolutnie nie zgadzam się z panami. Przecież to my j e s t e ś m y kobietami z krwi i kości, które posiadł podstępem robot nowej generacji, zdolny już do zapładniania „ludzkich samic", jak się pan wyraził. Żeby nas usidlić, omotać, robot ten wysłał jako forpocztę f a n t o m człowieka, to jest właśnie pana – wskazała końcem igły Aleca.
– Nie wolno kopiować istniejących ludzi – powiedział Alec.

– Ona nie mówi – Fetty zbliżała się powoli, swoim drobnym kroczkiem, jakby leciutko podskakując czy tańcząc – że pan został skopiowany. Ona mówi, że to pan jest fantomem.

Silne ręce doktora i Fetty przewróciły go na leżankę. Szarpał się. Seriorita uniosła strzykawkę. Na końcu igły zawisła kropla. Ktoś stanął u wezgłowia i ujął jego głowę w chłodne, dobre dłonie. Spojrzał w górę. Zobaczył nad sobą twarz pięknej dziewczyny o długich blond włosach. Znał ją, na pewno, lecz zapomniał jej imienia.

– Jak się nazywasz? – szepnął.
– Sharon, nie pamiętasz?

Pochyliła się, aby go pocałować. Nagle poczuł, że moneta, której nie miał dla przewoźnika, znalazła się pod jego językiem. Jej wargi dotknęły jego warg, mocniej, natarczywiej – i oto pieniążek, brzęknąwszy o zęby przeszedł z ust do ust. Jednocześnie poczuł ukłucie zastrzyku w ramieniu, a zaraz potem przyjemne kołysanie, jakby się włączył jego wodny materac, mający go obudzić, gdyby zbyt długo nie wracał. Ale teraz nie chciał wracać.



S&F

– Wiosłuj, Charon – powiedział.
– Zmar – rzekł doktor Zmar, odejmując słuchawkę od jego piersi.

To przecież było dziesięć lat temu! – kobieta przyglądała się im badawczo.
– Tak. Przypadek jeden na milion. Teraz dopiero znaleźliśmy jego czarną skrzynkę, która nawiasem mówiąc nie jest czarna, ale to już szczegóły. Powinna świecić, nadawać sygnały, lecz te systemy zostały uszkodzone. Natomiast sama wytrzymała upadek na Księżyc w roju meteorytów. Niedawno ją odgrzebano przy okazji budowy nowej bazy Patroli.

– To swoją drogą symboliczne – powiedział drugi mężczyzna poważnie. – Pani mąż służył właśnie w Patrolach.
– Wiem o tym – rzekła szorstko. – Dlatego zginął.
– Z większym prawdopodobieństwem, przepraszam, mógł zginąć na Ziemi, w jakimś wypadku...
– Ale zginął t a m . Z czym panowie właściwie przychodzą?
– Cóż, mamy obowiązek przekazać pani... ten ostatni... zapis... z... fantomatu pokładowego.
– Z fantomatu?
– Tak. Kiedy, kiedy, hm, nie było już żadnej nadziei, to znaczy, kiedy komputer zbadał wszystkie możliwości i na każde pytanie otrzymał odpowiedź „nie", wtedy poinformował pani męża i zaproponował fantomatyzację dla uniknięcia... dla uniknięcia...
– Przedśmiertnych męczarni. Orientuję się. Do rzeczy, proszę.
– Porucznik Sandor Acz, pani mąż, zgodził się nader rozsądnie na tę propozycję. Musimy dodać, że wszedł w świat fantomów wyjątkowo głęboko, tworząc tkankę skomplikowanej intrygi, ze sobą w roli zawodowego fantoscenarzysty, a także z udziałem robota, rzecz jasna nie istniejącego w rzeczywistości.

– Wydaje się – dopowiedział drugi mężczyzna – że mąż pani wykorzystał pewne elementy z przeczytanych niegdyś książek. Nie wie pani przypadkiem, czy może znał „Tragedię pralniczą"? – Odruchowo rozejrzał się po półkach biblioteki.
– Nic nie wiem o żadnej tragedii, poza moją własną.
– Muszę jeszcze uprzedzić panią – pierwszy mężczyzna kręcił się na krześle – że fantazje pani męża nie znalazłyby, hm, uznania u osób o bardziej staroświeckich poglądach. Powinna pani jednak zrozumieć. Oderwanie od domu i...
– Wiem co powinnam zrozumieć, drogi panie i wiem, co się śni pilotom w dalekich rejsach. Mąż mówił mi o tym szczerze. Dopóki żył.
– I jeszcze jedno: pod koniec stworzona przez pani męża fabuła zaczyna wykazywać cechy pewnego rozchwiania, by otrzeć się nawet o mistykę. Sam zresztą – w epizodach „samookreślających" – używał pojęcia „fantomistyka" zamiast klasycznego „fantomatyka". To rozchwianie przypisujemy zaczynającemu się działaniu, tak zwanego, hm, agonmatu.
– Automatu do zabijania?
– Hm, tak.
– Hm, tak. Hm, nie. Hm, tak jakby. Proszę to tu zostawić. I żegnam już panów. – Odgarnęła długie włosy.

Wyszli pośpiesznie. Wsiedli do motorówki czekającej na kanale. Fasady domów odbijały się w nieruchomej wodzie.

– Ależ fertyczna z niej kobitka, co? – powiedział pierwszy.
– A oczy ma jak sensory komputera. Patrzyła na mnie, jakby mnie chciała rozebrać na części – drugi wzdrygnął się.
– Nie histeryzuj, Wash.

Aleksander Bukowiecki

Cóż za szczęśliwe przebudzenie

Romuald Lenech

Westchnąłem jeszcze z całej mocy z głębi swej zlodowaciałej klatki piersiowej i zakręciło mi się w głowie na widok, jaki ujrzałem. Same obce twarze na tle różnobarwnych kafelków, wypełniających przestrzeń jakby ogromnego akwarium, w którym poruszają się sennie ludzie. Jedna z postaci, której spływająca z głowy fala loków sięgała aż po biodra, odziana w białą kusą spódniczkę, z surowym wyrazem skupienia na męskiej twarzy, zbliżyła się do mego łóżka i oznajmiła barytonem:

– Jest pan już odhibernizowany.

Odruchowo chwyciłem się za nos, który był zimny jak sopel lodu.

– Chyba jeszcze nie całkiem – zaoponowałem z drżeniem szczęścia w głosie.

Człowiek w spódniczce ujął mnie silnie za ramię i uniósł na łóżku.

– Daję panu lekarskie słowo honoru XXI wieku, że tak – odezwał się. – Ostatnie ślady zamrożenia organizmu spłucze kieliszek koniaku. O! – I wlał mi w usta napój, po którym wyrwało mi się spontanicznie:

– Cóż za szczęśliwe przebudzenie!

Lekarz skrzywił się nieznacznie.

– Co my właściwie z panem zrobimy?

– Zawiadomicie żonę, dzieci, wrócę do domu i rozpocznę nowe życie człowieka odhibernizowanego – zatarłem jeszcze z lekka oszronione ręce. – Dolce vita!

– Niech się pan zastanowi – zwrócił uwagę lekarz. – Mamy rok 2046. Polecił się pan zahibernizować równe siedemdziesiąt lat temu, a ani pan, ani pańska małżonka nie byliście już wtedy najmłodsi...

– Rozumiem – zauważyłem bystro. – Cześć jej pamięci! Biedaczka odeszła zapewne. No oczywiście. A za życia taka była dla mnie wyrozumiała!

– Wie pan, wszystko ma swoje granice. Wyrozumiałość również. Do kontenera lodówkowego konserwującego pańskie ciało dołączony był nie zaklejony list, w którym małżonka dała upust, delikatnie mówiąc, swojej prywatnej opinii na temat okoliczności pańskiego zahibernizowania. Podobno, aby nie uczestniczyć w kłopotach, kazał się pan zamrozić tuż przed generalnym remontem w mieszkaniu oraz tuż przed przeprowadzką. Ponadto niebawem miano pana wybrać na szefa jakiegoś tam komitetu obwodowego w mieście i skarbnikiem Towarzystwa Przyjaciół Dyrektorów. Pańskie zlodowacenie powszechnie uznano za unik i ucieczkę przed życiem – do lodówki. Żona włożyła do pańskiego zamrażalnika również wycinek prasowy z krytyką społeczną na ten temat.

– Niech w spokoju spoczywa zrzędna i pedantyczna staruszka razem z zamierzchłą prasą – przerwałem zirytowany. – Wobec tego proszę natychmiast posłać, panie doktorze, po moje dzieci.

– Będą pewne trudności – zastanowił się lekarz – ponieważ córka wyjechała czterdzieści lat temu z ekipą naukową na biegun południowy badać lodowce, prawdopodobnie pod wpływem upodobań ojca do zimna, a obaj synowie, jako bezżenni, przebywają w pałacu spokojnej starości. Są obecnie o wiele starsi od pana, którego komórki zatrzymały się szczęśliwie w procesie starzenia się organizmu. Z powodu ich daleko posuniętej sklerozy trudno będzie z synami się porozumieć.

– Zatem brawo, wieczna młodość! – ożywiłem się na wspomnienie mego wieku. Mogłem mieć najwyżej czterdzieści pięć lat, jeżeli mnie moja przedlodówkowa pamięć nie myliła. O ile pamiętam, decydując się na zamrożenie, wiele nadziei pokładałem w rozwoju życia uczuciowego i w pełnej, nieustającej męskiej ofensywności po przebudzeniu. Obiecywałem sobie użyć świata jak nigdy.

Nie panując z radości nad odruchami, wyrwałem się na całą salę szpitalną ze zwrotką jakiejś piosenki śpiewanej w moim wieku dojrzałym przez optymistycznego pieśniarza:

– Tysiąc dziewcząt z moich snów!...

Kilka długowłosych osób w białych spódniczkach, zainteresowanych najwidoczniej moją osobą, podeszło do łóżka. Zauważyłem, że spod spódniczek wyłaniały się owłosione, muskularne łydki, nie pozwalające wątpić, iż należą one do płci męskiej.

– Co się tu właściwie dzieje? – przeszedłem z nagłej euforii w irytację, jak się to często zdarza u osłabionych chorobą ozdrowieńców. – Mężczyźni w spódniczkach? Czy to może maskarada na moją cześć? – sapałem.

Jeden z młodych lekarzy chwycił mnie za puls, podzwaniając misternymi, brzęczącymi bransoletami na dłoni.

– Spokojnie, spokojnie, hibernatusie. Jest pan na sali pozabiegowej. Tutaj obowiązuje cisza.

Prymariusz w okularach, z którym poprzednio uciąłem sobie pogawędkę, z ciepłym wybaczającym uśmiechem przyłączył się do rozmowy.

– Nie ma mowy o maskaradzie ani o kpinach, drogi pacjencie. Siedemdziesiąt lat odosobnienia wyobcowało pana ze zdrowych przemian na świecie. Jest pan usprawiedliwiony w swojej nieświadomości i naiwności. Trzeba jednak wiedzieć, że już nasi ojcowie zrezygnowali z przeklętych spodni, które tak grzały i opinały ciało męskie w ciągu naszych łagodnych majowych zim i nie za chłodnych październikowych lat. Szorty, noszone w pańskiej epoce przez najodważniejszych, nie gwarantowały tego rozkosznego przewiewu i tej bezgranicznej higieny ciała, jaką przyniosły wreszcie spódniczki – lekarz pogładził zalotnie falującą fryzurę. – Poza tym – spuścił z rezygnacją głowę – zostaliśmy trochę zmuszeni do metamorfozy przez kobiety, które protestowały ostro, nie wyłączając demonstracji, przeciw nadużywaniu przez nas składników ich garderoby. Chodziło oczywiście o spodnie... Wzajemny układ tendencji płci i kierunkowa ich inicjatywy zmieniły się od pańskich czasów diametralnie. Zapewniam pana, że jest nam, mężczyznom, zupełnie dobrze z pewną kobiecą uległością, która nas obecnie cechuje...

Od dłuższej chwili gestykulowałem, chcąc przerwać potok wymowy mego lekarza-obudziciela. W gruncie rzeczy mało mnie obchodziło samopoczucie męskiego pokolenia, które nie wzrosło u mego boku i za które nie czułem się odpowiedzialny. W tej chwili przyszło mi do głowy ponowne pragnienie, które zaległo się we mnie jeszcze u kolebki zamrożenia i objawiło się przed chwilą spontaniczną piosenką z lat młodzieńczych.

– Wszystkie te przemiany są bardzo ciekawe – przerwałem zniecierpliwiony – ale mnie interesuje, co słychać z „epoką sexy", która tak pięknie rozwijała się w momencie mego zamrożenia. Doszła chyba do niebywałego rozkwitu. Panowie – wstałem w podnieceniu z mego szpitalnego łóżka – obecnie nastała chyba całkowita swoboda partnerstwa obu płci, całkowita nieograniczona łatwość, zupełny uwiąd pruderii, jeszcze od czasu do czasu oddzielającej w mojej młodości chęć od jej spełnienia. Panowie! – kontynuowałem. – Przespałem siedemdziesiąt lat i jestem zdrów jak ryba. Panowie, dopiero teraz

będę stuprocentowym mężczyzną. Sen to zdrowie! Sen to wigor męski. Ja się nie mogłem rozwinąć w swojej epoce!

Absolutnie barani wyraz twarzy otaczających mnie mężczyzn odebrał mi swadę.

– Może się pan przesłyszał? – powiedział jeden z panów w spódniczce. – Nigdy z czymś podobnym się nie zetknąłem. Zabawne. Z brzmienia słowo podobne do jakiegoś „lexy". Może chodzi o „lex", o prawo?

– Sexy! – wrzasnąłem poirytowany. – Niech pan nie robi ze mnie balona.

– Kiedy naprawdę nic podobnego... – zacukał się kolega tamtego. – Słowo honoru. Może ktoś, kto studiował historię medycyny albo dawnych obyczajów...

Na szczęście pojawił się w porę mocno starszawy lekarz.

– Tak, tak, słyszałem – pospieszył z wyjaśnieniem. – Raczej czytałem o tym. – „Epoka sexy", jak ją pan nazwał, doszła do swego zenitu w moim wczesnym dzieciństwie i jak to często bywa z modą, zrobiła salto mortale w przeciwnym kierunku. Przeżyła się. Jakiś płetwonurek czy kosmonauta, spędzający całe życie w szczelnie zamkniętym kombinezonie, dorwawszy się do prawodawstwa mody, rzucił akurat hasło: „Wszyscy w kombinezonie!" I przyjęło się. Oczywiście u kobiet. Sam pan rozumie, że uprawianie miłości w kombinezonie stało się właściwie niewykonalne. Oczywiście moda na szczelny kombinezon dawno minęła, ale nawyk pozostał.

– Komu by się zresztą chciało myśleć o drobiazgach erotycznych – powiedział prymariusz. – Od dzieciństwa głowy mamy zajęte wyścigiem technicznym. Maszyny nas programują według życzeń rodziców, a któż by chciał pomniejszać szanse życiowe swych dzieci przez zaprogramowanie potrzeb płciowych, które są czystą stratą czasu. Pan rozumie – od tego są laboratoria i odpowiedni obieg probówek. Człowiek z probówki to wspaniała...

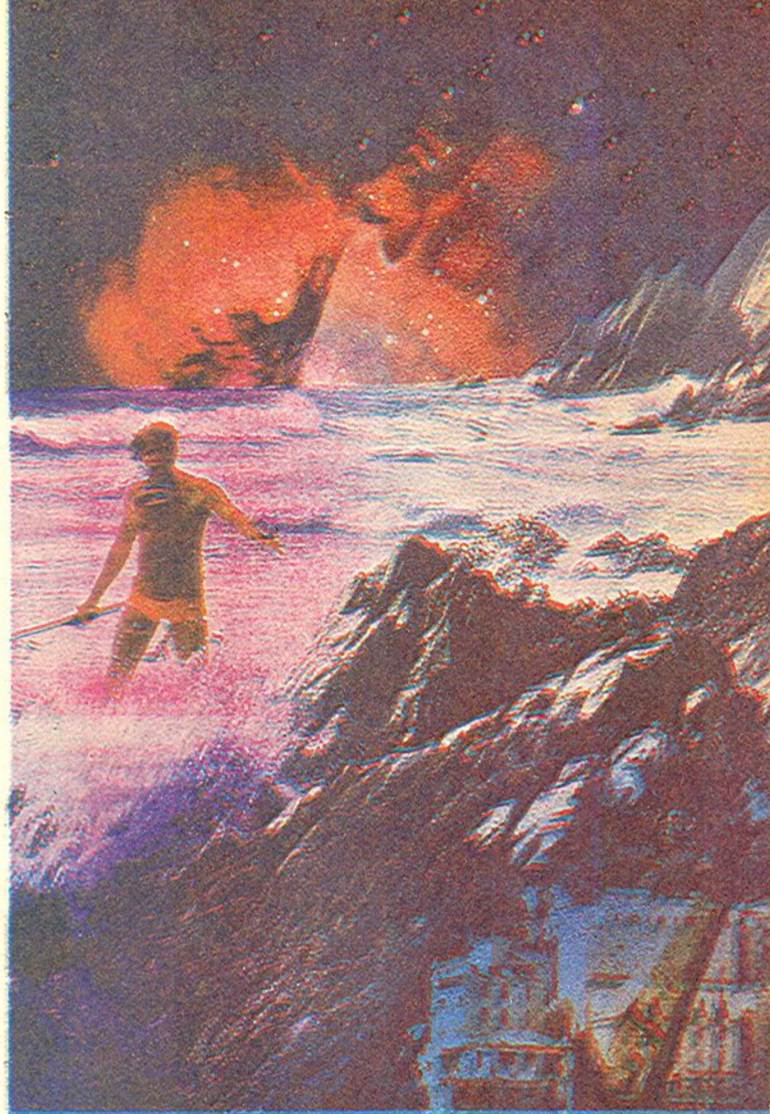
– Dosyć, dosyć! – Złapałem się za głowę. – Ćmicie mnie wszyscy i robicie w konia, bo wiecie, że jestem świeżo przebudzony. Nie wierzę wam. Przecież, u licha, kobiety nie znikły ze świata jak kamfora?

Starszy lekarz wskazał ręką na scenę od dobrych kilku minut rogrywającą się w prawej części sali. Nie zauważyłem jej poprzednio w roztargnieniu. Jakieś postaci o silnej, niemal atletycznej budowie ciała, z ogolonymi na zero głowami, pieczołowicie układały w łóżku leżącego osobnika, najwidoczniej pacjenta. Odzież tych osób cechowała absolutna funkcjonalność. Ciało szczelnie opinały bluzy koloru khaki zapinane na rząd metalowych guzików, z epoletami i wyłogami. Skórzany pas okalający korpus podkreślał sylwetkę. Sfałdowane u dołu miękkie spodnie, wpuszczone w ciężkie sznurowane juchtowe buty, stanowiły niezbędne dopełnienie.

Rozrzewniło mnie to wszystko bardzo, ponieważ przed zamrożeniowa pamięć przyniosła mi wizję czegoś bardzo znajomego:

– Saperzy rozminowujący teren! – powiedziałem czule. – Pamiętam z młodości. Tak właśnie wyglądali.

– Skądże! – obruszył się lekarz. – To są nasze kobiety, pielęgniarki. – Czy nie zauważył pan narzuconych na mundur maleńkich zielonych fartuszków? Strój wyjściowy wygląda oczywiście inaczej. Kobiety, aby uzyskać pewną elastyczność ruchów w pracy, demontują dla wygody żelazne napierśniki i naplecniki pokryte barwnymi deseniami. Ale żadna elegantka nie pokazałaby się na ulicy bez takiego czy innego fragmentu uzbrojenia rycerskiego. Po prostu wojsko w naszej epoce utrwaliło się tylko jako akcent pamięci, wspomnienia w modzie kobiecej.



Jerzy Fedak

Nie zdążyliśmy dokończyć rozmowy, ponieważ przez otwarte drzwi sypnęła korytarzem fala ludzi odwiedzających chorych. Męski tłum falował kolorowymi spódniczkami. Widziało się również podmalowane męskie oczy. Kobiety szły twardym, zdecydowanym krokiem w umundurowaniu rozmaitych historycznych formacji zatrącających husarią, kirasjerami lub kawalerią pancerną, błyskając łechtliwie nagością czaszek.

Przymknąłem szczelnie oczy, jak czyniłem zawsze, kiedy miałem podjąć ważną decyzję.

– Honorarium za ponowne moje zahibernizowanie złożone jest w banku – powiedziałem do naczelnego lekarza. – Zaraz wypiszę odpowiedni czek na okaziciela. Proszę, a raczej domagam się ponownego zamrożenia.

– Nie mówi pan tego poważnie – spróbował perswazji lekarz. – Odrzucać lekkomyślnie szczęście życia w naszej bajecznej epoce męskich spódniczek i komputerów to wprost samobójstwo!

– Znajdzie pan zresztą tysiączne zastępcze przyjemności wieku dojrzałego – pospieszył z radą ktoś drugi. – Zacznie pan uprawiać rybołówstwo. Jakże cudownie wygląda sztuczna rzeka puszczona za miastem specjalnie dla wędkarzy, pełna sztucznych ryb z polistyrenu winylu. Wprawdzie karty wędkarskie wykupione są z góry na cztery lata, ale mam wuja w zarządzie. Będzie pan mógł już łowić od przyszłego roku.

– Albo zrobi pan prawo jazdy poduszkowcem. Teraz tylko takie kursują. Odwagi! – pocieszano mnie.

– Doktorze – powiedziałem twardo. – Wręczam panu czek z prośbą o wpłatę do kasy. Błagam o zahibernizowanie mnie na następnych siedemdziesiąt lat.

Widocznie prośbie mojej stało się zadość, bo następnego dnia rano systemem napędu poduszkowego przeleciałem wygodnie w moim łóżku na salę hibernizacyjną, gdzie z rozkoszą znowu poczułem się jak na biegunie północnym i gdzie wspaniały proces zamrożenia rozpoczął się od znanego mi już drętwienia palców i zlodowacenia nosa. ■

Romuald LENECH

Autor, ukrywający się pod tym pseudonimem, jest wydawcą w jednej z czołowych oficyn naszego kraju oraz uznanym artystą malarzem. (Alk)

PILAR COOMONTE



Publikowaliśmy już wiele esejów, oceniających utwory polskich autorów science fiction z punktu widzenia krytyków zagranicznych. Opinie były zróżnicowane, lecz wynikało z nich, niestety, małe zainteresowanie naszą twórczością fantastyczną w krajach zachodnich. W gruncie rzeczy literatura polska, zresztą nie tylko spod znaku SF, w ogóle bywa tam mało jeszcze poznana. Nie ma tam prawie mecenasów, nie dysponuje się środkami reklamy. *„W ogóle popularność fantastyki zmniejszyła się u nas prawie do zera"* – pisał mi niedawno w liście znany niemiecki wydawca i autor – Wolfgang Jeschke. Większość wydawnictw, które parały się SF na Zachodzie, splajtowała.

W Ameryce nie jest dotychczas aż tak źle: tam SF niezgorzej funkcjonuje, jakkolwiek wielki szał jej najnowszej odmiany – fantasy – zaczyna podobno mijać. Do Ameryki jednak, kraju macierzystego współczesnej science fiction, niezwykle rzadko docierają nazwiska polskich pisarzy gatunku. Publikuje się tam prawie wyłącznie utwory Stanisława Lema, ale w nakładach nie świadczących wcale o bestsellerowej popularności tego twórcy. „Grzeszy" on bowiem – jak zresztą wielu jego kolegów-krajanów – nazbyt dużą dbałością o problematykę filozoficzną, czy socjologiczną lub polityczną utworów, mniej natomiast dba o suspens, o pasjonującą, kryminalną intrygę.

Lem ze swej strony nie nazbyt wysoko ceni szczyty science fiction za oceanem, uważając wiele tamtejszych dzieł za... grafomańskie. Mimo ich wielkiej poczytności. Poczytności odnotowywanej zresztą również i u nas.

Dla ukazania innego sposobu spojrzenia na dzieło samego Stanisława Lema i jego osobę, niż ten, do którego przywykliśmy, a który prezentowałem w swoim szkicu „Geniusz na miarę epoki" („Fantastyka" nr 3/86), publikujemy fragmenty reportażu z jednego z ostatnich numerów amerykańskiego czasopisma „Discover". Nasz Lem jest osobowością na tyle znaną i cenioną nie tylko u nas, ale i na całym świecie, że nie może mu pomóc ani protekcjonalna życzliwość autora artykułu, ani jego bezceremonialność, czasem granicząca ze złośliwością, gdy poszukuje prawdy (?) o nim. Prawdy o Stanisławie Lemie.

Adam Hollanek

Fanatyk domowej kuchni

John Tierney

(...) Jeżeli nigdy nie słyszeliście o Lemie, to właśnie dlatego, że pisuje tego rodzaju historie. Określa się go nieraz mianem najlepszego pisarza science fiction na świecie; według niektórych jego wielbicieli jest to o tyle prawdziwe, co i pechowe. Uważają, że dawno już otrzymałby Nagrodę Nobla, gdyby przyznającym ją jurorom nie przypominano ciągle, że tworzy właśnie tę ciągle nie mogącą dostać się na piedestał literaturę. Jego opowiadania publikuje „The New Yorker", z najwyższym uznaniem wyrażają się o nim zarówno Kurt Vonnegut, jak i John Updike, europejscy i amerykańscy naukowcy analizują jego sposób widzenia świata. Jego niemal 50 książek rozeszło się na całym świecie w trzydziestu językach i ponad dwunastu milionach egzemplarzy. A jednak ani w Stanach, ani w żadnym innym kraju nigdy nie udało mu się zdobyć popularności u tak zwanego przeciętnego czytelnika. To, co pisze, jest dla wielu zbyt trudne lub zbyt niezwykłe. (...)

Prawdziwe zaskoczenie stanowi jednak dopiero sam Lem. Źródłem oszałamiających, kosmicznych wizji jest spokojny, niewielkiego wzrostu mężczyzna, uwielbiający długie i zastraszająco mocno osadzone w zwykłych, domowych realiach monologi. Jeżeli poprosi się go o jakieś śmiałe proroctwo, w odpowiedzi usłyszy się najzwyklejsze, oparte o istniejące fakty przewidywanie lub wykład o niebezpieczeństwach prognozowania. Wygląda to zupełnie tak, jakby swoją niezwykłą inteligencję i dociekliwość wykorzystywał wyłącznie do pisania książek. W tym, co pisze, od ponad trzech dziesięcioleci zafascynowany jest możliwościami stworzenia i wykorzystania sztucznej inteligencji; w życiu prywatnym korzysta ze starej maszyny do pisania, bowiem nie ma zielonego pojęcia, jak obsługiwać Apple'a swego kilkunastoletniego syna. Będąc futurystą jest zafascynowany Ameryką jako awangardą postępu technicznego i opublikował tam kilkanaście swoich książek, ale nigdy nie uznał za stosowne, by osobiście pofatygować się za Atlantyk.

„Zapraszano mnie wielokrotnie i nie było żadnych przeszkód, by tam pojechać, ale po prostu nie chciało mi się", mówi po niemiecku. Nieco okrągławy mężczyzna w silnych okularach, z aparatem słuchowym i wysoko podciągniętymi spodniami na szelkach zdaje się być trochę zakłopotany obecnością gości. Nie okazuje im niechęci, ale też nie jest zbyt wylewny. Znacznie lepiej czuje się bawiąc ze swoim psem, szorstkowłosym jamnikiem o imieniu Proton. W takich chwilach jedynym, co go interesuje z zewnątrz świata jest to, czy cez i stront z Czernobyla nie zaszkodzą rosnącej w jego ogrodzie śliwie.

„Po prostu nie lubię podróżować. Pakowanie ubrań, ogromna liczba walizek, dojazd na lotnisko, oczekiwanie – miałem do tego awersję już na długo przedtem, zanim pojawili się pierwsi terroryści. A potem trzeba mieszkać w hotelu, co jest wręcz straszne. Im lepszy hotel, tym gorzej się w nim czuję. W dodatku człowiek ma moralny obowiązek odwiedzania muzeów i katedr, podczas gdy równie dobrze, jeśli nie lepiej, może je obejrzeć w albumach fotograficznych. Zdecydowanie wolę siedzieć w domu. Moja żona znakomicie gotuje".

Fantazje o międzygalaktycznych podróżach rodzą się w duszy fanatyka domowej kuchni. Może to jest właśnie klucz do jego twórczości; może tylko tam, w Krakowie, w bezpiecznym oddaleniu od hollywoodzkich westernów kosmicznych, zanurzony w kulturze ceniącej pogrążonych w rozważaniach intelektualistów, mógł cichy, spokojny mól książkowy stworzyć tak nieprawdopodobne, nieziemskie wizje. W naszym Wieku Informacji pewne oddalenie od tego, co najświeższe i najnowsze może służyć wyostrzeniu umysłu. Jan Szczepański, ceniony polski pisarz i jeden z najstarszych przyjaciół Lema, przypomina sobie, jak to kiedyś Lem wyczytał o nowym, nieznanym do tej pory gatunku gryzonia i chciał mu koniecznie pokazać książkę, w której tę informację znalazł. Książka jednak gdzieś się zawieruszyła, więc: *„Przestał jej szukać i powiedział: »Nieważne, zaraz go wymyślę«. I rzeczywiście. Wynalazł dla tego gryzonia nową nazwę (zresztą bardzo zabawną), i opowiadał o jego wyglądzie, życiu i zwyczajach przez pełną godzinę. A wszystko wymyślił ad hoc, na miejscu".*

Po spotkaniu z Lemem wiadomo, skąd bierze się jeden z bardziej irytujących aspektów jego twórczości. Zawsze, gdy tylko na obcej planecie pojawi się jakiś problem – może to być niezwykłe stworzenie, ponadnaturalna siła czy zadziwiający krajobraz – jego bohaterowie mają tendencję do reagowania w jeden, ściśle określony sposób: pędzą do biblioteki i staczają mrożącą krew w żyłach bitwę z encyklopedią. Kiedy powtarza się to po raz czwarty, czytelnik zaczyna się zastanawiać, czy tylko bohater jest dziwakiem, czy może też i autor, natomiast dla takiego domatora jak Lem nie ulega nawet wątpliwości, że miejscem, gdzie toczy się prawdziwa akcja jest właśnie biblioteka.

Lem jest typem człowieka, który pisząc przez kilka dziesięcioleci o nieważkości spotkał następnie radzieckich kosmonautów, wśród których ma wielu gorących czytelników i potrafił nie czuć zazdrości. Był zadowolony, że jego przewidywania potwierdziły się, ale nie odczuwał żadnej specjalnej żądzy sprawdzenia ich osobiście. Lot na orbitę byłby niewygodny i niebezpieczny, a poza tym, jak sam mówi, *„byłem już tam wiele razy w myślach". (...)*

Dzisiaj Lem nie pisze już ani o utopiach, ani o komunistach. Ciągle jest zafascynowany technologią, ale obawia się tego, co człowiek może z nią i używając jej uczynić. W „Cyberiadzie" (1967), będącej kolekcją bajek o robotach, maszyna reprezentująca N.F.R., czyli Najwyższą Fazę Rozwoju opo-

wiada o trwającym piętnaście tysięcy lat eksperymencie w „felicytologii", czyli uszczęśliwianiu cywilizacji. Rezultat: *„Uszczęśliwianie siłą sprowadza, jak wykazuje rachunek, sto do ośmiuset razy więcej nieszczęść niż powstrzymanie się od wszelkiej aktywności". (...)*

W roku 1948, kiedy cieszący się poparciem Stalina radziecki biolog Łysenko domagał się od swoich kolegów z Europy Wschodniej, by ci uznali jego fałszywą teorię głoszącą, że nabyte zdolności mogą być dziedziczone, Lem opublikował w jednym z krakowskich pism naukowych artykuł dotyczący tej sprawy. *„Uważałem, że teoria Łysenki jest nic nie warta"*, mówi, *„i starałem się podkreślić wszystko to, co było w niej bezsensowne". (...)*

Od trzech lat mieszka głównie w Wiedniu, wraz ze swoją żoną, Barbarą, lekarzem z zawodu, którą poślubił 33 lata temu i synkiem Tomkiem. Lem twierdzi, że powodem przeprowadzki była chęć umożliwienia Tomkowi skończenia amerykańskiego liceum w Wiedniu. Polski rząd, który zresztą nigdy nie utrudniał Lemowi przyjmowania i dysponowania honorariami, jakie otrzymy-

Polsce czekają go pewne ograniczenia, ale uważa, że życie intelektualne jest tam pod wieloma względami ciekawsze".

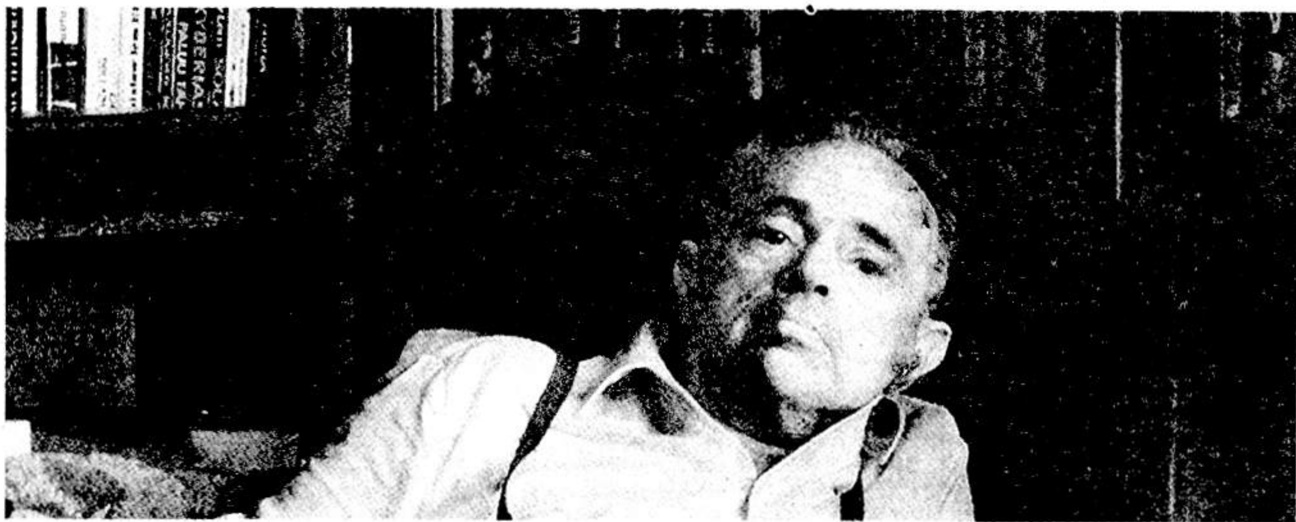
Nieszczęśliwy na Wschodzie, nieszczęśliwy na Zachodzie – czego można oczekiwać po kimś o takim charakterze? Jego bohaterowie są samotni i zamknięci w sobie. Spędzają tyle czasu na samotnych rozmyślaniach, że reszta postaci musi być z konieczności szkicowana kilkoma zdaniami i czasem zdaje się wręcz w ogóle nie istnieć. Zamieszkiwana przez tych ludzi przyszłość jest często na pozór bardzo przyjemna: robot w każdym domu, komfort dla wszystkich, swoboda wyboru tego, co się robi lub nie robi. Ale, jak się sam Lem przekonał, komfort i swoboda to nie wszystko; istnieją jeszcze problemy egzystencjalne.

Zakładając, że ludzkość jednak nie doprowadzi do samozagłady, Lem wyobraża sobie niepowstrzymany pochód naprzód nauki i technologii, w którego wyniku ulegają dezaktualizacji tradycyjne poglądy i zakazy, i zaciera się różnica między tym, co sztuczne, a tym, co naturalne. Wiąże się to z pewnymi problemami:

problemowi, jak przekonuje się Tichy odkrywając żyjący w katakumbach zakon robotów. Oto, jak przeor tego zakonu opisuje życie w czwartym tysiącleciu:

„Dziecko może teraz wskrzesić zmarłego, tchnąć ducha w proch i złom, niszczyć i zapalać słońca, ponieważ takie techniki istnieją. (...) Pułap sprawstwa bowiem, wyznaczony literą Pism, został osiągnięty i tym samym naruszony. Okrucieństwa starych ograniczeń zastąpiły okrucieństwa ich zupełnego braku".

Mechaniczni mnisi zareagowali na to kultywacją i pielęgnowaniem prastarych, religijnych wierzeń, mając pełną świadomość faktu, że są one całkowicie irracjonalne, natomiast przed większością mieszkańców planety rozwarła się, według słów mieszkającego w katakumbach mądrego, pobożnego komputera, *„otchłań wolności, ponieważ im więcej można uczynić, tym mniej się wie, co czynić należy. (...) Gdy ukochaną istotę można zdublować, nie ma już ukochanych istot, lecz urągowisko miłości, a kiedy można być każdym i żywić dowolne przekonania, nie jest się już nikim i nie ma się żadnych przekonań".*



wał z Zachodu, zdaje się nie mieć nic przeciwko temu. Lem ma cały czas polski paszport i może przyjeżdżać do kraju, kiedy tylko zechce, jak to uczynił chociażby ostatniego lata, które spędził w swym nowym domu na przedmieściach Krakowa. Dom, który według polskich standardów śmiało można nazwać pałacem, przypomina górski szałas ustawiony na dachu niewielkiego domku, z jakich składa się zabudowa ulicy.

Kiedy jeszcze Lem mieszkał w Krakowie, wstawał o piątej rano, pisał do południa, a potem szedł na przynajmniej dwie godziny do kolejki, by zrobić niezbędne dla domu zakupy. Niedługo przed wyjazdem zaczęły go niepokoić zamieszki w szkołach i wpływ, jaki te wydarzenia mogą wywrzeć na Tomka. Miał także coraz większe problemy ze zdobyciem pism naukowych, do których się przyzwyczaił – „Science", „Nature" i „Scientific American". (Lem zna biernie angielski). Przenosiny do Wiednia rozwiązały te problemy, ale gdy Tomek skończy na wiosnę szkołę, Lem ma zamiar powrócić do Polski.

„Lem czuje się nieszczęśliwy i nie na miejscu", mówi rodowity wiedeńczyk, Franz Rottensteiner, przyjaciel i literacki agent Lema. *„Docenia wolność i udogodnienia życia na Zachodzie, ale irytuje go wszechobecny komercjalizm i pośpiech. W*

Jak sprawdzić, gdy dostępne już będą nowe, psychoaktywne środki chemiczne, czy rzeczywiście zajada się w luksusowej restauracji bażanta, czy też może z wetkniętą w usta rurą połyka się pośpiesznie tłoczoną pod ciśnieniem glonowo-odpadkową pastę, zaś obraz i smak bażanta tworzą jedynie dodane do niej halucynogeny? I czy w ogóle warto sprawdzać?

Jakie będzie się nosić ciała, gdy inżynieria genetyczna osiągnie szczyt rozwoju? W „Dziennikach gwiazdowych" Lem opisuje planetę, która przeszła przez całą serię wojen, u których podłoża leżał ten właśnie problem. Jedna strona chciała dodawać ogony, inna wolała oczy pod pachami, jeszcze inna głosowała za taką przebudową organów płciowych, by zapłodnienie musiało odbywać się szóstkami, a nie, jak dotychczas, parami. Wreszcie dyktator-dobroczyńca, pragnąc położyć kres przelewowi krwi, doprowadza do unifikacji płci i zmienia konstrukcję mózgu w ten sposób, że obywatel doświadcza rozkoszy seksualnej tylko wówczas, gdy wykonuje jakąś pożyteczną dla społeczeństwa pracę. Oczywiście powstaje od razu podziemie rekrutujące się z tych, co nie pracują, bo nie chcą mieć przyjemności.

Wojny te były jednak zaledwie objawem towarzyszącym znacznie poważniejszemu

Na tym właśnie zdaje się polegać największy problem Lema. (...) Nie może uwierzyć w Boga i gnębi go podejrzenie, że ludzkość nie jest niczym więcej jak tylko efektem „splotu okoliczności" (...). Nie daje mu spokoju świadomość, że człowiek mógłby w ogóle nie powstać, gdyby w okresie tworzenia oceanicznej „prazupy" Ziemia nie znajdowała się akurat w takiej, a nie innej odległości od Słońca, ba, że nawet sama Ziemia mogłaby dziś nie istnieć, gdyby w czasie powstawania planet Układ Słoneczny nie znajdował się akurat w jednej z najspokojniejszych części Drogi Mlecznej. Splot najzupełniej przypadkowych okoliczności. Czyżby nie istniało nic poza chaosem?

„Jest agnostykiem", mówi Szczepański, *„ale dręczy go potrzeba znalezienia czegoś, co jest prawdziwe, dobre i pewne".* Czasem wydaje się, że już to znalazł, na przykład w „Głosie Pana" (1968). Hogarth, naukowiec pracujący nad rozszyfrowaniem listu z Kosmosu, w swych poszukiwaniach klucza zahaczający i o Kanta, i o Biblię, postać, według słów Lema, najbardziej zbliżona intelektualnie do niego samego, jest człowiekiem samotnym, odnoszącym się do świata ze sporym cynizmem. Uważa się za z gruntu złego, rozmyśla często o okrucieństwach nazistów i uważa, że usiłowania ludzkości, by przy pomocy najlep-

szych jej umysłów stworzyć broń, która przyniosłaby Ziemi zagładę, świadczą o patologicznej naturze człowieka.

A mimo to dokonuje się w nim przemiana. Pod koniec książki, kiedy po przedstawieniu kilku wspaniałych, zapierających dech w piersi teorii o pochodzeniu wiązki cząstek niosących posłanie z Kosmosu okazuje się, że samego posłania jednak nie można odczytać, Hogarth, najbardziej zatwardziały ze sceptyków, dochodzi nagle do przekonania, że wiązka ta skierowana została na Ziemię przez pokojowo usposobione, wyżej od ludzi rozwinięte istoty. *„W tej chwili odczułem w oczywisty sposób Ich wielkość"*, mówi Hogarth. *„Zrozumiałem, na czym może się opierać i czym może być cywilizacja"*.

Trudno oprzeć się pokusie, by nie uznać tego za osobiste wyznanie Lema. Często spekuluje na temat możliwości rozwoju cywilizacji na zupełnie nowej płaszczyźnie, wszystko jedno, z ludźmi czy bez ludzi. Uważa, że człowiek z rozmiarami swego mózgu ograniczonymi przez biologię stanowi ślepe odgałęzienie ewolucji. Kolejny, wielki skok na następny poziom inteligencji może, według niego, zostać dokonany przez maszyny o nieporównywalnie większych mózgach, zdolne do samodzielnego rozwoju i przekształcenia się w intelekty na skalę galaktyk. (A czy mgławice, które widzimy, nie mogą być takimi właśnie formami inteligencji? – zapytuje).

Te niebiologiczne, rozumne twory byłyby wolne od morderczych instynktów, zdających się być nierozerwalną częścią ludzkiej biologii, dzięki czemu mogłyby osiągać niewyobrażalne dla nas wyżyny moralnego rozwoju. Zostalibyśmy beznadziejnie z tyłu, jak dzieci, które nagle przestały się rozwijać. Jednak Lem, w przeciwieństwie do tych twórców SF, którzy bez ustanku produkują nowe wersje potwora Frankensteina, nie uważa, by te istoty mogły stanowić zagrożenie dla ludzkości. Po cóż wyższa inteligencja miałaby podbijać Ziemię? Z pewnością nie brak by jej było ważniejszych zajęć.

Czy jednak takie istoty naprawdę mogą istnieć gdzieś w Kosmosie? Czy Lem, wielki pesymista, po cichu podziela nadzieje Hogartha? *„Hogarth uwierzył, ponieważ otrzymał list z Kosmosu. Ja takiego listu nie otrzymałem"*, mówi Lem wzruszając ramionami. *„Między tym, co uważam za możliwe, a tym, co według mnie jest niemożliwe, nie ma wyraźnie zaznaczonej granicy. Moje życie nauczyło mnie, że wielkich i małych wydarzeń nie tylko nie można przewidzieć, ale nawet nie można w nie wierzyć. Wzruszyłbym tylko ramionami, gdyby mi jako chłopcu ktoś powiedział, że Amerykanie będą jeździć samochodem po Księżycu, a ja będę to widział nie ruszając się ze swego pokoju.*

Trzeba wielkiego wysiłku, jeśli chce się przewidzieć choćby najdrobniejszy fragment jednej z możliwych przyszłości. Jedna z moich metod polega na tym, by wyobrazić sobie, jakie dziedziny nauki w jaki sposób kiedyś się ze sobą skrzyżują. Ale postęp technologiczny był i tak znacznie szybszy, niż przypuszczałem. Znaczną część tego, o czym pisałem dwadzieścia lub trzydzieści lat temu i co umieszczałem w następnym stuleciu istnieje i funkcjonuje już teraz.

Kilka lat temu usłyszałem po raz pierwszy o szerzącym się wirusie AIDS, atakującym system odpornościowy człowieka. Napisałem opowiadanie, w którym coś podobnego spotyka komputery – elektroniczny odpowiednik wirusa atakuje i niszczy zawarte w nich informacje. Kiedy je skończyłem, przyszło mi na myśl, czy przypadkiem zbytnio się nie zagalopowałem, ale wkrótce potem przeczytałem informację, że coś takiego już istnieje". (Pragnący walczyć z piractwem software'owym programista wymyślił „robaka", którego można ukryć w zasadniczym programie. W przypadku nielegalnego skopiowania „robak" ów wkracza do akcji „pożerając" zgromadzone w pamięci komputera dane).

W wydanym w 1971 roku „Kongresie futurologicznym" Lem sparodiował gatunek, który uprawia i dokonał kilku trafnych przepowiedni. Akcja książki toczy się podczas zjazdu futurologów i rozpoczyna się od oblężenia amerykańskiej ambasady przez terrorystów z Trzeciego Świata. Pewien człowiek planuje zamach na papieża (było to pisane, rzecz jasna, długo przed pamiętnymi strzałami na placu Św. Piotra). Po wypiciu szklanki wody z dodatkiem silnego środka psychotropowego narrator przekonuje się, że nie wiadomo dlaczego zaczął nagle miłować swoich bliźnich. Okazuje się, że chemicy odkryli nową rodzinę halucynogenów, w tym między innymi środek zwany ekstazyną. Lem napisał to 15 lat przed chwilą, kiedy tysiące Amerykanów zaczęło kochać swoich współbraci dzięki specyfikowi zwanemu „ekstazą".

Sam Lem, rzecz jasna, nie ma najmniejszej ochoty tego spróbować.

„Jakieś dwadzieścia lat temu zażyłem pod kontrolą lekarza psilocybinę", mówi. *„Był to eksperyment. Opowiadałem o tym, co czuję, a wszystko było nagrywane na taśmę. Najdziwniejsze w tym okazało się to, że – choć przeżycie było bardzo interesujące – nigdy nie miałem ochoty go powtórzyć. Kiedy indziej znowu dostałem w podarunku od ekipy telewizyjnej – zdaje się, że byli to Szwedzi – papieros z haszyszem. Leżał w szufladzie przez kilka lat. Powtarzałem sobie, że być może pewnego dnia go zapalę, ale jakoś nigdy nie miałem na to specjalnej ochoty. Dlatego nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek miał zapragnąć »ekstazy«. Może własne myśli i marzenia w zupełności mi wystarczają"*.

Jest bardzo wątpliwe, czy owe myśli i marzenia wystarczą amerykańskiemu czytelnikowi, ale być może wszystko się zmieni z chwilą wydania najnowszej książki Lema. „Fiasko", którego angielski przekład ma ukazać się na wiosnę, jest jedną z jego najbardziej przystępnych i jednocześnie najlepszych powieści.

Zawiera co prawda tradycyjne, profesorskie dygresje, starannie przemyślane wykłady o rzeźbie powierzchni Ziemi i wpływie lotów z prędkością światła na pracę ludzkiego serca, ale jest w niej także pasjonująca, zmuszająca do szybkiego odwracania kartek intryga. Tym razem człowiek nie otrzymuje z Kosmosu żadnego listu; to on sam udaje się z wizytą.

Powieść rozpoczyna się od przechadzki po Tytanie, jednym z księżyców Saturna i od dużego osiągnięcia autora: zakończonej powodzeniem próby zainteresowania czytelnika geologią. Potem następuje śmierć, zmartwychwstanie i dziejąca się w XXIV wieku przygoda. Poszukując bezskutecznie jakiegoś sygnału od obcych cywilizacji ziemscy eksperci doszli do wniosku, że albo takowe nie istnieją (bo już dawno wysadziły się w powietrze), albo też nie mają czasu ani ochoty na gaworzenie z niedorozwiniętymi dziećmi, czyli Ziemianami. Naukowcy doszli do wniosku, że w historii rozwoju każdej cywilizacji okres, w którym chciałaby kontaktować się z inną jest niezwykle krótki – trwa od chwili odkrycia fal radiowych do momentu wykształcenia nowej, wyższej inteligencji. Po długich poszukiwaniach udało im się zlokalizować planetę, której mieszkańcy znajdują się na takim właśnie stopniu rozwoju.

Ziemianie zjawiają się w jej pobliżu, ale niemal od razu przekonują się, że znajduje się ona we władaniu gorących zwolenników czegoś w rodzaju Strategicznej Inicjatywy Obronnej. Ostrzący na siebie nawzajem zęby militaryści otoczyli planetę pierścieniem wymyślnych systemów obronnych, które automatycznie skierowują się przeciwko przybyszom. Obcy nie chcą nawet rozmawiać z ludźmi, więc ludzi coraz bardziej wyprowadza to z równowagi i... Nie zdradzając nic więcej z treści książki można jednak powiedzieć, że nie bez przyczyny nosi ona tytuł „Fiasko". To Lem w wersji „super", inteligentnie wyjaśniający, dlaczego dwie cywilizacje mogą nie być w stanie nie to, że się zrozumieć, ale nawet nawiązać kontaktu. Dodatkowo oferuje czytelnikowi przemyślany, przygnębiający obraz tego, do czego może kiedyś doprowadzić wyścig zbrojeń: do stanu nieprzerwanej, bezmyślnej wojny prowadzonej przez niewidocznych gołym okiem żołnierzy. Niestety, nie jest to utopia.

„Im dłużej żyję, tym większe nachodzą mnie wątpliwości co do szans przeżycia naszego gatunku", mówi Lem. Gdyby pozwolono mu wybrać czas, w którym chciałby żyć, wskazałby na *belle epoque*. Co do przyszłości, to co prawda całe życie pisze o niej, ale nie chciałby się tam znaleźć.

A może choćby na chwilę?

„Chyba nie", mówi. *„Chyba jednak nie. Odległa przyszłość może przypominać cmentarz, albo być dla mnie zupełnie niezrozumiała. Wyobraźmy sobie krzyżowca, który znalazłby się w dzisiejszym Londynie lub Nowym Jorku. Nie zrozumiałby nic z tego, co się dokoła niego dzieje. To bardzo dobrze, że jesteśmy skazani na czas, w którym się urodziliśmy. Tak, to dobrze, że kurtyna zasłaniająca przyszłość nie jest przezroczysta"*.

A gdyby była? Czy po tylu latach fantazjowania oparłby się pokusie, by rzucić tam ukradkiem jedno spojrzenie?

„Gdyby naprawdę istniała taka możliwość", odpowiada wzruszając ramionami, *„z pewnością bym się zawahał"*. Ale jednego jest zupełnie pewien: w przeciwieństwie do Marka, bohatera „Fiaska", zupełnie nie zależy mu na tym, by postawić stopę na czyjejkolwiek, obcej planecie. Poza obawą, że mogłoby się to skończyć prawdziwym fiaskiem, poza podejrzeniem, że żadna z cywilizacji nic a nic by na takim kontakcie nie zyskała, jest jeszcze prozaiczny problem, jak się tam dostać. *„Podróż trwałaby strasznie długo i byłaby potwornie nudna. Żadnych widoków, krajobrazów, nic – tylko pustka. Jak w więzieniu"*.

Bez względu na to, co t a m jest, bez względu na to, jak piękne planety mogą czekać na człowieka, kiedy wystartują gwiezdne krążowniki, Stanisław Lem bez żalu pozostanie w domu, by móc pielęgnować swój ogródek.

Przełożył
Arkadiusz Nakonieczník

Rosnące zainteresowanie literaturą science fiction i fantasy w naszym kraju oraz wielki popyt na książki, czasopisma, a także na filmy wielkoekranowe i wideo musiały w końcu wywołać odzew nauki.

Trudno przecież przechodzić obojętnie obok zjawiska, które zrodzone około 100 lat wstecz, stało się w naszych czasach najmodniejszą dziedziną sztuki. I oto rodzą się pytania z zakresu socjologii, estetyki, filozofii, etyki, nad którymi poczynają się zastanawiać naukowcy, których poczynania zmieniają zarówno oblicze naszego życia, ingerując w nie bezpośrednio, jak i wyciskają piętno z każdym dniem potężniejsze na kulturowej nadbudowie. Coraz więc liczniejsze są zarówno próby dociekań naukowych, jak i opracowań, dotyczących problematyki fantastycznej. Z udziałem uczonych odbyło się już kilka sesji, zorganizowanych przez „Fantastykę", jak i przez Uniwersytet Warszawski.

Ostatnio zaproszeni zostaliśmy jako redakcja do uczestnictwa w bardzo interesująco zapowiadającym się sympozjum na temat „Science fiction w kulturze współczesnej", organizowanym przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Politechnikę Rzeszowską. A więc impreza będzie tym bardziej interesująca, że spotkają się na niej zarówno przedstawiciele humanistyki, jak i nauk ścisłych i stosowanych, tudzież publicyści i pisarze.

Publikujemy referat wprowadzający prof. Marii Gołaszewskiej, zawierający tezy wstępne sympozjum, które odbędzie się w dniach 2–5 września w Bieszczadach, w Bystrem, koło Baligrodu. **A.H.**

Imaginacja w antroposferze

Maria Gołaszewska

Science fiction – czym jest? Gatunkiem literackim bez ścisłej definicji? Rozrywką czy nauką, natchnioną wizją czy kalejdoskopem nieobowiązujących pomysłów? Dla jednych SF to coś jakby kryminały czy telewizja: narkotyk rozkładający świadomość; dla innych posłannictwo na technokratyczne czasy automatyzacji, robotyzacji, komputeryzacji. Czy jest to może nowa nazwa dla starej jak świat fantastyki? Czy też SF przekracza granice literatury i zagarnia wszystkie rodzaje sztuki, staje się zgeneralizowanym sposobem myślenia naszych czasów, usiłujących jak najszybciej i jak najdalej uciec z teraźniejszości w przyszłość.

Spróbujmy zajrzeć pod podszewkę terminu, który zrobił tak oszałamiającą karierę.

SF sensu largo

1. Pojęcie „science fiction" funkcjonuje we współczesnej kulturze w dwu zasadniczych znaczeniach:

a) sensu largo, gdzie bywa też określane jako „fantastyka" – są to wizyjne obrazy świata przyszłego lub przeszłego, przekazywane bądź jako abstrakcyjne idee w języku dyskursywnym, bądź za pomocą dzieł sztuki wszelkich rodzajów, a niekiedy jako realne czyny (np. utopijna społeczność Owena);

b) sensu stricto: SF to współczesna powieść, nowela, film (być może, marginalnie, malarstwo i muzyka) odznaczająca się fantastycznością oraz nawiązaniem do nauki i techniki.

2. Kategorie, w jakie ujmowana bywa czy też może być ujmowana SF są nader liczne i zróżnicowane, poczynając od różnorodnych dyscyplin naukowych, jak historia i teoria literatury, estetyka, socjologia, przez szczegółowe ujęcia typu humanistycznego, jak teoria archetypów, kategoria zmian mutacyjnych, do kryteriów, i ocen stosowanych w krytyce artystycznej.

Dla przykładu wskażemy kilka ujęć szczegółowych stosujących się do SF:

a) teoria archetypów (Carl Jung): SF byłaby przejawem wydobywania na powierzchnię świadomości, przez właściwe dla niej środki (symbole) podstawowych archetypów ludzkości, takich jak: człowiek-ptak (opanowanie powietrza – za najdawniejszą SF w tym znaczeniu można uznać mit o Dedalu i Ikarze, dziś są to opowieści o lotach kosmicznych, wynoszących człowieka poza naszą galaktykę), utopie (Morus, Swift) i antyutopie (Huxley), życie na innych planetach (Żuławski), katastrofy i zniszczenie ludzkości (Bradbury), koniec świata, sztuczny człowiek (Golem, Frankenstein, dziś robot pracujący za człowieka).

b) SF jako mutacja rzeczywistości – pływanie po wodzie zamienia się w przemieszczanie się pod wodą (Verne i jego Nautilius);

c) SF jako dzieło wielkich wizjonerów – Leonardo da Vinci, H.G. Wells, Däniken; tu także należą abstrakcyjne projekty architektoniczne wielkich aglomeracji urbanistycznych oraz propozycja przemiany ludzkości w wyniku inżynierii genetycznej;

d) SF jako przypadkowy układ nieobowiązujących pomysłów, choć zdarza się, że wizje te realizują się z czasem – np. klonowanie u Huxleya (nazywane przez niego „butelkowaniem", produkowaniem wielkiej liczby bliźniąt z jednej komórki), lądowanie ludzi na Księżycu w trylogii Żuławskiego, u innych autorów możliwość zniszczenia ogromnych obszarów za naciśnięciem guzika, telewizja, itp. (oczywiście, pomysły te zazwyczaj realizują się w inny sposób niż to było przewidziane i opisane przez ich pierwszych twórców);

e) SF w ujęciu „naturalistycznym", które polega na twierdzeniu, że SF jest naturalnym przejawem rozwoju gatunku ludzkiego, tworzącego, rozwijającego, komplikującego i udoskonalającego kulturę przez wprowadzenie elementów przewidywania, wyobrażania sobie tego co ma nastąpić; człowiek czyni to przez fantazjowanie (działanie wyobraźnią wytwórczą nie nawiązującą do rzeczywistości) – tworzenie wizji SF – futurologię – prognostykę – planowanie.

Wyobraźnia w świecie człowieka

3. Gdy podejmujemy problematykę SF, niezależnie od sposobu ujęcia, natrafiamy zawsze na podstawowe pojęcie i kryjące się za nim zjawisko – wyobraźnię. Jest to wyobraźnia szczególnego rodzaju – fantazja. Fantazję rozumiemy jako wyobraźnię wytwórczą, zdolność do kreowania wyobrażeń, wewnętrznych obrazów tego, co nie było przedmiotem spostrzeżenia, odznaczającą się zerwaniem powiązań z rzeczywistością, z tym, co istnieje realnie, niekiedy nawet wyobrażenie czegoś, co w ogóle nie może zaistnieć.

Tak więc wyobraźnię wytwórczą fantazjującą (nie zaś kopiującą) uznajemy za naczelny wyróżnik, element strukturalny SF.

4. Poszukując struktur głębokich SF musimy określić jaka jest istota funkcji wyobraźni w życiu człowieka pojętego jako gatunek bądź indywiduum. Dopiero na tym tle możemy ustalić, jaką funkcję pełni SF w antroposferze. Otóż za najważniejszą należy uznać funkcję entropijną wyobraźni w antroposferze.

Entropię określa się jako miarę nieokreśloności, chaotyczności, nieuporządkowania, przypadkowości. Pojęcie pochodzi z fizyki, zrobiło karierę w termodynamice, a Boltzman nadał entropii sens statystyczny (w odniesieniu do zachowania się cząstek gazu, 1877). Pojęcie to przedostało się w postaci uogólnionej do teorii informacji: każdemu rozkładowi prawdopodobieństwa odpowiada jego entropia, równa średniej wartości, z przeciwnym znakiem logarytmu funkcji rozkładu. Entropia jest tym większa, im bardziej rozmyty, rozproszony jest rozkład prawdopodobieństwa.W fizyce statystycznej jest entropia miarą nieokreśloności mikroskopowego stanu układu. Procesy, w których entropia nie ulega zmianie są procesami odwracalnymi, to znaczy mogą zachodzić w dowolnym kierunku; procesy, w których rośnie – są nieodwracalne.

Oczywiście, fizyczne zjawiska i fizykalne teorie, stanowiące punkt wyjścia naszej koncepcji interpretacyjnej, gdy idzie o antroposferę, traktować będziemy jedynie *per analogiam*. Istnieje zresztą realna próba odwołania się do entropii w zastosowaniu do sztuki. Uczynił to Max Bense w swym dziele „Aesthetica" (1960). Przenieśmy zatem zagadnienie entropii na teren ludzki. Kiedy w materii zachodzą procesy nieodwracalne, ponieważ zostaje ona całkowicie uporządkowana, coraz mniej w niej miejsca na nieokreśloność, chaos, przypadkowość. Na przykład w gazach następuje równowaga cieplna, i tracą one energię, następuje spadek napięcia, ustaje ruch (poza jednostajnym, nader ograniczonym przemieszczaniem cząsteczek). Podobnie dzieje się w świecie ludzkim: kiedy myślenie zostaje ujęte w sformalizowane schematy, następuje podporządkowanie się stereotypom, słabną napięcia powodujące aktywność i żywość umysłu, zanika twórczość, wynalazczość, ustaje inwencja, a na jej miejsce wkracza naśladownictwo, powtarzalność, rutyna. Można by zapewne znaleźć metodą statystyczną wskaźnik entropii, czyli stopień nieokreśloności, a zarazem żywotności kulturowej człowieka. Wiadomo, iż z biegiem lat, z postępem dojrzałości, człowiek nabiera coraz większej umiejętności strukturowania, porządkowania rzeczywistości. Struktura jest żelaznym prawem istnienia, trwania i przetrwania – prawo entropii jest prawem zmienności,

rozwoju, postępu, przemian. Właśnie wyobraźnia pełni zasadniczą funkcję w zachowaniu zmienności, żywotności wszelkich układów antroposfery – powoduje ruchliwość elementów, ich przemienność, dynamikę. Fantazja dyktuje możliwości, jest siłą napędową myślenia perspektywicznego, przyszłościowego. Jej podstawową „techniką" staje się burzenie skostniałych układów i tworzenie nowych struktur. Tym, co reprezentuje najpełniej entropijny czynnik wyobraźni ludzkiej jest s z t u k a , a w sztuce s c i e n c e f i c t i o n .

Poetyka wyobraźni

5. Tak jak w poetyce faktu podstawową, wiodącą dyrektywą kreacyjną jest realna rzeczywistość, jak w poetyce idei ogólnych rolę tę pełnią pojęcia ogólne, tak w poetyce wyobraźni – której najbardziej oczywistym przejawem jest SF – rację konieczną i, być może, dostateczną stanowi wyobraźnia wytwórcza.

6. Pobudzający wyobraźnię jest już sam termin: science fiction, fantastyka naukowa. Przywykliśmy traktować fantastykę i naukę jako pojęcia przeciwstawne: uczony nie przekazuje nam swoich fantazji, lecz wiedzę; z kolei rezonujący artysta popada w manierę dyskursu i pseudofilozofowania. Nie o wiedzę, nie o poznanie tu idzie, lecz raczej o uwolnienie nauki od spetryfikowanych uporządkowań, a sztuki od uprzedzeń wobec techniki, matematyki, biologii.

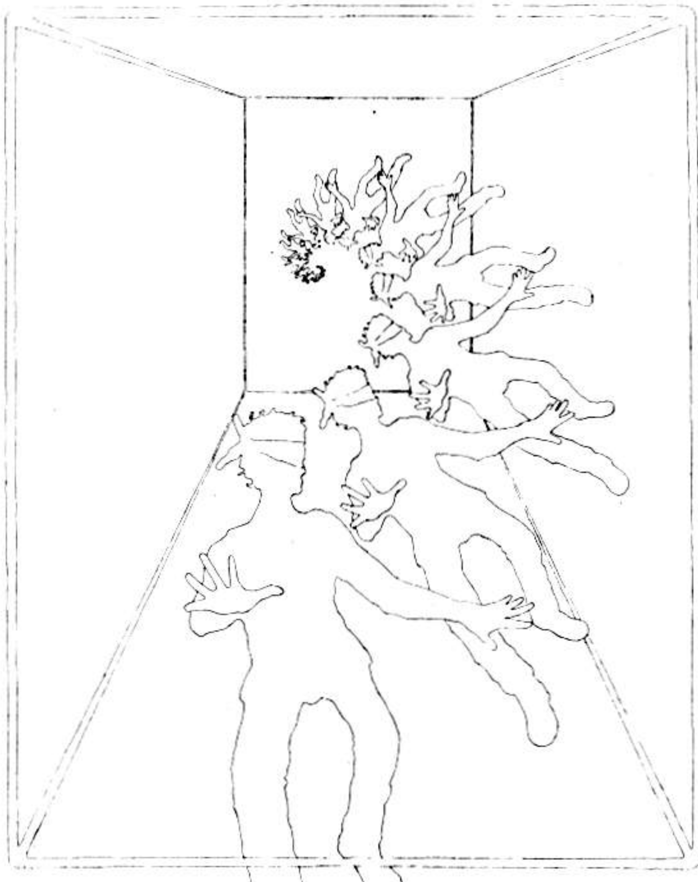
7. Mówimy o „fantastyce" – lecz nie każda fantastyka jest SF. Idzie tu o wyobraźnię swoiście oswojoną ze światem nauki i techniki. Opowiadania o duchach, wampirach, cudach, ani też symbolika religijna – nie mają z SF nic wspólnego (poza momentem wyobraźni uwolnionej od schematów). W SF przestrzegane są określone reguły (podobnie jak w kryminałach).

8. Gdy idzie o wartości artystyczne, czyli sposób realizacji zamiaru twórczego, do specyfiki SF należy niezbędna precyzja techniczna w oddaniu wyglądu tego, co nie istnieje, lecz zaistnieć może lub też zaistnieć nie może. Każdy nowy wynalazek opisany w SF musi być unaoczniony w sposób sugestywny, z podaniem przybliżonych sposobów jego realizacji, musi zyskać rangę prawdopodobieństwa. Jeśli zaś nie da się go precyzyjnie opisać (niezrozumiały blask u Bradbury'ego), SF musi precyzyjnie ukazać stan świadomości, doznania bohatera, który z czymś niepojętym spotykał się lub obcuje.

Zarazem jednak we współczesnej SF nie są stosowane żadne specyficzne wartości artystyczne: kompozycyjne, językowe, nastrojowe. Pod tym względem panuje ogromne zróżnicowanie i dość znaczna zależność od konkretnych utworów.

9. Mamy też do czynienia z kiczami gatunku SF. Pojawiają się one w wyniku nieporadności artystycznej lub gdy autorowi nie dopisuje jego światotwórcza wyobraźnia, a przede wszystkim wtedy, gdy opisywane zdarzenia nie zawierają żadnych problemów, idei ogólnych, przesłania. Natomiast to, co bywa tak groźne dla wartości sztuki – przesada, wyolbrzymianie, jednostronność, absolutyzacja, nie stanowi dla SF artystycznego niebezpieczeństwa (oczywiście, gdy staje się niezbędnym środkiem wyrazu dla unaocznienia powziętej idei).

10. Wartości estetyczne SF bazują na zbliżaniu człowiekowi tego, co go przerasta i budzi grozę, wstrząsa swą tajemniczością, niezwykłością, ogromem. Pozaracjonalne, nieznane nauce stany przyszłe zostają w SF ujęte w kategorię możliwego oczekiwania, wspaniałego – bowiem dotychczas niedoznanego. SF realizuje wszystkie podstawowe wartości estetyczne: piękno i brzydotę, tragizm i komizm, wzniosłość i tragiczność, poetyczność i prozaiczność; oczywiście, czyni to na swój sposób – podnosząc czytelnika (czy widza) na wyższy stopień samoświadomości, kiedy porwany możliwością realizacji niewyobrażalnego podąża za dziełem rozpoznając siebie jako kandydata na nowego człowieka.


Lech Robakiewicz

11. Rozwój SF, gwałtowny, jak wszystkie zmiany w naszym XX wieku, pozwala mówić o ewolucji koncepcji estetycznej gatunku. Klasyczna powieść SF zdążyła wytworzyć swoje normatywne kanony artystyczne, zestarzała się i wydała kilka nowych generacji, które określa się niekiedy mianem „anty-SF". W każdym magazynie SF można odnaleźć krótkie, spoetyzowane, liryczne dziełka o pokroju fantastyki, zbliżone do klasycznej SF, lecz w ostatecznym wyrazie daleko od niej odbiegające. Zdarzają się również ironiczne pastisze SF, lecz prawdziwa „anty-SF" polega na tak dalekim odejściu od rzeczywistości, iż w jej wymiarze nic już nie jest do rozpoznania, a nauka i technika ukazane bywają jako mgliste wspomnienia, kiedy coś dla człowieka znaczyły.

12. „Anty-SF" jest jednak marginesem gatunku. Trzeba tu wskazać na jeszcze jedną właściwość SF, tak ważną dla sztuki – zdolność do przekraczania siebie (transcendowania) w wartościach estetycznych ku innym, wysokim wartościom funkcjonującym w antroposferze:

a) ku koncepcji osobowości ludzkiej, obdarzonej nowymi możliwościami;

b) ku unaocznieniu artystycznego splotu techniki, nauki i tęsknoty do poznania tajemnic przyszłości;

c) ku wartościom etycznym: przyszły świat bowiem musi być lepszy, szlachetniejszy, a wyobraźnia nakazuje ujrzenie nowej ludzkości żyjącej w powszechnym dobrobycie, lecz także we wszechogarniającej solidarności;

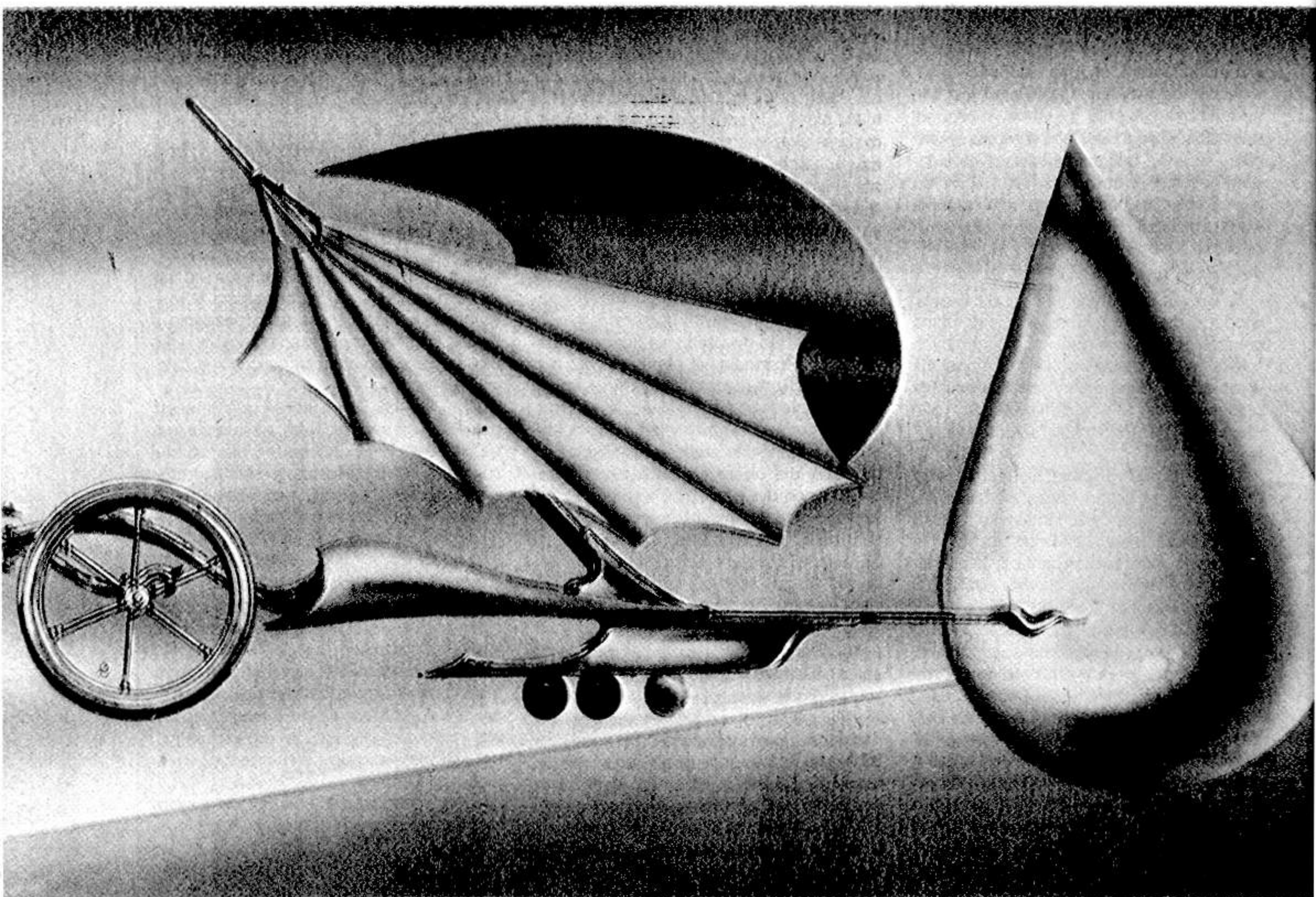
d) ku rozbudzeniu tęsknoty do zwielokrotnienia naszych potencji intelektualnych;

e) ku konieczności przywrócenia właściwej hierarchii w codziennych drobnych zabiegach, uznania rangi wartości najwyższych, wobec rzeczywistych zagrożeń, i faktu, że nasza planeta jest pyłkiem w skali wszechświata.

Jest jeszcze taki nurt SF, który nie transcenduje wprost ku wartościom wyższym, lecz albo ostrzega przed negatywnymi skutkami trendów rozwojowych ludzkości, albo w sposób nieodwołalny przewiduje biologiczną i chemiczną zagładę ludzkości (katastrofizm).

13. Rola SF polega na tym, że będąc dzieckiem wolnej wyobraźni mówi człowiekowi j a k m i e ć n a d z i e j ę i j a k j ą r e a l i z o w a ć przez rozbijanie stereotypów, patrzenie w przyszłość i odrzucanie obaw o karłowatość gatunku ludzkiego. Zbyt często słyszy się od ludzi, także młodych, iż nie ma przed nimi perspektyw: wszystko zostało osiągnięte, napisane, wymyślone, zajęte, a dokańczanie szczegółów, czy coraz wolniejsze posuwanie się utartym szlakiem, nie daje satysfakcji, jest nudne i niegodne utraconych ambicji. SF ukazuje, że antroposfera nie jest jeszcze zużyta, że raczej jest bardzo młoda, naiwna, drapieżna.

14. Lektura SF, czyli punkt widzenia odbiorcy, odznacza się pewnymi prawidłowościami: najpierw czytamy ją z daleko idącą rezerwą, potem traktujemy SF jako rodzaj kryminałów do poduszki lub popularną literaturę młodzieżową, dopiero później następuje przełamanie uprzedzeń i oporów. Wybieramy w niezwykłym bogactwie SF to, co trafia w nasze najgłębsze oczekiwania, doznajemy dreszczy obcowania z pięknem nieprawdopodobieństwa ukazanego jako kreacja przyszłości. ■



Andrzej Brzezicki

Niezabitowski Wacław

(1886–1928)
Dziennikarz, prozaik

Urodził się 18 grudnia 1886 roku w Bejscach w powiecie pińczowskim, jako syn oficjalisty dworskiego i Stanisławy z Machajskich. Po ukończeniu gimnazjum studiował malarstwo w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych (1906–1907) i we Włoszech. Po niepowodzeniach artystycznych zajął się pracą nauczycielską. Był nauczycielem rysunku w Zagłębiu Dąbrowskim, współpracował z prasą lokalną publikując satyryczne wiersze i karykatury. W roku 1917, wraz z krytykiem Kazimierzem Czachowskim, redagował w Miechowie czasopismo „Lud Miechowski". W latach 1919–1920 służył w Wojsku Polskim, następnie zamieszkał w Grudziądzu. Od roku 1921 zatrudniony w „Głosie Pomorskim" na stanowisku redaktora, a następnie w redakcji „Gazety Grudziądzkiej". W roku 1922 wydaje własny tygodnik społeczno-polityczny „Kresy Zachodnie". Współpracuje z „Dziennikiem Lwowskim", „Polonią", „Rzeczpospolitą". Jako prozaik debiutuje książką „Przez śniegi i pożogę" (Grudziądz 1922, 1924).

Zmarł 19 października 1928 roku w Warszawie.

Autor czterech powieści wykorzystujących elementy fantastyki naukowej: **„Ostatni na Ziemi"** (Tow. Wyd. Strzelczyk i Kąsinowski, 1928), **„Huragan od Wschodu"** (Tow. Wyd. Strzelczyk i Kąsinowski, 1928; wyd. 2 – Kurytyba 1936), **„Skarb Aarona"** (Biblioteka Groszowa, 1929, wyd. 2 – Biblioteka Echa Polskiego, 1935), **„Golfstrom"** (Tow. Wydawnicze „Rój", 1936).

Twórczość Wacława Niezabitowskiego mieści się w nurcie popularnej, sensacyjno-dydaktycznej prozy dwudziestolecia pozbawionej wartości literackich, podejmującej i zarazem upraszczającej założenia prognoz katastroficznych, zmierzchu cywilizacji zachodniej (Oswald Spengler, Florian Znaniecki, Stanisław Ignacy Witkiewicz), dając wyraz obawom wobec nowej sytuacji społeczno-politycznej, jaka wytworzyła się po zakończeniu I wojny światowej. W sposób nie przebierający w środkach wykorzystuje autor mechanizmy propagandowe, ostrzega przed niebezpieczeństwem najazdu ze Wschodu, kreśląc wizję silnej, niepodległej Polski, która w przyszłej wojnie potrafi stawić czoła najeźdźcy i raz jeszcze okaże się przedmurzem zachodniej cywilizacji. Najciekawszą powieścią Niezabitowskiego (którego Kazimierz Czachowski – z dużą przesadą – określił mianem „polskiego Wellsa") jest książka „Ostatni na Ziemi", mówiąca o katastrofie przyrodniczej (wybuchy wulkanów), na którą nakłada się przeczucie rozpadu więzi społecznych, wizja upadku cywilizacji i kultury (por. Jerzy Braun – „Kiedy Księżyc umiera"). W totalnej zagładzie Ziemi, którą zalewa gigantyczna fala oceanu, ginie ostatni człowiek, Polak Jerzy Wyhowski, genialny wynalazca, twórca uniwersalnego hydroplanu „Ptak Nadziei". Cudowny wynalazek nie zdoła zapobiec katastrofie, która kładzie kres ludzkiemu istnieniu, a tragiczna śmierć inżyniera

Bibliografia wybrana:

– K. Czachowski, *Między romantyzmem a realizmem* (w:) „Obraz współczesnej literatury polskiej 1884–1934", Warszawa–Lwów 1934.

Niemczynowski Zbigniew

(ur. 1923)
Historyk sztuki, prozaik

Urodził się 13 maja 1923 roku w Brodach koło Krakowa. Ukończył Instytut Filmowy w Krakowie, studiował historię sztuki na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 1950–1955 współpracował z filmem polskim, pisał scenariusze, był realizatorem filmowym. Jako prozaik debiutował na łamach prasy w 1945 roku. Wydał m.in. „Żołnierza i królewnę" (sztuka dla dzieci na motywach baśni Andersena, 1963). W roku 1960 ukazała się jego **„Rakieta Alfa I"** – sztuka fantastyczna dla dzieci (Wyd. CPARA) oparta na motywie lotu kosmicznego i spotkania z inną cywilizacją. Jest to opowieść o wyprawie na Księżyc dzieci, które porywają przygotowaną do startu rakietę. Na Srebrnym Globie bohaterowie spotykają myślące automaty z planety Wenus, które przybyły tam latającymi spodkami. Po nawiązaniu kontaktu z robotami młodzi podróżnicy wracają na Ziemię latającym talerzem.

Ostatni na Ziemi

Wacław Niezabitowski

Świtało już, gdy „Ptak Nadziei" ukazał się ponad wejściem do zatoki Kenai. Minęły jednak jeszcze dwie godziny zanim znalazł się na pokładzie krążownika i do Jagerra przecisnął się komendant okrętu, kapitan Wayne, jeden z najmłodszych dowódców w amerykańskiej flocie wojennej.

– Ważne wiadomości! – szepnął doktorowi do ucha. – Zjaw się pan natychmiast w mej kajucie wraz ze swymi towarzyszami.

Zachowanie się Wayne'a złowieszczym przeczuciem targnęło Wyhowskim. Takie same przeczucia napełniły również i duszę Jagerra oraz geologa, gdy wyrwawszy się wreszcie z koła witających w ponurym milczeniu kroczyli szybko przez korytarze wiodące do kajut kapitana.

Nie mylili się w swych przypuszczeniach.

– W dwie mniej więcej godziny po waszej depeszy, panowie, otrzymałem cały szereg depesz z Waszyngtonu i San Francisko – rozpoczął Wayne – wiadomości zawarte w depeszach są tak straszne, że mimo woli nasuwa się na myśl przypuszczenie, iż stoimy w obliczu katastrofy grożącej zagładą, już nie tylko poszczególnym krajom, lecz i całemu rodzajowi ludzkiemu!

Urwał i obwiódł spojrzeniem twarze słuchaczy, na których jego słowa wywarły wstrząsające wrażenie.

– Depesze są straszne – powtórzył z naciskiem. – Przekonacie się, panowie, sami o tym za chwilę. Wpierw jednak chcę zaznajomić panów z faktem, mym zdaniem wielce dziwnym i niepokojącym. Oto, od trzech już prawie godzin wysyłamy radiodepesze do szeregu radiostacji na terenie Ameryki i... nie otrzymujemy żadnej odpowiedzi!

Jagerr zerwał się z miejsca. Twarz jego wyrażała największe zaniepokojenie.

– Może znajdziemy wytłumaczenie tego faktu w depeszach z kontynentu? – poddał Selwin.

– Niestety... zdaje się, że tak! – rzekł Wayne, zagryzając nerwowo wargi.

W miarę odczytywania radiodepesz przez Wayne'a oblicza słuchaczy tężały w niemej grozie.

Zniszczenie w krajach Ameryki Północnej w szybkim tempie posuwało się nadal. Równiny na wschód od pasma Andów, zapadały się w morze. Depesze głosiły, iż zapewne cała Argentyna, Urugwaj, Paragwaj, część Boliwii i cała bodaj Brazylia wraz z trzema Gujanami znajdują się już pod wodą. Ostatnie wieści, które dotarły do radiostacji Stanów z Montevideo, Buenos-Aires i Rio de Janeiro donosiły o szalejącej burzy na Atlantyku i kruszeniu powłoki ziemskiej przez potworne w swej sile drgania. Trzecia depesza zawiadamiała lakonicznie o nowym wybuchu dawno zamarłego już Kilimandżaro i zapadnięciu się Zanzibaru pod powierzchnię morza. Londyn donosił, że radiostacja w Kairze komunikuje mu o dostrzeżeniu w kierunku południowo-wschodnim dwóch wybuchów, których wstrząsy zniszczyły doszczętnie w Suezie i Port-Saidzie urządzenia tamowe na kanale.Teheran przesłał także depeszę urwaną w połowie zdania o olbrzymim trzęsieniu ziemi, jakie część miasta w pierwszych kilku sekundach przetworzyło w kupę gruzów. Radiostacja w Damaszku milczy uparcie, pomimo nieustannego wzywania jej przez Kair i stację na Krecie. Ateny również milczą. Wezuwiusz szaleje w dalszym ciągu. Wybuchła również Etna.

Ponura zaduma osadzała się na obliczach jedynych czterech ludzi na pokładzie „Idaho" świadomych powagi położenia, wzbudzającego szalony lęk w sercach milionów.

Pomimo stalowych pancerzy osłaniających ściany i pokład krążownika o uszy ich uderzał bezustanny głuchy huk. Były to, trwające bez przerwy od ubiegłego wieczora wybuchy wulkanów Alaski.

Pierwszy Wyhowski przerwał dość długo panujące w kajucie milczenie.

– Zatem nie uratuje się ni jedna dusza ludzka? Nie zdaje mi się to jednak w wieku takich szalonych postępów techniki...

Geolog żachnął się.

– Ech te postępy... postępy! – przerwał jego słowa. – Może aeroplany, co? Może pański „Ptak"? – Zaśmiał się ironicznie. – Dam panu zaraz przykład. Dajmy na to, że aeroplany wznoszą się w powietrze, aby przeczekać w nim krytyczny moment... dobrze... możliwe to nawet! Ale co zrobią szukający w nich ocalenia, gdy trujące gazy wybuchów napełnią atmosferę swym jadem na wysokość, no... dajmy na to pięćdziesięciu kilometrów? Takiej wysokości nie osiągnie nikt z tej prostej przyczyny, że rozrzedzone powietrze nie da punktu oparcia dla najlżejszego nawet aparatu! Ot, co... nawet pański „Ptak", chociaż przyznaję chętnie, jest cudownym wprost aparatem, nie pomoże panu z pewnością!

...Jedenasty dzień bujał „Ptak Nadziei" ponad wodami, biegnąc wprost na południe.

Według obliczeń Wyhowskiego znajdować się powinien nad wyżyną Tybetu.

Pomimo skrzętnego badania horyzontu przez wyborne szkła, najmniejsza nawet plamka nie przerywała monotonnej przestrzeni wód.

Miał zrazu nadzieję, że potężny Rosyjski Grzbiet Kwenluniu ze swymi szczytami przewyższającymi znacznie wysokość sześciu tysięcy metrów, oparł się zagładzie. Lecz nie pozostało zeń nic. Toż samo ze środkową częścią wyżyny Tybetu i z jej ośmiotysięcznymi górami.

Benzyny pozostawało zaledwie na dwie, trzy godziny lotu. Wiedział, że musi upaść.

Lecz tak był zmęczonym i chorym, że z zupełną obojętnością oczekiwał nieuniknionego końca.

Jakaś złośliwa gorączka spadła nań natychmiast prawie po opuszczeniu wysepki. Paliła mu piersi, żarem zasypywała zaschłą krtań, odbierała władzę w całym ciele.

Czy była wynikiem całonocnego prześlęczenia nad cieśniną przy dżdżystej i wietrznej pogodzie? Czy była to choroba nabyta już w drodze? Nie zdawał sobie sprawy, lecz czuł, że z każdą chwilą siły opuszczają go coraz bardziej.

Tylko dzięki intuicji i tyloletniemu doświadczeniu kierował samolotem.

Wreszcie spadła nań taka niemoc, że drżące palce odmawiać poczęły posłuszeństwa.

Rzucił wzrokiem na wskazówkę ostatniego zbiornika. Stała prawie na zerze.

– Żegnaj „Ptaku" – szepnął skłaniając się na swym fotelu.

Pchnął samolot na fale. Siadł lekko, prawie bez wstrząsu. Powstał, chwiejąc się na nogach. Mgła przesłaniała mu wzrok. Przez mgłę tę ujrzał przed dziobem aparatu... daleko... daleko na horyzoncie dziwnego kształtu chmurę. Wyłaniała się z wód formując nieregularny trójkąt.

Wzrokiem, który chwilami nie widział już prawie nic, przyjrzał się jej.

– Góra! – szepnął wreszcie. – Nie dostaniemy się już do niej „Ptaku"... nie!

Poderwany nagłą myślą zapuścił jeden z motorów.

Za chwilę w przestrzeń pomknęły słowa radiodepeszy. – Żegnam świat... ja... ostatni na Ziemi!

Zwalił się na wznak, jak piorunem rażony.

Motor warczał jeszcze przez parę minut, wreszcie zamilkł. Kołysząc się z fali na falę, popychany lekkimi podmuchami wiatru „Ptak" poruszał się powoli w stronę dziwnej chmury, czy też skalnego szczytu, niosąc w swym wnętrzu stygnące zwłoki ostatniego człowieka na Ziemi.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

W. Niezabitowski, „Ostatni na Ziemi", Tow. Wyd. Strzelczyk i Kąsinowski, Warszawa 1928, wybór ze str. 374–516.

Głos z przeszłości

Być może po raz ostatni mamy dziś okazję do zastanowienia się jaka była klasyczna fantastyka naukowa i z jakiego powodu zestarzała się tak szybko, błyskawicznie straciła na popularności. Tę okazję stworzyło wydanie najnowszej powieści Arthura C. Clarke'a „The Songs of Distant Earth" („Pieśni odległej Ziemi"). Pod fascynującym tytułem kryje się, być może, rozwiązanie zagadki śmierci dinozaura, górującego rozmiarami i zdolnościami nad innymi gatunkami (literatury popularnej), który umierając dał możliwość rozwoju mutacjom znacznie mniejszym, zwinniejszym i szybciej się rozmnażającym.

Anatomia giganta

Fabuła „The Songs of Distant Earth" jest osnuta – jak w każdej szanującej się, typowej fantastyce naukowej – wokół jednego centralnego odkrycia, oczywiście naukowego. Nie byłoby więc tej książki gdyby ludzkość w sytuacji krytycznej, „na pięć minut przed północą" (jak to określa sam autor) nie wynalazła nowego napędu dla swych statków kosmicznych. Jak w dobrej SF bywało, pomysł na ów napęd imponuje jednocześnie śmiałością. Ostatnie z powstałych na Ziemi rakiet wykorzystują bowiem ni mniej, nie więcej tylko... energię kosmosu, podróżując niejako na kredyt natury, bez troski o paliwo i bez ograniczeń dystansu. Ów „napęd kwantowy" *(quantum drive)* jest dla ludzkości swego rodzaju darem z nieba, dzięki niemu bowiem ludzie mogą opuścić skazaną na zagładę Ziemię i na wielkim, czterokilometrowej długości statku „Magellan" odwiedzić swe wnuki – pokojową, sielską cywilizację, żyjącą na kilku wyspach wśród niezmierzonego oceanu planety Thalassa.

Szczegółów podróży nie znamy i nie jest to sprzeczne z tradycją: co najmniej kilku pisarzy klasycznej SF zdobyło sławę opisując nudę dobrze zorganizowanego lotu. Clarke nic po nich nie powtarza. Ponieważ jednak lot kosmiczny bywa właśnie nudny, jego przyczyna winna być katastrofa, a celem nieznane. I Clarke obdarował nas katastrofą tak wielką, jak banalną: Słońce przemienia się w Nową, niszcząc oczywiście wszystkie planety naszego Układu. Uprzedzonej o tym fakcie ludzkości udaje się przetrwać i nawet ocalić co nieco z dorobku kulturalnego – w pierwszej fazie wielkiego programu konwencjonalne rakiety wywoziły ludzkie embriony i kody genetyczne zapisane w pamięci komputerów na wytypowane przez astronomów, sprzyjające życiu planety. Statki kwantowe umożliwiły ucieczkę grupie żywych ludzi – oni to właśnie, gwiezdni odkrywcy i świadkowie zagłady Układu Słonecznego schodzą na wyspy Thalassy, mieszając się z jej racjonalną, spokojną, nastawioną z lekka hedonistycznie cywilizacją. Trzeba przyznać, że zderzenie dwóch tak różnych kultur mogłoby być brzemienne w konsekwencje.

Gigant i mrówki

O klasycznej fantastyce naukowej wypowiedziano już wiele sądów, nas jednak interesuje tylko jeden: SF była zawsze literaturą więcej mówiącą o Problemach, niż ludziach. Prawo to stosuje się w szczególności do Clarke'a – w jego powieściach zdecydowanie brakuje bohaterów, z którymi czytelnik mógłby nawiązać jakikolwiek kontakt uczuciowy. „Pieśni odległej Ziemi" nie są pod tym względem wyjątkiem. Jest w nich galeria postaci, a raczej rysowanych grubą kreską typów, które poznaliśmy wcześniej. Składają się na nią w kolejności mniej lub bardziej przypadkowej: dwumetrowy kosmonauta zakochany w pięknej i inteligentnej Thalassance, nudnawy narzeczony owej damy i jej szalenie pozytywny brat-lekkoduch, ginący w wypadku spowodowanym przez Ziemian, rzecznik kosmonautów wyposażony wyłącznie w siwe włosy, aksamitny głos i pamięć o żonie, która pozostała i zginęła na Ziemi oraz kilku raczej kochliwych Thalassańczyków. Ogranych do znudzenia konfliktów nie jesteśmy w stanie śledzić z zaciekawieniem, zainteresowania nie budzą również zajmujące mniej więcej połowę książki wtręty „eseistyczne", mozolnie popychające akcję naprzód oraz naświetlające tzw. tło. Gigant SF ma do mrówki-człowieka stosunek właśnie taki, jakiego można się spodziewać po gigancie: omija mrowiska, które nie stoją mu bezpośrednio na drodze, a pojedynczych mrówek nawet nie zauważa. Clarke nie jest tu żadnym wyjątkiem. Literatura potrafiąca opisać wybuch supernowej, a nie umiejąca w sposób wiarygodny przedstawić miłości między dwiema istotami ludzkimi sama sobie stawia nagrobek. Bowiem w przyrodzie każde zjawisko powtarza się w niezmiennym kształcie; zmieniać się może tylko skala i Clarke dociera do jej granic sugeru-

Czy warto przypominać...?

Przed kilkoma miesiącami pojawił się na naszych półkach kolejny, piąty już tom „Polskiej noweli fantastycznej". Warto przypomnieć, że pomysł wydania antologii fantastyki zawdzięczamy samemu Julianowi Tuwimowi. Był on redaktorem dwóch pierwszych tomów, w których przedstawił opowiadania, pochodzące z XVIII–XIX wieku, będące przykładem „korzeni" literackiej twórczości fantastycznej (w odróżnieniu od ludowej).

Pomysł czołowego poety Skamandra kontynuuje Stefan Otceten, który antologię uzupełnił i poszerzył. Obecny tom to utwory zebrane z okresu międzywojennego, a ściślej mówiąc te z nich, które nie doczekały się ponownej publikacji książkowej po roku 1945.

Dodać należy, że nazwa „nowela" jest czysto umowna, gdyż wybór zawiera również fragmenty powieści, a nawet utwór sceniczny.

Mimo wspomnianej różnorodności, już po przeczytaniu kilkunastu stron okazuje się, że „Niezwykły kryształ", bo taki tytuł nosi książka, nie jest lekturą zajmującą. Niestety, lata 1918–1939 nie były okresem boomu dla naszej literatury fantastycznej. Pozycji, na które warto zwrócić uwagę jest dosłownie kilka. Dokładniejszy przegląd umożliwia wyodrębnienie kilku kręgów tematycznych, charakterystycznych dla tamtego okresu.

Bardzo liczną grupę stanowią opowiadania sławiące osiągnięcia naukowo-techniczne oparte na motywie „genialnego wynalazku". Należy tu wymienić na przykład „Szalonego lotnika" – powieść K. Czyżowskiego, literacko słabą, ale zawierającą oryginalny na terenie międzywojennej fantastyki pomysł „napowietrznych miast" – platform zawieszonych w powietrzu, na których żyć mają ludzie po katastrofie ekologicznej Ziemi.

Dużym zainteresowaniem po I wojnie światowej cieszyło się lotnictwo, z którym wiązano wielkie nadzieje na przyszłość. Widać to już po tytułach utworów: „Samolot Lecarte'a", czy wspomniany „Szalony lotnik". Nawiasem mówiąc, autor tej powieści uznany był w swoim czasie za najpoczytniejszego pisarza dla dzieci i młodzieży, podbijając ich serca kreacją kilkunastoletniego lotnika – łowcy sensacyjnych przygód, wychodzącego cało z każdej opresji.

Do ciekawszych utworów należy także opowiadanie Stefana Grabińskiego, reprezentujące nurt grozy, który oddaje atmosferę panującej wówczas mody na magię i okultyzm.

Twórczość Grabińskiego niewątpliwie wyróżnia się w tym zalewie miernych i nudnych „horrorów", których kilka prezentuje również omawiany wybór (np.: „Grobowiec w Benihassan", „Biały jacht"). Pisarz ten stracił niewątpliwie dziś dużo na swej poczytności, ale nie można zapomnieć o roli, jaką odegrał w historii literatury fantastycznej. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że był on tym dla polskiej fantastyki grozy, czym E.A. Poe dla światowej.

„Niezwykły kryształ" zawiera jego trzy opowiadania, które dotąd nie ukazały się w formie książkowej – miłośnikom gatunku umożliwi to dokładniejsze poznanie twórczości Grabińskiego.

Z serii „opowieści z dreszczykiem" na uwagę zasługuje również „Tajemnica zamku kurzętnickiego..." S. Władyki, utwór nie najlepszy, ale zawierający unikatowy u nas motyw „limuzyny śmierci", który pojawia się dużo później w amerykańskiej SF – m.in. w „Alei Potępienia" R. Zelazny'ego.

Na interesującym pomyśle oparta jest także groteska sceniczna spółki autorów Malczewski-Goetel pt. „Król Nikodem", rozwijająca wątek władcy-robota, sterowanego przez grupę ludzi, faktycznie rządzących krajem.

Niestety na tych kilku utworach listę ciekawszych pozycji można zamknąć. Pozostałych kilkanaście to rzeczy mało wartościowe, miejscami wręcz nie dające się czytać. Nie chodzi już nawet o nieaktualność niektórych tematów, ale o styl; górnolotny, skrzypiący frazesami, trącący złym smakiem.

Co krok napotykamy takie oto opisy: *„Lazurowe niebo pragnęło kąpać i przemywać czystość swej barwy w głębinach, lecz rozkołysana nocą w niewiadomych okolicach przez wiatry, moce przypływu czy odpływu pierzchliwa fala załamywała, niszczyła i niweczyła cudowność gładkiego zwierciadła..."*.

Schematy fabularne są tu ograne, sylwetki bohaterów kontrastowe, bez odrobiny półcienia.

Wprawdzie prawem każdej antologii jest przedstawienie możliwie jak najprawdziwszego obrazu literatury, ale jeśli jest to jej limes inferior, to czy warto tak kiczowaty obraz przypominać?!

Na domiar złego książka wydana jest tak fatalnie, że niedbale sklejone kartki rozsypują się pod dotknięciem jak stare manuskrypty.

Tylko wartość nie jest ta sama...

Grażyna Lasoń

Niezwykły kryształ. „Polska nowela fantastyczna", tom V. Zebrał Stefan Otceten. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1986. Cena 240 zł.

jąc, że umiejętność wykorzystania energii Kosmosu pozwoli ludzkości przetrwać śmierć wszechświata. W stosunkach między ludźmi nic nigdy nie jest identyczne i nic nie jest tak banalne jak w „Pieśniach".

Wiwisekcja

Tak więc to, co zawarte jest w „Pieśniach odległej Ziemi" nie wydaje się szczególnie interesujące. Warto byłoby zatem zastanowić się nad tym, czego w nich nie ma. Po pierwsze zagłada Układu Słonecznego przez sam swój ogrom wydaje się nieco abstrakcyjna. Z samych rozsianych po książce wzmianek wolno byłoby wnosić, że sytuacja na Ziemi przed katastrofą dałaby się opisać całkiem interesująco. Walczące ze społeczeństwem i między sobą ugrupowania terrorystyczno-religijne o światowym zasięgu, restrykcyjna polityka populacyjna, postać złoczyńcy-geniusza, któremu omal nie udało się... ukraść jednego z kwantowych statków – to z pewnością materiał na znacznie ciekawszą powieść. Gdyby to ona właśnie została napisana, każdy z jej potencjalnych bohaterów byłby z pewnością bardziej interesujący niż szalenie praworządni, z brązu wykuci kosmonauci, którzy nawet buntować się próbują niezdarnie.

Po drugie, chcielibyśmy wiedzieć, jak potoczą się dalsze losy Thalassy po odlocie „Magellana". Zderzenie dwóch kultur okazało się niewypałem, nie wynikło z niego nic poza kilkoma dowcipami i pewną liczbą romansów i choć Clarke wylał sporo atramentu próbując przekonać nas, że Thalassa zmieniła się radykalnie – trudno uwierzyć mu na słowo. Sytuacji nie ratuje wprowadzenie na scenę rodzącej się cywilizacji inteligentnych „morskich skorpionów" – wręcz żałośnie przypomina to najmniej udane fragmenty „2010 – Odysei drugiej", która już wcześniej zdradzała pewne słabości pisarstwa Clarke'a. Otwarte pozostaje pytanie, czy rzeczywiście tylko on winien jest temu, że „Pieśni odległej Ziemi" są takie, jakie są, że okazały się płodem martwo urodzonym.

★

Mimo wszystkich braków, „Pieśni odległej Ziemi" dzięki profesjonalnemu rzemiosłu Clarke'a, ozdobionemu dyskretnym poczuciem humoru – są i tak przyjemniejsze w lekturze niż większość mających ogromne szanse powodzenia produktów współczesnej fantasy, której charyzmy dodaje na ogół czar magii, idiotycznej, lecz niepojętej i dlatego otaczanej szacunkiem czytelnika. Wypada stwierdzić z przykrością, że klasyczna, Clarke'owskiego typu SF utraciła sens istnienia nie dlatego, że była po prostu złą, schematyczną literaturą, a gusta jej czytelników nagle wysubtelniały. Wręcz przeciwnie – fantasy jest równie jak SF schematyczna, a ma jeszcze jedną wadę: jest najzupełniej irracjonalna. Wydaje się, że mniej lub bardziej instynktownie, odwołując się do apokaliptycznych wizji i ostatecznych (takich jak napęd kwantowy) rozwiązań próbował Clarke przywrócić nauce tę odrobinę magii, jaką kiedyś ją otaczaliśmy. Przegrał, to jasne, lecz nie tylko dlatego, że pisze kiepskie książki, lecz także dlatego, że wciąż wierzy w czytelnika, który chce, lubi i potrafi racjonalnie myśleć. I ta konkluzja napawa, niestety, smutkiem.

Krzysztof Sokołowski

Arthur C. Clarke *The Songs of Distant Earth*, London 1986.

Pierwszy na naszym rynku tom słynnej antologii „Don Wollheim proponuje – 1985" zaimponował wydawniczym tempem i uznawaną powszechnie wysoką jakością. Za tom drugi zdążyło pochwalić „Alfę" niedzielne „Życie Warszawy". Rzeczywiście, wydawnictwo i tym razem uwinęło się jak w ukropie; niestety, jeśli idzie o treść książki – czołówce najnowszej amerykańskiej prozy SF należą się już brawa mniej entuzjastyczne.

Nie sądzę, by winić za to należało „Alfę" czy Wollheima. Wydawnictwo prezentuje prestiżową antologię, jej autor wybrał co najlepsze. Dwukrotnie zresztą trafił w nominację do Nebuli i Hugo (L. Shepard: „Łowca jaguarów", R. Silverberg: „Pożeglować do Bizancjum"), ale i tak pozostawia wyrazistych, jak poprzednio w „Naciśnij ENTER" czy w „Więzach krwi"; brak wstrząsających i skończonych artystycznie kawałków, jak „Salwador", „Medra", „Wytrysk gungi". Przesłanie wszystkich opowiadań daje się sprowadzić do dwu elementarnych i klasycznych motywów. Po pierwsze – są w nas tajemne moce, które wiarą oraz miłością możemy wyzwolić. Widać to w „Bogach Marsa", w „Pajęczarce" i „Łowcy jaguarów"; częściowo we „Wrotach Ziemi" i „Pożeglować do Bizancjum". Po drugie – jak nabroimy, to inni nas skasują albo skasujemy się sami. Jest to zawarte w bardzo tradycyjnej historii, opowiadającej o świecie po atomowym wybuchu „Fermi i mróz" F. Pohla, w „Wykopaliskach" i w „Klątwie królowej Kolchidy" C. Willis.

Drugi rzut!

nam antologia nr 2 uczucie niedosytu. Dotykamy zapewne tajemnic kapryśnej pisarskiej alchemii – raz idzie, raz nie – widać „kartofliska były tym razem gorzej nasłonecznione". Sprawdzałem, jak rzecz wyglądała w prozie polskiej; według mnie zgadza się. W roku 1984 mieliśmy w „Fantastyce" obszerne, dobre teksty Augustynka, Baranieckiego, Boryczki, Dębskiego, Kochańskiego, Oramusa, Piekary, Stefańskiego, Strusińskiego, Tuziaka, Ziemkiewicza, Zimniaka – wszystko rzeczy markowe, nagradzane, pamiętane przez czytelników. W roku 1985 z tekstów dobrych był jedynie Drukarczyk, Kochański, Oramus, Popik i przerzucone sztucznie z 1984 roku konkursowe teksty Lebiody i Wojewódzkiego. Czyżby więc w roku 1985 fantastom pisało się gorzej na całej północnej półkuli?

Łatwo właściwie powiedzieć do czego sprowadza się ten efekt w książce Wollheima. Wszystkie opowiadania, może poza nagrodzonym Shepardem i nie nagrodzonym, frywolnym „Stowarzyszeniem sennej telewizji" I. Watsona, sprawiają wrażenie wymęczonych, sztucznie rozciągniętych, pretensjonalnych. Puenty, owszem – jak zwykle u profesjonalistów są w porządku, ale drogą maszerujemy do nich górzystą i ciernistą. Zwartość dramaturgiczna, akcja, silna i naprawdę twórcza wyobraźnia nie są mocnymi atutami tej prozy. Jedynie w osobie tytułowej „Pajęczarki" J. Carr zawieramy znajomość z postacią międzygwiezdnego kuriera, przemierzającego przestrzenie na zasadzie telepatyczno-mistycznej, wywołującą dobre wrażenie. Podobny kurier, tyle że tradycyjny, zjawia się w „Wykopaliskach" C. J. Cherryh. Dalej – niedobrze. Bohater nadętego opowiadania Ellisona jest znacznie głupszy od czytelnika i domyśla się rozwiązania o wiele za późno. Aż trzy opowiadania są poświęcone ...archeologii bądź swoistej neoarcheologii, tzn. rekonstruowaniu przeszłości w przyszłym świecie pięćdziesiątego wieku. Tak jest w „Pożeglować do Bizancjum", najbardziej utytułowanym opowiadaniu książki, będącym, według mnie, wariacją na motywach wcześniejszego o rok tekstu Iana Watsona „Pamiętamy Babilon". Ciężkie pióra, brak wielotaktowych pomysłów, dziwne ograniczenie wyobraźni, nawet wtórność – oto, jak sądzę, grzechy tomu. Jest to proza profesjonalistów, zmęczonych, niedysponowanych, którzy jednakowoż znają się na swojej robocie. Właśnie – na robocie. Poszukiwania triku, sposobu, zdają się przeważać w tomie nad próbą dawania wyrazu autorskim przeświadczeniom, przeczuciom czy lękom.

Więcej niż poprzednio w antologii opowiadań tradycyjnych, stricte kosmicznych. Osobiście uważam to za osłabienie wyobraźni. Brak fabuł tak

Nie chcę szerzej wypowiadać się o tłumaczach, ale polszczyzna tekstów chwilami brzmi drętwo. Może to częściowo wina oryginałów. Termin *groupie* (ang.), występujący w opowiadaniu „Pajęczarka", a *„odnoszący się do fanatycznej wielbicielki grupy rockowej, podróżującej z zespołem podczas koncertów objazdowych i świadczącej muzykom usługi natury seksualnej"*, ma, o czym z przyjemnością przypominam tłumaczowi, polski odpowiednik – d... towarzysząca. Pewnie przez analogię z gitarą towarzyszącą.

Tom jest gorszy od poprzedniego, a więc amatorskie i nietrafne wprowadzenia Wollheima do poszczególnych opowiadanek drażnią mniej, natomiast jego wstęp, jak poprzednio, sprawia wrażenie wypowiedzi przyrządzonej naprędce i nie na temat. Przeciw tzw. gwiezdnym wojnom jesteśmy może i wszyscy, tu punkt dla sir Dona, tyle, że z opowiadań zajmujących się bliską przyszłością zamieszczono w tomie trzy, nie dwa, zaś zapowiadana przez autora wyboru inwazja fantasy nie uzyskuje w książce ilustracji, ani na dobrą sprawę „przedstawicielstwa", poza mieszającym konwencje opowiadaniem Sheparda.

Cztery zdania o okładce: po raz drugi częstuje nas wydawnictwo obrazeczkiem à la Foss, co się ma nijak do zawartości tomu. Nasi plastycy (w tym przypadku Dariusz Chojnacki, ale nie dotyczy to jego jednego), są bezradni wobec nowej prozy SF, nie znajdują plastycznych ekwiwalentów dla nowych przesłań, znaczeń, nastrojów i scenerii, dla nowej gry wyobraźni, jaką proponuje proza SF i F ostatnich lat. To smutne. Fantastyka, jak słyszę, zaczyna leżeć w księgarniach; złe, nie trafione okładki będą więc dłużej wprowadzać w błąd wszystkich – zwolenników i przeciwników SF, wkładając w ręce tym ostatnim nieprzyjemne argumenty.

Na zakończenie przypomnę, że wyzłośliwiam się tu nad książką, powstałą w wyniku inicjatywy godnej jedynie pochwały, która to książka w dodatku zostanie najprawdopodobniej uznana za przebój wydawniczy – 1986. Po prostu antologia poprzednia, znacznie lepsza (wydana – jakże by inaczej! – w nakładzie o 10 tys. mniejszym) wyrobiła nam smak na fantastyczne arcydzieła.

Maciej Parowski

Don Wollheim proponuje – 1986 (Najlepsze opowiadania science fiction roku 1985). Wybór, wstęp, komentarz Donald A. Wollheim. Współpraca: A. W. Saha. Autorzy: J.B.Clarke, I. Watson, G. Dozois, J. Dann, M. Swanwick, L. Shepard, R. Silverberg, J. Carr, H. Ellison, C. Willis, F. Pohl, C.J. Cherryh. Tłumacze różni. Redaktor W. Bukato. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1986. Cena 360 zł.


„Test pilota Pirxa", reż. Marek Piestrak

Proza Lema i jej ekranizacje

Grzegorz Pieńkowski

Lem szczęścia do dobrych ekranizacji nie miał.[1] Najczęściej był „dookreślany" przez twórców lubiących postawić kropkę nad i. Robiono to zresztą rozmaicie.

Pierwszą powieścią Lema, którą zainteresował się film, byli wydani w roku 1951 „Astronauci". Książka, uznana w owym czasie za jedną z najważniejszych w literaturze SF krajów socjalistycznych, jest eksploatacją znanego od dawna wątku katastroficznego. Cywilizacja ziemska zostaje zagrożona, musi rozpoznać niebezpieczeństwo, aby móc się przeciwstawić. Następuje tu jednak swoiste odwrócenie tradycyjnego schematu: nie mamy do czynienia z opisem zagłady, jak w „Wojnie światów" H.G. Wellsa, a tylko z tej zagłady możliwością. Jedną z przyczyn, które wpłynęły na ten stan rzeczy było stworzenie przez Lema dla potrzeb powieści państwa utopijnego. Bezkonfliktowego, globalnego, w jakiś sposób idealnego, którego istnienie staje się zagrożone przez obcych. Co do zagrożenia nie ma wątpliwości: odnaleziony magnetyczny raport jest wynikiem wenusjańskich badań nad możliwością zniszczenia życia na Ziemi – i jej późniejszej kolonizacji. Powieść składa się jakby z dwu części: utopii, będącej werbalnym wykładem wprowadzenia oraz zasadniczej, rozegranej wedle wymogów nurtu „space opera".

Taki materiał stał się podstawą do nakręcenia w koprodukcji Polski i NRD filmu w reżyserii Kurta Maetziga „Milcząca gwiazda" (1959). Ale: to, co w powieści stanowiło o formie części pierwszej, opanowało cały film. Utopijność, „wzbogacenie" o ton doraźnej publicystyki przy schematycznym, konturowym rysunku postaci dało w efekcie pozycję odbiegającą od pierwowzoru. Jeżeli dodać do tego zmianę losów bohaterów, oraz zmianę treściową pierwszej odsłony – ze zwerbalizowanego, ale interesującego opisu badania rejonu upadku meteorytu tunguskiego na prace nad zagospodarowaniem pustyni Gobi – można zrozumieć, dlaczego obecnie ów film jest tylko ciekawostką archiwalną. Jedynie stworzona przez Anatola Radzinowicza scenografia powierzchni Wenus jest aktualna do dziś. Coś nowego zaproponowali – w skali światowej – dopiero twórcy „2001: Odysei kosmicznej", natomiast w krajach socjalistycznych wpływy tej wizji utrzymywały się jeszcze długo.[2]

W roku 1955 ukazał się „Obłok Magellana". Rok później na rynku czeskim pojawiło się jego tłumaczenie; a w roku 1963 Jindrich Polak nakręcił „Ikarię XB1". Co prawda, w czołówce filmu autorzy nie przyznają się do pierwowzoru literackiego, jednakże cała pierwsza część oraz koncepcja całości wyraźnie odwołuje się do powieści Lema[3]. Skonstruowana według wymogów „space opera" ma jeden główny motyw tematyczny: problem podróży przez wszechświat. Tak jak w przypadku „Astronautów" – autor stosuje dwuczłonową budowę powieści; część pierwszą poświęca wprowadzającej prezentacji kreowanego świata, część druga – to historia izolowanego społeczeństwa „Gei" w czasie lotu do układu Alfy Centaura.

Swoistą reprojekcją autotematyczną wydaje się być narrator całości – lekarz. Postacie, istniejące właściwie poprzez przypisane im specjalizacje, są tak samo konturowe, jak i w „Astronautach". Widziane jednak przez pryzmat narracji pierwszoosobowej sprawiają o wiele cieplejsze, bardziej ludzkie wrażenie. Może dlatego, że tak wiele miejsca zajmuje tu ludzkie uczucie?[4] Opisy akcji, ilustratywne i dosyć płytkie, nie znajdują się już w centrum zainteresowania narracji. Punkt ciężkości został przeniesiony na opis zachowań jednostek i grup ludzkich, co sprawia niekiedy wrażenie powołania do życia bohatera zbiorowego – załogi „Gei".

W wersji czechosłowackiej, ekranowej, pozostał właściwie tylko opis akcji. Film stał się pionierską na swój sposób próbą zobrazowania życia codziennego załogi statku kosmicznego – przy natrętnej dyskursywności dialogów, zatraceniu realiów opisowych, spłyceniu antywojennej wymowy spotkania z zagubioną wojskową stacją kosmiczną. Jednakże dzięki nowej koncepcji opisu podróży kosmicznej film był atrakcyjny nie tylko dla widza polskiego. Wyświetlany z powodzeniem również we Francji, Anglii i USA stał się dalekim pierwowzorem opisu długodystansowego lotu kosmicznego w „2001: Odysei kosmicznej".

Wydana w roku 1961 „Solaris", najlepszy, moim zdaniem, utwór Lema, [5] należy już do innego nurtu SF. Będący spójną opowieścią o przeżyciach jednego z trzech naukowców (już nie astronautów), przysłanych na Solaris dla rozwiązania wielkiej zagadki, staje się wielkim dyskursem na temat wartości człowieka i jego intelektu w warunkach kontaktu z Obcymi – i jednocześnie swoistym wykładem na temat niemożności zaistnienia tego kontaktu.

Andriej Tarkowski, stosujący już wcześniej chwyty formalne charakterystyczne dla nurtu „inner space" w filmie („Dziecko wojny", „Andriej Rublow") zastosował zabieg odwrotny niż twórcy dwu poprzednich ekranizacji. Dopisał bowiem do jednoczęściowej powieści wstęp rozgrywający się na Ziemi – ukazując pełną zgodność z literackim i psychologicznym portretem bohatera stworzonego przez Lema. Obydwaj zresztą twórcy są bardzo sobie bliscy w antropomorficznym rozumieniu świata. Dlatego też chyba pierwowzór i ekranizacja są tak bardzo podobne w nastroju i unikaniu stechnicyzowania; w zagłębieniu się w ludzkiej psychice.

Kinowa[6] wersja „Solaris" ukazała się w roku 1971.

Ostatnią ekranizacją prozy Lema jest nakręcony przez Marka Piestraka w 1979 r. „Test pilota Pirxa", oparty na opowiadaniu „Rozprawa" z cyklu opowieści o pilocie Pirxie. Pierwowzór opowiedziany był w narracji odautorskiej. W filmie umieszczono całą fabułę w retrospektywnym opowiadaniu tytułowego bohatera. Dodano zobrazowanie rozgrywek koncernów i udosłownio-no – przez obraz – działanie robota. W efekcie to, co wynikało z toku akcji: końcowe stwierdzenie o ludzkiej, ślamazarnej poczciwości, w filmie jest ni stąd, ni zowąd wygłoszone przez odpoczywającego Pirxa.

Poza kinowymi były jeszcze telewizyjne próby przeniesienia prozy Lema na ekran: „Przekładaniec" oparty na scenariuszu oryginalnym, „Profesor Zazul" na podstawie trzeciej z pięciu końcowych opowieści w „Dziennikach gwiazdowych" i „Rozprawa" na motywach kryminalno-niesamowitego „Śledztwa". Żadna z nich nie wyróżniła się niczym szczególnym w potraktowaniu motywów fantastyki naukowej. ■

Przypisy

1. Dobrą ekranizacją nazywam taką, która – nie trzymając się nawet wiernie struktury utworu literackiego, to bowiem jest najczęściej niemożliwe; wszak nie ma recepty na przeniesienie w język obrazu umowności słów i gry wyobraźni przy lekturze – przekazuje bez zniekształceń główne myśli i przesłanie utworu. Z czterech omawianych na nazwę dobrej zasługuje tylko „Solaris". Tu przełamany został realizm obrazu filmowego, jego dosłowność; tworzywo filmowe, jakim jest obraz, ma zawsze tendencje do dosłowności opisu. Rozważać nawet można oglądane na ekranie wizje jako samodzielnie egzystujące rzeczy i znaki. A. Ćwikiel w pracy „Science fiction jako gatunek filmowy" pisze *„Iluzja prawdziwości prezentowanego świata zostaje w science fiction wzmocniona przez wymóg materialności filmowego przedmiotu"*. Jednakże pociąga to za sobą – szczególnie przy opowieściach fantastyczno-naukowych – niebezpieczeństwo przewagi znaku obrazowego nad warstwą myślową dzieła; jeżeli tak się stanie, mamy do czynienia z opowieścią obrazkową nie najwyższego lotu („Wojny gwiezdne", „Star Trek" i tym podobne). Dlatego też Tarkowski zasługuje na duże uznanie – za wyczucie tego niebezpieczeństwa i uniknięcie go w swoim filmie.
2. Warto wspomnieć o treściowo podobnym filmie amerykańskim Lloyda Bridgesa „Rocket Ship XM" (1950): *„... amerykańska ekspedycja ląduje na Marsie, a jej uczestnicy odnajdują ślady wysokiej cywilizacji. Wysoki stopień radioaktywności na liczniku informuje ich, że miała tu miejsce wojna atomowa. Grupa bezmyślnych dzikusów mieszkających w pieczarach to wszyscy, którzy ocaleli z pożogi. Astronauci przekazują na Ziemię swoje spostrzeżenia, ostrzegając jej mieszkańców przed tym, co może przynieść wojna atomowa"* (cyt. za: D. Peary: *Amerykańskie filmy science fiction jako...* „Film na Świecie" 1978 nr 7–8 str. 119).
3. Potwierdza to m.in. A. Kołodyński: *„W konstrukcji całości, jak i w sposobie ujęcia niektórych wątków autorzy filmu korzystali wyraźnie z powieści Stanisława Lema »Obłok Magellana«"*. (A. Kołodyński: *Film fantastyczno-naukowy*, WAiF, Warszawa 1972, str. 126.)
4. Patrz wypowiedź A. Stoffa: *Powieść fantastyczno-naukowa Stanisława Lema*, Prace Wydz. Filologiczno-Filozoficznego Uniwersytetu w Toruniu, PWN, Warszawa–Poznań–Toruń 1983, str. 32–64.
5. Do dziś zajmuje pierwsze miejsce w plebiscytach czytelników. Patrz: listy bestsellerów „Fantastyki" (1982).
6. Została bowiem dwa lata wcześniej nakręcona w ZSRR wersja telewizyjna; nie odniosła jednak większego sukcesu. Była próbą dosłownego potraktowania powieści jako scenopisu.

1977 (ciąg dalszy)

1192. WELLS Herbert George: *Wojna światów.* Tłum. [z ang.] Henryk Józefowicz. Wyd. III powoj. [w metryczce mylnie II]. Warszawa. Iskry. 16° ss. 258, nlb. 2. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1193. WIŚNIEWSKI-SNERG Adam: *Robot.* Wyd. II. zm. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 305, nlb. 2. 30 000 egz.
W ZACZAROWANYM zwierciadle. – zob. AF.
1194. ŻWIKIEWICZ Wiktor: *Maszyna. Happening w oliwnym gaju.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 88, nlb. 4. 30 000 egz. – Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór dziesiąty. – Na okładce tylko tyt. drugiego opow.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1195. (?) HOFMAN Ota: *Pan Tau i tysiąc dziwów.* Tłum. [z czesk.] Cecylia Dmochowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° podł. ss. 257, nlb. 7. 30 000 egz. – CJF z elementami SF.
1196. PETECKI Bohdan: *Sola z nieba północnego.* Katowice. Wyd. Śląsk. 16° ss. 273, nlb. 2. 20 000 egz.
1197. PETECKI Bohdan: *X-1, uwolnij gwiazdy!...* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 312, nlb. 4. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
1198. *SPUTNIK pełen bajek.* Aut.: Helga Mayer [i in.]. Red. i tłum. [z niem.] Mieczysław Siemieński. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 37, nlb. 3. 30 000 egz.
1199. TOMASZEWSKA Marta: *Wyprawa Tapatików.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 112, nlb. 4. 60 000 egz.

Utopia (U):

1200. GÓRZAŃSKI Jerzy: *Małpi zamek.* Wyd. II rozszerz. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 190, nlb. 1. 10 000 egz. – Biblioteka Satyry.
1201. NATSUME Sóseki: *Jestem kotem.* Tłum. z jap. i posłowie Mikołaj Melanowicz. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 500, nlb. 3. 10 000 egz.
1202. PILHES René-Victor: *Bazyliszek.* Tłum. [z franc.] Jerzy Pański. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 405, nlb. 3. 20 000 egz.
1203. OTREMBUS PODGROBELSKI Śledź [właśc.: MOSKAL Stanisław]: *Wstęp do imaginoskopii (próba zarysu).* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 189, nlb. 7. 10 000 egz.
1204. PRZYPKOWSKI Andrzej: *Taniec marihuany.* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 365. nlb. 3. 20 000 egz.
1205. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Dzwony Piekieł.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 201, nlb. 3. 4 000 egz. – Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej. – U/ASF.
TRYBUSIEWICZ J.: *W poszukiwaniu...* – zob. R.
1206. VONNEGUT Kurt: *Pianola.* Tłum. z ang. Wiesław Niepokólczycki. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 296, nlb. 3. 30 000 egz. – U/ASF.
1207. VONNEGUT Kurt: *Śniadanie mistrzów, czyli Żegnaj czarny poniedziałku.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 263, nlb. 5. 30 000 egz. – Współczesna Proza Światowa. – U/ASF.

Fantazja dla dorosłych (AF):

1208. AFANASJEW Jerzy: *Ja jestem tobą.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 177, nlb. 2. 10 000 egz.
1209. ASTURIAS Miguel Angel: *Niejaka Mulatka.* Tłum. [z hiszp.] Andrzej Nowicki. Posłowie Ryszard Kalicki. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 342, nlb. 2. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
1210. BARRETT William E.: *Czarnoksiężnik.* Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Warszawa. Inst. Wyd. Pax 16° ss. 160, nlb. 4. 5 000 egz.
1211. (?) BENET Juan: *Pięć opowiadań i dwie bajki.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Wasiłowa. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 57, nlb. 3. 10 000 egz. – Elementy fantast.
1212. BIANCO José: *Szczury. Przyobleka się w cienie.* Tłum. [z hiszp.] i posłowie Leszek Kautra. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 117, nlb. 3. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
1213. BLIXEN Karen: *Siedem fantastycznych opowieści.* Tłum. z duń. Franciszek Jaszuński. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 444, nlb. 4 10 000 egz. – Seria Dzieł Pisarzy Skandynawskich.
1214. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Doktor Twardowski.* Cz. I. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 304, nlb. 3. 30 000 egz. – T. II zob. 1979. – Elementy fantast.
1215. CAROLL Lewis: *Alicja w Krainie Czarów.* Tłum. [z ang.] Antoni Marianowicz. Wyd. IV w tym tłum. Warszawa. Nasza Księgarnia, 8° ss. 116, nlb. 4. 50 000 egz. – Klasyka Dziecięca. – AF/CJF.
1216. CORTAZAR Julio: *Opowiadania zebrane.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Wyd. II znacznie rozsz. T. I/II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° T. I ss. 278, nlb. 2; T. II ss. 415, nlb. 3. 30 000 egz.
CORTAZAR J.: *Ośmiościan.* – zob. 1976. (postdat.).
1217. DRZEŻDŻON Jan: *Leśna Dąbrowa.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 162, nlb. 2. 10 000 egz.
1218. DRZEŻDŻON Jan: *Tajemnica bursztynowej szkatułki.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 239, nlb. 5. 20 000 egz. – AF/CJF.
DZIWO morza. – zob. W.
1219. GEISSLER Horst Wolfram: *Odyseusz i kobiety. Odyseusz i Penelopa.* Tłum. [z niem.] Edyta Sicińska. Warszawa. Czytelnik. ss. 249, nlb. 6. 50 000 egz. – Seria z kotem.
1220. LUNDKVIST Artur: *Upadek Jerycha.* Opowiadania. Tłum. [ze szw.] Zygmunt Łanowski. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 62, nlb. 2. 20 000 egz.
1221. NAWROCKI Aleksander: *Święci ze snów i jarów.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 82, nlb. 4. 10 000 egz. – Pierwszych pięć opowiadań fantastycznych.
1222. PINON Nelida: *Założyciel.* Tłum. [z hiszp.] i posłowie Janina Z. Klave. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 248, nlb. 4. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
1223. POŁOM Stefan: *Siódmy wspaniały świat roślin.* Olsztyn. Pojezierze. 16° ss. 114, nlb. 2. 5 000 egz. – AF/ASF/W.
1224. ROLLECZEK-KOROMBEL Natalia: *Bogaty książę.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 333, nlb. 3. 40 000 egz.
1225. SADZEWICZ Marek: *Powrót Katarzyny.* Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 298, nlb. 2. 30 000 egz. – AF/ASF.
1226. (?) STYCZEŃ Janusz: *Uśnij snem morskim i inne dramaty.* Wrocław. Ossolineum. 16° ss.174, nlb. 2. 30 000 egz. – Elementy fantast.

cdn.
Przygotował Jacek Izworski

Ponad 300 lat temu zapisał był Błażej Pascal w swoich „Myślach": *„Kiedy zważam krótkość swego życia, wchłoniętego w wieczność będącą przed nim i po nim, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuję, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu niż tam, nie ma bowiem racji, czemu raczej tu niż gdzie indziej, czemu raczej teraz niż wtedy..."*

Figle naszego świata

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

Słynne paskalowskie pytanie! Na pewno takie pytania stawiało sobie wielu ludzi w różnych czasach – i różnie na nie odpowiadali. Ale pytanie to odnosi się nie tylko do własnej, jednostkowej egzystencji. Dlaczego bowiem właśnie na trzeciej z planet, krążących wokół gwiazdy, zwanej Słońcem, w określonym czasie trwania Wszechświata, pojawiły się istoty, mogące zadawać takie pytania? *„Czemu raczej tu, niż gdzie indziej, czemu raczej teraz niż wtedy?"*

Tak zwany zdrowy rozsądek podsuwa od razu logiczną odpowiedź: skoro pojawienie się istot rozumnych stanowi w ogóle prawidłowość ewolucji materii, tedy w końcu rozum musiał się pojawić g d z i e ś i kiedyś. I pojawił się właśnie tam, gdzie istniały warunki dla powstania i ewolucji życia, wtedy – kiedy minął odpowiedni czas, by mógł ukształtować się myślący mózg. Aż dziwne, że odpowiedź jest tak prosta – ale czy taka odpowiedź wystarcza? Są tacy, co ze złośliwym uporem zaczną znowu: no dobrze, ale dlaczego akurat w tym zakątku Galaktyki, na trzeciej planecie przy Słońcu zaistniały takie właśnie okoliczności, spełnione zostały takie właśnie warunki (bardzo przecież szczególne!), że powstało tu życie i w końcu MY? Nie pozostaje nic innego, jak odpowiedź: „tak się złożyło"... i przyznać, że w istocie musiał to być niesłychany ciąg p r z y p a d k ó w. Bo przypadkiem jest, że Słońce nie jest gwiazdą ani zbyt gorącą, ani zbyt zimną, że wytworzyły się wokół niego planety, że tylko jedna z nich miała odpowiednią wielkość i zatem odpowiednie ciążenie, że na tej jednej powstała taka, a nie inna atmosfera i że mogła tam być woda w postaci płynu, że wszystko to jeszcze było odpowiednio zgrane w czasie, no i że akurat wtedy nie znalazła się w pobliżu gwiazda, która mogłaby wybuchnąć (bo przecież cały Układ Słoneczny stale podróżuje w nieskończonych przestrzeniach) – i tak dalej, i dalej. Przypadkowe okoliczności można wymieniać długo i wszystkie okazują się istotne – bo gdyby c o k o l w i e k działo się inaczej, życie nie mogłoby się rozwinąć. Wiemy przecież, że życie oparte na białku i kwasach nukleinowych (DNA) może istnieć i rozwijać się tylko w naprawdę „wąskim paśmie" okoliczności, w granicach zakreślonych niewielkimi skrajnymi odchyleniami warunków fizycznych. Więc gdyby choć jeden z tysięcy warunków nie został spełniony... no cóż, nie istniałoby życie i nie byłoby NAS. A jednak jesteśmy i nie wszystkich zadowala wyjaśnienie tego faktu ciągiem wręcz nieprawdopodobnych przypadków.

Kiedyś sprawa była łatwiejsza do pojęcia. Ziemia była w Kosmosie miejscem szczególnym, wyróżnionym, centralnym – wobec tego musiały się tu dziać rzeczy niezwykłe i jedyne w swoim rodzaju. Pomiędzy człowiekiem a Kosmosem musiała istnieć ścisła harmonia – i przez większą część swej historii ludzie mieli poczucie takiej harmonii, tkwiąc w centrum świata, jako najważniejszy jego element.

Wiemy, jakim wstrząsem stała się teza Kopernika, że to nie Ziemia jest środkiem świata, że jest ona tylko jedną z planet obiegających Słońce. Mało kto (poza uczonymi) zdaje sobie sprawę, jak długo jeszcze potem sądzono, że przynajmniej Słońce znajduje się w „środku świata" – dopiero w 1918 r. astronom Harlow Shapley wykazał, że Słońce ze swoimi planetami przemierza pustawe krańce Galaktyki, daleko od jej centralnych i rojnych obszarów. W 1955 r. nasza Galaktyka – Droga Mleczna – także straciła miejsce uprzywilejowane, Walter Baade dowiódł ostatecznie, że jest ona nie największa, rozmiary ma przeciętne, jest po prostu typową, spiralną galaktyką, jakich we Wszechświecie pełno. Zatem ani cała Galaktyka, ani gwiazda zwana Słońcem, ani Ziemia nie zajmują miejsc wyróżnionych. Gdyby jakaś wielka cywilizacja kosmiczna zechciała NAS szukać, miałaby wielkie trudności – bo jakże tu szukać ROZUMU w jakichś zapadłych i niczym szczególnym nie odznaczających się kątach przeciętnej galaktyki, na typowej planecie blisko przeciętnej gwiazdy?

Na razie jednak nikt nas nie poszukuje i nie jest wykluczone, że właśnie poza nami nikogo zdolnego do takich poszukiwań we Wszechświecie nie ma. Może więc uprawnione jest jednak i takie spojrzenie: wprawdzie Ziemia i Słońce tkwią „w kącie Wszechświata", ale uprzywilejowana pozycja Ziemi polega na tym, że MY właśnie na niej jesteśmy!

Mogłoby się zdawać, że takie rozważania nie za wiele wnoszą do nauki, ale okazało się, iż prowadzą one do najdziwniejszych hipotez, jakie w ogóle można sobie wyobrazić.

Zaczęło się od dziwacznego pytania, które w 1961 r. zadał amerykański fizyk Robert Dicke. Zapytał on mianowicie, jaki p o w i n i e n być Wszechświat, żeby mógł pojawić się człowiek. Obrócił jakby tok rozumowania – bo dotąd zawsze „dopasowywano" życie i człowieka do Wszechświata. Dicke zaczął obliczać, co by się działo, gdyby znany nam Kosmos był teraz cokolwiek większy albo cokolwiek mniejszy, starszy lub młodszy.

Nie sposób przytaczać tu dowodów Dickego, ale trzeba stwierdzić, że już sam jego sposób podejścia do tej sprawy jest fascynujący (oparty na znanej już dawniej, niezwykłej i tajemniczej tzw. koincydencji wielkich liczb; chodzi o to, że w obliczeniach, dotyczących bardzo różnych aspektów fizyki i kosmologii pojawia się ta sama, gigantyczna liczba 10^{40}). W każdym razie Dicke dowiódł, że obecny wiek Wszechświata jest okresem w dziwny sposób w y r ó ż n i o n y m, (pozostającym w związkach liczbowych z liczbami, dotyczącymi pewnych wymiarów w atomie i w całym Kosmosie). Wyróżnienie polega więc na tym, że gdyby Wszechświat był starszy lub młodszy – owe związki liczbowe nie wystąpiłyby. Czy zatem owo „wyróżnienie" obecnego wieku Wszechświata nie jest przypadkiem – pyta Dicke – czy może właśnie nie jest przypadkiem, że akurat w tym wyróżnionym czasie pojawili się ludzie? Różne rozważania natury fizycznej i matematycznej prowadzą Dickego do wniosku: tajemnicze związki liczbowe (koincydencje) nie są przypadkowe – są nieuchronną konsekwencją faktu, iż właśnie teraz istnieją twory biologiczne, obdarzone świadomością. Nie jest łatwo pojąć taki „odwrócony" sposób rozumowania: pewna fundamentalna własność świata istnieje dlatego, że pojawiło się życie! Mogę tylko dodać, iż ta fundamentalna własność, o której mowa, nie została dotąd wyjaśniona w inny sposób, choć wielcy fizycy – Dirac i Eddington – stworzyli na ten temat wielce zawiłe teorie. Zostawmy tę tajemniczą sprawę na boku, spójrzmy na wnioski. Otóż wniosek jest dowiedziony: gdyby Wszechświat miał inny wiek (chodzi o rzędy wielkości) lub gdyby był mniejszy – życie nie mogłoby powstać. Inaczej mówiąc, odpowiedź na pierwsze pytanie Dickego brzmi: żeby mógł powstać człowiek, Wszechświat musi być d o k ł a d n i e t a k i, j a k i w ł a ś n i e j e s t. To stwierdzenie tylko na pierwszy rzut oka wydaje się oczywiste: możemy powiedzieć, że przecież to tylko kwestia czasu; w takim Wszechświecie ludzie mogli pojawić się wcześniej lub później, ale akurat przypadkowy zestaw okoliczności w określonym miejscu...

Otóż nie! Życie i za nim ludzie mogli pojawić się tylko dokładnie w tym czasie, kiedy pewna liczba, określająca wiek Wszechświata była właśnie taka, a nie inna. To coś tak, jakby powiedzieć, że pojawienie się życia było już „zapisane" w momencie Wielkiego Wybuchu, na samym początku. Ale i to Dickemu nie wystarcza – jeszcze raz wywraca zdroworozsądkowe myślenie: powiada, że Wszechświat jest właśnie taki, jaki jest, ponieważ MY w nim żyjemy. Jest to modna dziś w kosmologii i filozofii, choć oczywiście zaciekle krytykowana ZASADA ANTROPICZNA *(the anthropic principle;* zapewne powinno się wymyślić ładniej brzmiący termin polski; w każdym razie „zasada antropologiczna" byłoby nieprawidłowo). Otóż zasada ta przeczy bodaj wszystkiemu, co myśleliśmy dotąd na temat przyrody i naturalnie nie musimy jej obowiązkowo uznać – przypominam, że moje felietony próbują tylko pokazywać pewne nowe DROGI MYŚLENIA we współczesnej nauce. Nie muszą to być drogi prawidłowe (prowadzące do prawdy), choć

mogą być takie – ale najważniejsze, że rozwijają WYOBRAŹNIĘ.

Ale przecież nie tylko Dicke uznaje działanie we Wszechświecie niesamowitej zasady antropicznej. Słynny kosmolog Fred Hoyle (ile już razy przytaczałem opinię tego niezwykłego umysłu!) zwrócił uwagę, że powstawanie w gwiazdach „pierwiastka życia", czyli węgla, byłoby bardzo mało prawdopodobne i rzadkie, gdyby nie zbieg wyjątkowych okoliczności. Otóż jądra atomu węgla tworzą się wskutek jednoczesnego zderzenia trzech jąder helu. Ze zderzenia dwóch jąder helu powstaje coś szalenie nietrwałego, co trwa tylko przez niewyobrażalnie krótki czas 10^{-12} sekundy. W tym czasie, wobec którego mgnienie oka staje się wiecznością, musi dołączyć trzecie jądro helu. Otóż przypadkowo (?) energia jąder atomowych w t y p o w e j gwieździe jest właśnie taka, że zdarzenie to jest możliwe i nawet zachodzi często. Ale nowo powstałe jądro węgla uderzając w kolejne jądro helu zmieniałoby się w tlen. Zmieniałoby się, gdyby nie następna, przypadkowa (?) koincydencja (mniejsza o to, jaka). W każdym razie zajście wyżej wymienionych wydarzeń zależy od wartości pewnych subtelnych stałych, charakteryzujących odrębne procesy jądrowe. Gdyby te wartości były choć trochę mniejsze lub większe, węgiel nie mógłby pozostać trwałą podstawą życia. Ta kolejna okoliczność, występująca jakby „na korzyść życia" wydaje się Hoyle'owi *„figlem, nieumyślnie zrobionym"* (Hoyle zawsze lubił wyrażać się w sposób „nienaukowy").

Wspominałem wyżej o pewnych stałych fizycznych, mających ściśle obliczone wartości liczbowe. Są to – na przykład – szybkość światła w próżni, stała Plancka, stała grawitacji, ładunek elementarny elektryczności, masa elektronu, tzw. elektromagnetyczna stała struktury subtelnej i wiele innych. Co by się zdarzyło gdyby wartości liczbowe tych stałych były choć trochę inne? Zaczęto to obliczać dość niedawno i wyniki tych obliczeń wszystkich zaskoczyły. Okazało się, że najmniejsza zmiana jakiejkolwiek stałej zmieniłaby zupełnie losy Wszechświata. To znaczy, istniałby on również, byłby może podobny, ale – życia ani NAS by tutaj nie było...

Na przykład, gdyby grawitacja była „o włos" słabsza albo siły elektryczne „o włos" silniejsze, albo elektron troszeczkę lżejszy wobec protonu – wszystkie gwiazdy byłyby dziś już w stanie tzw. czerwonych karłów, byłyby znacznie chłodniejsze. Gdyby grawitacja była troszeczkę silniejsza albo siły elektromagnetyczne nieco słabsze, albo elektron cięższy – wszystkie gwiazdy byłyby tzw. błękitnymi olbrzymami i byłyby gorętsze. W obu przypadkach życie nie mogłoby powstać.

Stephen Hawking, wielki kosmolog, przykuty całe życie do inwalidzkiego wózka, udowodnił, że galaktyki i systemy planetarne nie mogłyby się tworzyć, gdyby prędkość rozszerzania się Wszechświata była trochę inna, niż jest. Obecna prędkość rozszerzania się jest warunkiem izotropowości Wszechświata (to znaczy, iż jest on jednolity w wielkiej skali). Gdyby nie było owej jednolitości, Kosmos byłby inny, nie mogłyby się pojawić systemy planetarne, nie byłoby planet, nie byłoby Ziemi i... Oczywiście – mówi Hawking – Wszechświat musi być taki, jaki jest, ponieważ inaczej nie byłoby nikogo, kto mógłby zastanawiać się nad tym faktem. Najdziwniejsze, że nie chodzi tu o lokalne okoliczności, nie – Wszechświat j a k o c a ł o ś ć „dostosowany jest" do naszego istnienia. Jest rzeczą niesłychaną, że regularność, występująca w skali wszystkiego (bo całego Kosmosu) tak silnie dotyczy człowieka!

Tego rodzaju niesłychanych zależności można wymienić więcej. Przychodzi na myśl, że podstawowe stałe fizyczne zostały „dobrane" na korzyść życia. Uczony jednak nie powinien zadowolić się takim myśleniem – musi szukać wspólnej przyczyny, jednolitej teorii, która tłumaczyłaby całe łańcuchy podobnych, właściwie „cudownych" koincydencji. Może istnieje jakieś podstawowe, wciąż ukryte przed nami prawo przyrody, sprawiające, że Wszechświat stanowi nie tylko spójną całość, ale całość, w której wszystkie najważniejsze czynniki zostały tak dobrane, by ich efektem mógł stać się OBSERWATOR?

Trzeba powiedzieć od razu, iż mimo wielu wysiłków, nie znaleziono dotąd fizycznego prawa, zasady, która wyjaśniłaby te nieprzypadkowe, niejako „biologiczne" cechy obserwowanego Wszechświata („biologiczne" dlatego, że nie są one konieczne czysto fizycznemu światu – stają się niezbędne, konieczne dopiero wtedy, kiedy założymy, iż „przeznaczeniem" ich jest wytworzenie tworów biologicznych). Sprawy te wyjaśnia zasada antropiczna, wszakże buntujemy się, by ją uznać za prawomocną.

Warto sobie uświadomić, iż teoria nie zaprzecza możliwości powstania r ó ż n y c h Wszechświatów (a nawet jednoczesnego ich istnienia). To znaczy w chwili początkowej, chwili osobliwej, mógł wyłonić się inny Wszechświat, niż ten, który oglądamy. Można to ująć tak: możliwe są różne modele kosmologiczne (modele Wszechświata), ale NASZ Wszechświat ma akurat taki model, jaki nieuchronnie prowadzi do pojawienia się NAS. To tak, jakby z wielu dostępnych modeli wybrać jeden, ściśle określony – jedyny, w którym może istnieć życie.

Jeden z wybitnych współczesnych fizyków, Paul Davies, omawiając zasadę antropiczną, pisze tak (tłumaczenie Leszka Sokołowskiego z Obserwatorium Astronomicznego UJ): *„...dlaczego z nieskończonego zbioru możliwości, jakie przyroda mogła wybrać dla stałych podstawowych, oraz z nieskończonego zbioru warunków początkowych, które mogły charakteryzować pierwotny Wszechświat, wybrane zostały te wartości i warunki, które składają się na uformowanie bardzo szczególnych właściwości – tych, które obserwujemy? Jest bowiem jasne, że Wszechświat jest bardzo szczególny: niezwykle jednolity w wielkiej skali, ale nie aż tak bardzo jednolity, by nie mogły powstać galaktyki; (...) dostatecznie chłodny, by mogły zachodzić reakcje chemiczne; niemal bez odpychania kosmicznego, oraz z szybkością rozszerzania dopasowaną z niewiarygodną dokładnością do grawitacyjnych sił hamujących; z siłami oddziaływań tak dobranymi, by mogły istnieć jądra atomowe, a zarazem by kosmiczny wodór nie wypalił się natychmiast, i z wieloma innymi, korzystnymi dla nas, pozornie przypadkowymi właściwościami. (...) Gdyby choć jedno ze ścisłych dopasowań, omawianych wcześniej, nie zachodziło, to wówczas życie – oczywiście takie, jakie znamy – byłoby niemożliwe".*

Jeśli komu nie wystarcza wyjaśnienie, że Wszechświat jest taki, bo taki właśnie jest, może zastanowić się nad dwiema wersjami (tzn. słabą i silną) zasady antropicznej. Wersja słaba: *„to, co spodziewamy się zaobserwować w przyrodzie, w Kosmosie, musi spełniać warunki konieczne dla istnienia nas, jako obserwatorów".* Wersja silna zasady antropicznej: *„Wszechświat musi być taki, by dopuszczać powstanie w nim obserwatorów...",* czyli Wszechświat jest taki, jaki jest, p o n i e w a ż MY w nim istniejemy. Fizyk Barrow powiada, że *„liczne obserwacje świata fizycznego, chociaż zdumiewające a priori, jawią się nam jako nieuniknione konsekwencje naszego istnienia".*

Jest prawdą, że gdyby wartości stałych fizycznych i warunki początkowe Wszechświata były inne, nie miałby kto pytać o to, jaki jest Wszechświat. Ale też nie sposób pojąć, że Wszechświat miałby być konsekwencją naszego istnienia, choć trzeba przyjąć do wiadomości, że takie postawienie sprawy nie jest sprzeczne z mechaniką kwantową. Teoria kwantów dodaje tu pewne niezwykłe dowody fizyczne... (o tym może innym razem).

Mnie zasada antropiczna fascynuje swą niezwykłością: oto wszystko jest takie dlatego, byśmy mogli to „wszystko" poznawać. Jeśli to nieprawda, jeśli niezwykłe cechy Wszechświata i przyrody znajdą lepsze wyjaśnienie, i tak nie zniknie powód do zdziwienia: dlaczego najgłębsze, podstawowe prawa fizyki są już „u źródła" przychylne myślącym istotom?



Marek Zalejski

Kocham i nienawidzę!

Zaczęta przez Marka Oramusa dyskusja o grzechach polskiej science fiction nie może się skończyć. Wady fantastyki polskiej niepokoją nas chyba bardziej niż cieszą zalety.

Dziś napadają na polską SF dwaj autorzy i krytycy trzeciej generacji – Zbigniew T. Dworak i Maciej Parowski. Znamienne, że atakują fantastykę młodych, a więc uprawianą nie przez swoje pokolenie. Zbigniew T. Dworak pastwi się nad zmierzchającym modelem fantastyki kosmicznej, „okropnościowej", przygodowej; obok Parowski próbuje zbudować uniwersalny, „komputerowy" schemat opowiadania, realizującego poetykę, która wykluła się w ostatnich latach. Dworak nabija się m.in. z „wlezieńców", będących jego własną kreacją; Parowski demaskuje schematyzm konwencji, którą lansuje jako redaktor i której basuje jako krytyk... Kocham i nienawidzę!... Takie odkrywanie szablonów, demaskowanie stereotypów i przejawów ułatwionego pseudofantastycznego myślenia na pewno dobrze zrobi nam wszystkim. Ale, przyznajemy, najnowsza fantastyka polska – i w cnotach i w grzechach – bogatsza jest chyba od schematów, w których próbują ją zamknąć dwaj gniewni panowie.

Redakcja

Opowiadanie fantastyczne

Zbigniew Dworak

Opowiadanie fantastyczne?!... Jakże je pisać, skoro w tej dziedzinie wszystko zostało już wymyślone, powiedziane i przewidziane. Więc żeby napisać takie opowiadanie, trzeba osiągnąć niespotykaną oryginalność zarówno formy, jak i treści, pilnie zważając jednak, żeby oryginalność nie przekształciła się w bełkot!

O treści było już wyżej. Forma? Darujcie, ale i nią nie można już zadziwić czytelników, zaskoczyć krytyków, przerazić purystów. Chyba, żeby zacząć pisać w najbardziej nieprawdopodobny sposób – pisać słowa wspak i „do góry nogami" i nie używać żadnych zdań, ale takich dziwactw żaden wydawca nie zechce przyjąć, nawet jeśliby go autor przekonywał – zaklinając na wszelkie świętości, na entropię, na nieskończoność wyrażoną graficznie obaloną na wznak ósemką – iż jest to nowy, rewelacyjny, unikatowy wprost sposób przekazywania informacji. Rzeczywiście – unikatowy, tylko co komu z tego przyjdzie?

A i jakąż informację można w ten sposób przekazać? Najpewniej tę tylko, że z samym autorem coś jest nie w porządku – widocznie sam ma przewrócone w głowie... „Alboż to mało teraz wariatów? Co nam z jeszcze jednego?" – powie ten i ów, wzruszając obojętnie ramionami.

Młody autor gorąco pragnie napisać opowiadanie. Pragnie wyłożonymi przez siebie zasadami fantazji wprawić w osłupienie, przestraszyć, ugodzić czytelnika. Niejasno przeczuwa, że wielka to sztuka dopasować do ukończonego już pałacu jakiś szczegół, fragment architektoniczny, który by budowlę uświetnił i nie bardzo wie, jak się do tego zabrać. Wydaje mu się, że najlepszy będzie element grozy – czytelnik lubi i powinien się bać! – oraz nieprawdopodobny zespół zjawisk czasowo-przestrzennych. O podróży w czasie można przecież pisać wiecznie. Co prawda fizycy i astronomowie mają na ten temat określone zdanie, ale to nie zraża młodego, początkującego opowiadacza.

„Literaturze wszystko wolno, a kto by się tam przejmował nauką!" – pokrzykuje radośnie autor, stawiając na zasadę licentia poetica. Siada też zaraz do maszyny. Wolałby co prawda dyktafon albo wprost czytnik myśli, żeby się zbytnio nie trudzić, lecz zdaje sobie sprawę, że w naszych warunkach jest to czcza fantazja. Siada więc do maszyny i... i pisze.

Pisze opowiadanie takiej mniej więcej treści:

Młody, odważny pilot transgalaktycznych linii kurierskich, przeżywający właśnie nieszczęśliwą miłość – wybranka jego serca wzgardziła nim biorąc sobie za męża cyborga, który ma wszystko sztuczne i wiecznotrwałe (z wyjątkiem oczywiście pieniędzy; te są co prawda nietrwałe, ale za to prawdziwe) – postanawia wybrać się w niezbadane rejony Wszechświata, żeby dokonać wiekopomnego odkrycia. Nie bardzo wiadomo (autor sam nie miał o tym zielonego pojęcia), czym się zajmował przybywszy w okolice galaktyki oznaczonej numerem NGC 13721, dość na tym, że wkrótce wybuchła tam supernowa i to III rodzaju!*

W drodze powrotnej nasz bohater usiłuje przelecieć przez sam środek Antaresa, dobrze znanej wszystkim gwiazdy-nadolbrzyma, lecz nie udaje mu się dokonać tego manewru i tylko osmala stery swojej nadszybkiej rakiety. Dalej z bohaterem dzieje się coś dziwnego: z hiperrozpędu mija własną epokę i przybywa na Ziemię na rok przed swoim urodzeniem. Jest tym nieco zaskoczony, nie traci jednak głowy i w błyskotliwy sposób uwodzi własną matkę, zostając sam sobie ojcem.

Młodemu opowiadaczowi nieobce są tajniki warsztatu pisarskiego – przynajmniej teoretycznie. Jest on dość dobrym narratorem – umie potęgować nastrój, spiętrzać napięcie, zaskakiwać paradoksalnymi wyrażeniami i skojarzeniami, toteż młodociany czytelnik – on jest najczęstszym odbiorcą utworów science fiction – emocjonuje się coraz silniej.

Taki czytelnik dotarł właśnie do momentu, w którym autor posyła swego bohatera na maleńką zapomnianą wysepkę na Pacyfiku. Bohater zapuszcza się w gąszcz dziwacznej, ultratropikalnej roślinności i już niebawem stacza walkę za straszliwą mątwornicą – mieszkanką niewielkich, kolistego kształtu jezior, rozsianych dość gęsto w tej niezwykłej dżungli. Zaniepokojony spotkaniem z nieznaną mu florą i fauną, jak też przestraszony nieco własną brawurą, bohater opowiadania wraca na wybrzeże. Rozciąga się wygodnie na ciepłym piasku i kontempluje zachód Słońca. W chwili, gdy ostatni promień Słońca znika w oceanie, bohater uprzytamnia sobie, że osobliwość świata roślinnego i zwierzęcego jest wynikiem eksperymentów jądrowych, dokonywanych w zamierzchłych epokach na wyspach Pacyfiku. Przeprowadzili je źli ludzie niedobrego XX wieku. Bohater jest oburzony i pragnie dać temu wyraz, kiedy nagle spostrzega z przerażeniem, że w jego kierunku zmierza cichcem ogromna mątwornica. Jest już bardzo blisko.

I nagle... Nagle młodociany czytelnik stwierdza, cały spotniały ze strachu, że to właśnie on jest tym bohaterem i że to w jego stronę pełznie ohydna, zielonkawofioletowa mątwornica, połyskująca w upiornym i bez tego świetle księżyca. Wyciąga swoje odrażające macki, mrugając przy tym złośliwie malutkimi oczkami i... aaa!!!

Przybiegają zaalarmowani krzykiem rodzice i nie mogąc w żaden sposób uspokoić chłopca, wzywają lekarza.

Nie należy się dziwić, że po zbadaniu pacjenta lekarz smutnie kiwa głową, zaleca w domu absolutny spokój oraz wyrzucenie książek SF z biblioteczki i wypisuje skierowanie na miesięczny pobyt w sanatorium dla nerwowo chorych.

Kiedy młody opowiadacz dowiaduje się o tym wydarzeniu, jego radość nie zna granic. Chodzi „przenajogromniej" dumny i blady i odnosi się wrażenie, że cały jaśnieje, promieniuje fantazją. On już wie, że pamięć o nim nie zaginie, że imię jego wspominane będzie przez następne pokolenia z nabożnym lękiem.

Pisze też natychmiast następne opowiadanie, a takie „przepastne", a takie „zawrotne", iż jest absolutnie przekonany, że sam Stanisław Lem „zzielenieje z zazdrości", kiedy przeczyta jego „arcydziełko". Nie zraża się nawet tym, że Stanisławm Lem pisze mało pochlebną recenzję o jego utworku-potworku. Sądzi zadufany, że jest to właśnie pełny i zamknięty dowód... zazdrości. I co tchu płodzi nowe opowiadanie, po którego przeczytaniu połowa ludności kraju zbiega w ostępy leśne, a druga połowa barykaduje się szczelnie i na głucho w swoich mieszkaniach. Zaś sam Stanisław Lem, zrozpaczony, rzuca się z okna...

Tu drobna uwaga dla tych, którzy przetrwali opowiadania nowo kreowanego autora: nie należy iść i tłumaczyć młodemu fantaście, że czcigodny Stanisław Lem nie dlatego rzucił się z okna, iż zwątpił w siebie. Nie zaleca się wyjaśniać dalej, iż Lem zdecydował się na ten desperacki odruch powodowany rozpaczą i gniewem, iż tak się wynaturza literaturę – młody twórca uraczy nas bowiem w odwecie jeszcze jednym opowiadaniem.

Przeczytawszy które, zmuszeni będziemy, nie wdając się nawet w dyskusję, wyrzucić opowiadacza przez okno, a następnie gnać go – szczując oczywiście mątwornicami, wlezieńcami i innymi potworami! – póki najuroczyściej nie przysięgnie, że więcej fantastyką zajmował się nie będzie. ■

* których, jak wiadomo, nie ma.



PODRĘCZNY KALKULATOR WĄTKÓW MŁODEJ FANTASTYKI

BOHATER

ZNAJDUJE TAJEMNICZA RZĄDOWA KASETĘ

BIERZE UDZIAŁ W MĘSKIEJ WALCE

PODGLĄDA CZŁOWIEKA Z JEDNYM MARSJANINEM

WDEPTUJE W ZANIECZYSZCZONE ŚRODOWISKO

ODKRYWA SEKS

Z CZEGO MU JEDNOZNACZNIE WYNIKA, ŻE...

Politycy sa OK

Walka jest OK

Marsjanie sa OK

Srodowisko w sumie jest OK

Seks jest OK

Politycy go kiwają

Walka jest wstretna

Marsjanie nas kiwają

Srodowisko jest wstretne

Kobiety go kiwają

WIĘC UDAJE SIĘ NA POSZUKIWANIE ŚWIATA, W KTÓRYM...

Politycy sa OK

Nie ma walki

Nie ma Marsjan

Srodowisko w sumie jest OK

Nie ma seksu

WSZYSTKO WYGLĄDA INACZEJ

I PRZEŻYWA DUŻO RÓŻNYCH PRZYGÓD

TO ZNACZY

W dodatku znajduje to czego szukał!

Lecz nie znajduje tego czego szukał!

WIĘC GINIE

WIĘC WARIUJE

WIĘC ŻYCIE TRACI DLAN SENS

I SIĘ BUDZI

i...

I STWIERDZA, ŻE SAM JEST MARSJANINEM